

Małgorzata Lisńska

# PIERWOTNY



Małgorzata Lisieńska

# PIERWOTNY



# Spis treści

Prolog  
Śnieżka  
Kij samobij  
Złodziej  
Bracia  
Granice  
Nauczyciel  
Przebudzenie  
Butelka  
Spotkania  
Klucz  
Itru  
Plany  
Dolina Serbithów  
Artefakt  
Smoczątko  
Przeniesienie

*Czytelnikom, w podziękowaniu za wspólną podróż*

## Prolog

Jasnowłosy chłopczyk biegł, chichocząc radośnie. Podskakiwał co chwilę, potykał się, przewracał i znowu podnosił. Obserwująca go kobieta zaciskała palce, kiedy dziecko upadało, ale gdy malec wstawał i patrzył na nią, zamiast podbiec, machała do niego z uśmiechem. W myślach powtarzała raz za razem: „nic mu nie jest, nic mu nie jest...” i szła dalej, kilkanaście kroków za synem. Każdego dnia wydłużała odległość, tak jak kiedyś jej matka.

Chłopiec znów stracił równowagę. Upadł i przez chwilę turlał się po trawie. Kiedy wreszcie się zatrzymał, usiadł i zmarszczył brwi. Czarne oczy spojrzały chłodno i dojrzałe na matkę, jakby malec chciał zapytać, dlaczego na to pozwoliła. Obojętne, zimne spojrzenie Pierwotnego.

Deidghe uśmiechnęła się odruchowo. Tak, Lunas miał oczy po ojcu. Oczy, charakter i moc. Moc, jakiej nie znała Kraina. Jakiej nie znał świat.

Podeszła do syna i wyciągnęła ręce, a malec błyskawicznie je uchwycił. Wtulił się w matkę i znowu zachichotał. Cóż, może i moc odziedziczył po Yasie, ale miał też coś, co Pierwotny stracił wieki temu: szczerą radość.

# I

## Śnieżka

Rosa poklepała bok znużonej elfiej klaczki, a potem zsiadła i oddała wodze jednemu z Yorhów. Księżyc stał już wysoko, połyskując półkolem pośród tysiocy gwiazd. Granatowe niebo ponad lasem wyglądało jak utkane z czystego aksamitu, ale nie robiło wrażenia na Zakonnej. Od lat była już odporna na piękno natury. Co innego urok leśnej chaty, chylącej się pośród małej polany. Na jej urok nigdy nie będzie odporna. Zanim więc weszła do środka, stanęła na chwilę, krótszą niż trzy uderzenia serca, pozwalając wspomnieniom pojawić się i zniknąć.

Rozpaliła w kominku i usiadła na stołku naprzeciwko rodzącego się ognia. Noc była chłodna, bo wiosna ledwie zawitała w Krainie. I chociaż dni bywały naprawdę ciepłe, noce wciąż przypominały o tym, że śniegi stopniały dopiero przed kilkoma tygodniami. Kobieta roztarła dłonie i przysunęła je nad płomień. Nie drgnęła, gdy skrzypnęły drzwi, chociaż wyczuła osobę, która w nich stanęła. Zaskoczenie na moment rozbłysło w odbarwionych tęczęwkach Zakonnej. Nie była jednak niewinną młodką, żeby odwracać się gwałtownie na widok nieoczekiwanego gościa, tym bardziej, że ów gość nie stanowił dla niej zagrożenia. Pozostała więc w tej samej pozycji, spokojnie siedząc na małym zydlu naprzeciwko rosnącego żaru.

Mężczyzna przez chwilę stał w wejściu i przyglądał się czarnemu warkoczowi przetkanemu trzema białymi pasmami. Chłonał widok siedzącej jak ktoś, kto umierał z pragnienia i właśnie dostrzegł źródło krystalicznie czystej wody.

– Będiesz tak stał i wpuszczał chłód, Yaso? – zapytała spokojnie Rosa, odwracając się.

Pierwotny odetchnął i powoli zamknął drzwi, nie odrywając wzroku od twarzy wojowniczk.

– Witaj, Roso – przywitał się miękko.

Kobieta skinęła głową i wstała niespiesznie.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Szukam cię.

– Ach tak. – Pokiwała głową. – Nie miałeś być w drodze do Itru?

Yasa potaknął bez słowa. Nie podszedł. Nie objął Rosy. Nie uśmiechnął się nawet. Patrzył tylko zachłannie, acz pozornie obojętnie.

– Co tu robisz? – zapytała ponownie kobieta. Od lat wiedziała, że nie przeczyta myśli Pierwotnego, więc nawet nie próbowała.

– Potrzebuję twojej pomocy. – Mag wreszcie się ruszył. Minął wojowniczkę i podszedł do paleniska. Jak ona przed chwilą, roztarł dłonie. Przez jakiś czas wpatrywał się w strzelające płomienie, by w końcu znów przenieść wzrok na kobietę.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? – zapytała chłodno.

– Agrah Err mi powiedział.

Uniosła brwi.

– Byłem na Czarnej Górze, ale już cię nie zastałem – kontynuował Yasa. Rozpiął kurtkę i nieco cofnął się od ognia. Blask oświetlił twarz maga, więc Rosa mogła dojrzeć ciemne cienie pod oczami przyjaciela i bladość skóry. – Elfi władca wskazał mi drogę.

Jeśli nawet wojowniczkę zdziwiła nagła komitywa byłego kochanka z aktualnym, nie skomentowała tego.

– A nie powiedział ci przy okazji, że jestem zajęta?

– Powiedział. Mimo to kazał pójść za tobą.

Lekkie drgnienie powieki było jedyną oznaką zaskoczenia. Cóż, nie pierwszy raz ukochany Rosy, którego bogowie obdarowali zdolnością widzenia przyszłości, wysyłał do niej Yasę. Skoro to zrobił, miał w tym jakiś cel. Nie należało dyskutować z widzeniami Erra.

Zakonna zajęła miejsce przy stole.

– Usiądź, Yaso – poleciła łagodnie. – Domyślam się, że nie rozpinałeś Mostu, tylko przyjechałeś konno. Musisz być zmęczony.

– Nie, nie rozpinałem Mostu – potwierdził i usiadł naprzeciwko Rosy. Światło kładło się cieniami na jego policzkach. Wyglądał źle. Nigdy nie był zbyt radosny, ale teraz wydawał się szczególnie przybity... i wystraszony.

Wystraszony Pierwotny. Widok był tak niesłychany, że Rosa w jednej chwili pojęła, co się stało.

– Coś nie tak z Likal? – zapytała cicho.

Mag jakby naraz opadł z sił. Poblądł jeszcze mocniej, zacisnął pięści, zwarł szczęki, a później potaknął.

– Potrzebuję twojej pomocy, Roso. Moja dziewczynka umiera – wyszeptał.

\*

Wóz kolebał się, podskakując na korzeniach. Potężne drzewa wzdłuż ścieżki rosły jedno przy drugim, jak przytulone. Wysokie leśne ściany, chroniące las przed dostępem słońca i obcych. Niewielu znało tę drogę, a jeszcze mniej odważyłoby się podróżować

nią z Krainy do Itru. Była wąska, kręta, chwilami tak ciasna, że wóz przeciskał się z trudem, a ciągnący go koń parskał niespokojnie. W gęstwinie czyhały dzikie zwierzęta, które wyczuwał, więc z każdym uderzeniem kopyt bał się coraz bardziej.

Powozący mężczyzna przemawiał doń uspokajająco, chociaż wiedział, że na niewiele się to zda. Wałach bał się go tak samo jak i drapieżników ukrytych pomiędzy drzewami. A kto wie, może nawet bardziej. Ostatecznie nie było w Krainie stworzeń bardziej niebezpiecznych niż smoki.

Koń parsknął ponownie, a Pyri westchnął.

– Mnie też się to nie podoba, malutki – wyszeptał. – Wolałbym polecieć ponad koronami. Byłbym w domu dwa razy szybciej. Nie wspomnę już, że byłoby to znacznie wygodniejsze. Jeszcze tylko kawałek, koniku. Musimy to zrobić dla niej. Inaczej się nie da.

Odwrócił się i spojrzał na wóz. Jak już setki razy, wstrzymał oddech i wbił wzrok w pierś Likal. Z przerażeniem czekał, aż się podniesie, a potem nieskończenie powoli opadnie. Jak teraz. Dopiero wtedy Pyri mógł odetchnąć. Dziewczyna żyła. Oddychała bardzo, bardzo rzadko, a jej serce uderzało równym, choć niesłychanie wolnym rytmem. Kiedy się mocno skupił, słyszał je. Bum... a potem długo, długo nic i ponowne bum.

Najpierw krzyczał. Potem płakał. A później zrobił to, co kazał Pierwotny.

I teraz wiózł tę niesamowitą dziewczynę, zawieszoną między życiem a śmiercią od chwili, w której artefakt zabrał jej moc. Wiózł ją do Itru, do smoczego świata.

\*

Krasnoludzki kuc zwalniał, najwyraźniej zmęczony drogą. Zadumany Yudherthardere nie od razu to zauważył. Pochylony w siodle tak się zagłębił w czarnych myślach, że nawet gdyby naraz stanęły przed nim złocone odrzwia syrellskiego zamtuza, do którego przecież jeszcze kilkanaście dni wcześniej okrutnie tęsknił, zapewne minąłby je, nie zauważywszy. Co jakiś czas unosił głowę i niewidzącym spojrzeniem omiatał okolicę, ale tak po prawdzie nie dostrzegał jej uroków. Żałość straszliwa ogarnęła krasnoludzkie serce, to i sił nie stało, coby panny wspominać...

W końcu jednak zauważył, że Doru ledwie przebiera nogami i nieco przytomniej rozejrzał się wokoło. Zapadał zmierzch, a oni byli już cały dzień w drodze. Lasy zostawili za sobą i końskie kopyta od dłuższego czasu uderzały głucho w ubity królewski trakt. Wokoło, jak okiem sięgnąć, roztaczały się szare pola, bo śnieg stopniał już dawno, a zieleń ledwie przebijała się przez wczesnowiosenną ziemię. Niestety,



oprócz owej szarości niczego nie zdołał dojrzeć na horyzoncie, żadnego domostwa czy choćby chaty.

– Nic to, Doru. Trza nam się jeszcze trochę pokolebać – wymruczał w koński kark, poklepując kuca. – Nocki zimne jak uda chudej Tondy, zmarzłby człek bez dachu nad głową. – Koń parsknął, trudno rzec, czy ze zrozumieniem, czy przeciwnie, z żalu, że dla krasnoludzkich wygod musi dalej przekładać kopytami. Że jednak z krasnoluda przedni był zrzęda, Sodi uznał, że z tej drugiej przyczyny i burknął rozeźlony: – A dyc, że ni ma co fuczeć. I tobie zda się stajenka i ziarna co nieco. Jak na środku niczego na postój staniesz, co będziesz żarł? Ziemią się popasiesz? Bo ino to widać, jak okiem sięgnąć.

Koń zarżał cicho, żałośnie, a potem pochylił łeb. Jechali dalej, a wokół robiło się coraz ciemniej. Sodi ponownie wbił wzrok w grzywę wierzchowca i pograżył się w rozmyślaniach. Raz po raz odtwarzał w wyobraźni chwilę, w której owo dziwne magiczne puzderko wessało siły ich Likal. Że też wśród mocy Yasy nie było władzy nad czasem. Dwa uderzenia serca... dwa uderzenia serca by wystarczyło cofnąć, coby pannę ocalić. Dwa uderzenia serca, a znów by chochliki w dziewczynskich oczach mógł zobaczyć. Eeech... bo też należało Kycie dogadzać, a nie do Yasy z kluczykiem biegać. Jemu by dobrze było, a i gówniara razem z tym smoczym gołowąsem by dalej bidnego maga do wypływu żółci z zazdrości doprowadzała. Wszystkie by szczęśliwe ostały... No, może za wyjątkiem Yasy, ale z niego żaden królewski trefniś, to i dziwne by nie było. Eeech, żal.

Tak się głęboko zadumał, że nawet nie zauważył, kiedy kuc stanął. Dopiero po kilku chwilach Yudherthardere podniósł wzrok. Przy drodze, tuż przed nim, stał spory domek. Piętrowy, z dużym tarasem i mnogością małych okienek przywodził Sodiemu na myśl szlachecki dworek z Zalasów, w którym kiedyś, jeszcze za dzieciaka, gościł z dziadulem. Pamiętał, że większego brzydactwa nie widział w życiu. Każde okienko było innej wielkości, dach jakby trochę opadał po lewicy, a tynk na elewacji, o jakimś dziwnym odcieniu różu, odstawał płatami od szarych kamieni. Ten domek tak bardzo przypominał owo cudeńko, że aż Yudherthardere zamrugał z zaskoczenia. Sięgnął nawet w podświadomość do śpiącego Tropicielea. Bez skutku. Magiczne alter ego nawet nie drgnęło. Cóż, pewnie przypadek. Oj, Sodi w przypadki nie wierzył, odkąd w jednym zamtuzie przypadkiem mu rajfura dwa razy za jedną cichodajkę policzyła. To i teraz siedział w siodle i gapił się w owe znajome krzywizny. Doru był co prawda zmęczony, a i Yudherthardere właśnie odczuł na krasnoludzkim zadzie co nieco cały dzionek na końskim grzbiecie. Jednakowoż coś mu się w tym domku tak straszliwie nie podobało, że i jakoś serca nie miał, żeby w jego progi zajść.

Rozejrzał się, bo przecież jemu zmrok bynajmniej w patrzeniu nie przeszkadzał, ale jak okiem sięgnąć, wciąż brakowało innych ludzkich siedzib, a i do lasu, gdzie może by się jaka chatynka znalazła albo przynajmniej jakie wielgachne drzewo, w którego pniu by jaka dziura na szacownego podróżnika czekała, nie było. Westchnął więc Sodi niechętnie i zsunął się z siodła. Umęczone nogi ugięły się nieco, toteż krasnolud cmoknął niechętnie i przytrzymał się końskiego boku. Dopiero później podszedł do niewielkich, a krzywych wrót domostwa i uderzył weń dwukrotnie.

Przez dłuższy czas nic się nie działo, więc Yudherthardere już zamierzał ponownie zastukać, lecz wtedy po drugiej stronie drzwi rozległy się przyciszone głosy, szuranie, tupanie, jakiś łomot i wreszcie wierzeje drgnęły, by otworzyć się ze straszliwym skrzypieniem.

W czarnej wąskiej dziurze wejścia błysnęła para oczu, nad nią druga, następna i następna. Siedem par, jedna nad drugą, jak klocki w dziecięcej układance.

– Witajcie, przeszanowni gospodarze. – Sodi uklonił się grzecznie. Nie skomentował dziwnego zachowania domowników, bo przecie noc już zapadła, a i on, i Doru byli utrudzeni. – Zwą mnie Sodi de Gra Yudherthardere. Służę jaśnie wielmożnej królowej Serbithów. – Niemal zatchnął się tak przy nielubianym przydomku, jak i przy słowie „służę”, ale co było robić... – Nie znalazłby się u was jaki kawałek łoża dla strudzonego podróżnika? I obroku ociupina dla mojego konika?

Oczy zamrugały. Jedne, potem drugie... i tak po kolei aż do ostatniej pary. Przez chwilę panowała cisza, a szpara w wejściu nawet nie drgnęła. Sodi stał bez słowa, chociaż nerw już zaczynał go toczyć. Przeształ z nogi na nogę i przygryzał usta, coby... tak całkiem bezwiednie, nie powiedzieć czego głupiego. Doru za jego plecami zarżał cicho, jakby chciał przypomnieć właścicielowi, że noc za pasem, a on bynajmniej nie zamierza dłużej kopyt dla pana wyciągać. Sodi westchnął i uśmiechnął się najładniej jak potrafił, co jak wszyscy Sodiego znający wiedzą, łatwe nie było.

Drzwi poruszyły się trochę, a piramida oczu przesunęła, jakby ich właściciele zmienili pozycje.

Sodi czekał.

W końcu wrota zaskrzypiały ponownie, równie okrutnie, i otworzyły się szeroko, a w ciemnej dziurze zamigotało światło.

– Jasna du... – Yudherthardere przygryzł język w ostatniej chwili, by głośno nie rzec owego brzydkiego słowa, co to mu się na usta cisnęło. Wciąż przecież na gościnę miał nadzieję, a i Doru parsknął żałośnie. No, ale łatwo nie było, kiedy tak na gospodynie przedziwnego domostwa patrzył.

W progu stało siedem kobiet. Wszystkie malutkie i nie pierwszej już młodości, a jedna brzydsza od drugiej. Ustawiły się w rzędzie, od najmniejszej do największej, a ta

ostatnia nie była wyższa od krasnoluda. Stały w milczeniu, kołysząc się lekko i nerwowo wycierając ręce w fartuchy.

Sodi uklonił się grzecznie i otworzył usta, żeby ponownie się przedstawić, ale nim zdołał coś powiedzieć, najmniejsza z kobiet wyskoczyła z szeregu i złapała go za rękaw. Złapała mocno, szarpnęła, a gdy Yudherthardere zmarszczył brwi i popatrzył na kobiecinę, zadarła głowę i wpatrzyła się na mężczyznę błagalnie.

– Eeeee – bąknął niezwykle błyskotliwie krasnolud. – Znaczy jak? Będzie jaki kącik?

Kobiety wciąż milczały, za wyjątkiem tej, która szarpała go za rękaw. Ona bowiem zamrugała, fuknęła, odcharknęła i wreszcie splunęła przez ramię.

– Noooo. Pójdzie! – poleciła niskim, męskim głosem, po czym pociągnęła Sodiego za sobą. Mężczyzna zamrugał. Posłusznie ruszył za kobieciną w kierunku wejścia. Pozostałe mieszkanki rozstały się i stanęły w dwóch rzędach, niczym najbrzydszy komitet powitalny. Sodi zaś wybałuszył oczy i pozwalał się ciągnąć. A był tak zaskoczony, że aż potknął się, przekraczając próg dziwnego domostwa. Zaklął brzydko pod nosem. W odpowiedzi kobieta szarpnęła mocniej rękaw krasnoludzkiej kurtki. Zmarszczyła brwi i gniewnie spojrzała na gościa.

– Dobra, że no... dobra – wymamrotał Yudherthardere. – Znaczy wybaczenie. Gębę mam niewyparzoną, a i nerw szybko mnie puszcza. – Wzruszył ramionami, ale z jakimś takim straszliwym smutkiem. – Jakbym tak czasami łbem poruszył, miast innymi członkami... – westchnął ponuro. – Nic to, jak to mawiał dziadulo, panna kieckę opuściła, to i gdybać ni ma co. – Pociągnął lekko rękę, daremnie próbując się uwolnić. – Wiecie, ja tam wdzięcznym bardzo, ale nie trza mnie jak oporną dziewicę w noc poślubną siłą ciągnąć do łóża. Puście. I tak polezę.

Kobieta przekręciła głowę i przyjrzała się krasnoludowi. Potem potaknęła bez słowa i puściła rękaw kurtki.

– A wiecie, bo konikowi jakiego obroku...? – zaczął Sodi.

– Dadzą – warknęła gospodyni. Nie patrzyła już za siebie, ale drobiąc małe kroczyki, niemal biegła korytarzem. Yudherthardere ledwie za nią nadązał. Skupiony na plecach małej kobiety nie miał czasu, by rozglądać się wokoło, ale i tak zauważył, że wzdłuż całego korytarza na ścianach wiszą przeróżne zwierciadła. Odbijał się w nich, znikał, by zaraz pojawić w kolejnym. Różniły się wielkością i ramami, niektóre były ogromne, od podłogi aż po powałę, inne małe, że ledwie widział w nich policzek czy kawałek ucha. Wszystkie jednak połyskiwały czystym, jasnym blaskiem. Wypolerowane, bez najmniejszej nawet smugi czy nierówności, zostały oprawione z największą pieczołowitością i bez liczenia się z kosztami. Sodi aż westchnął, kiedy w jednym ze szlachetnych kamieni odbiło się światło i rozszczerzone zatańczyło w taflach

luster. Noż przecie każdy wie, jak niezwykle czułe serduszko krasnoluda na urok szlachetnych kruszców... znaczy piękno, jasne, że na piękno.

Za plecami Sodiego głośno zaskrzypiały zamykane drzwi, a potem rozległ się ciężki tupot stóp. Yudherthardere ściągnął brwi z zastanowieniem, bo nie mogło mu się we łbie pomieścić, że sześć tak malutkich kobiet potrafiło zrobić aż tyle hałasu. Coś wciąż mu się nie podobało i w tym domostwie, i w jego gospodyniach. I nie wiedział, czy te włosy na grubym karku to się mu unoszą z jakiejś konkretnej przyczyny, czy też po prostu po ostatnich doświadczeniach zrobił się jakiś taki płochliwy. Skoro bowiem Tropiciel milczał i nawet nie skrobnał... Inna rzecz, że od kiedy Likal o ziemię w elfim lesie jak jaka szmacianka trzasnęła, Tropiciel ni razu nie skrobnał. Całkiem jakby go nie było...

Zafrasowany krasnolud podrapał się po kudłatej łepetynie i zatrzymał w pół kroku. Biegnące za nim kobiety ledwie zdążyły stanąć, by w niego nie uderzyć. Yudherthardere zerknął za siebie i skrzywił się odruchowo. Trudno było tego nie zrobić, kiedy owa wyjątkowo miernej urody szóstka, zwielokrotniona po dziesięciokroć we wszystkich zwierciadłach, wbijała w niego wzrok.

– Idzie – ponagliła przewodniczka i ponownie pociągnęła Sodiego za rękaw.

– A właściwie to gdzie? – zainteresował się wreszcie krasnolud.

– Do panny – burknęła kobieta.

Z sześciu gardeł wyrwało się głośne jęknięcie, będące mieszanką zachwyty i strachu. Głównie strachu. Sodi ponownie przyjrzał się mieszkankom dziwnego miejsca i, zdaje się po raz pierwszy w swoim życiu, pożałował, że wlaźł do domu pełnego kobiet.

– Idzie, idzie! Panna czeka! – Kobiecina podniosła głos. Chuda piąstka z niezwykle siłą zacisnęła się na kurtce krasnoluda, a potem szarpnęła potężnym mężczyzną, aż ten się zachwiał.

– Macie parę w tych chudych łapinach – zauważył z niejakim podziwem. Chciał jeszcze coś dodać, może i błysnąć dowcipem, ale właśnie w tej chwili drzwi jednej z komnat otwarły się niemal bezdźwięcznie.

Siedem mikrych brzydul jednocześnie padło na kolana. Przewodniczka Sodiego również puściła jego rękaw i rymnęła jak długa. Uderzyła czołem w drewnianą podłogę, całym ciałem przylegając do zimnych desek. Leżały tak wszystkie, w absolutnej ciszy. Yudherthardere jako jedyny stał na środku ciemnego korytarza, kompletnie nie rozumiejąc, co się dzieje. Przez jakiś czas rozglądał się nieco nerwowo, aż dobiegł go natarczywy szept:

– Idzie! Idzie! Panna prosi. No!

Co prawda Sodi żadnego zaproszenia nie usłyszał, ale w głosie kobiety pobrzmiwało takie przekonanie, połączone ze strachem, że uznał, iż po prostu przygłuchł albo że

zmęczenia uszy mu szwankują.

– No idzie! – Kobieta leżąca przy stopach krasnoluda uderzyła go pięścią w łydkę, popychając w kierunku otwartych drzwi. Sodi sapnął z bólu i odskoczył. Już miał się unieść słusznym gniewem, bo przecie nie był jakimś Niewyględnym z Niewyględowa, ale w jasnej plamie drzwi pojawiła się jeszcze jedna kobieta. Światło z komnaty kryło jej twarz w mroku, więc Yudherthardere mógł tylko obejrzeć sylwetkę; drobną i smukłą, w sukni z rozłożystą spódnicą i bufiastymi rękawkami. W długich kryształowych kolczykach igrał blask, rozszczepiając się na tęczowe płomyki.

– Co się tu dzieje? – Łagodny głos kobiety płynął niczym pieszczota. Sodi cofnął się nieco, bo nagle śpiący od dłuższego czasu Tropiciel zamruczał cichutko. Nie żeby od razu szarpał, czy rwał się na wolność, ale po kilku dniach kompletnej ciszy to leciutkie skrobnięcie tuż pod krasnoludzką skórą zrobiło na Yudherthardere ogromne wrażenie.

Kobieta tymczasem przechyliła lekko głowę, jakby przyglądała się gościowi. Długo, w milczeniu i bez ruchu. Potem, wciąż bez słowa, zrobiła kilka kroków wstecz. To samo światło, które dotychczas oświetlało ją od tyłu, teraz padło na twarz, więc Sodi wreszcie mógł się przekonać, jak wygląda owa panna, której tak straszliwie bała się pozostała siódemka.

Dziewczyna była blada. Tak blada, że niemal biała. Krasnolud aż sapnął, bo widywał już truchła o zdecydowanej barwniejszej skórze. Piękność, bo mimo owej bladości, trudno było nie zauważyć niezwyklej urody panienki, wydała się Sodiemu bielsza nawet od nieodżałowanej pamięci Lodowca, przez śmierć którego królowka z Doliny Serbithów tak dawała w dupę krasnoludowi.

– Wejdźcie. – Panna zaprosiła go miękkim ruchem dłoni, a potem odwróciła się i ruszyła w głąb rozświetlonej komnaty.

Yudherthardere zawahał się. Ot, jakoś dziwnie mu się na serduchu zrobiło. Dyc że może i nie na serduchu, a bliżej bebecarów, bo przecież od ranka nic w nich nie miał, ale i tak niespieszno mu było za dziewczęciem podążać. Właściwie już nawet zaczął rozmyślać, jak się grzecznie od owej gościny wyłgać, ale towarzyszące mu kobiety, kiedy tylko ich pani znikła w komnacie, poderwały się z klęczek i, otoczywszy gościa, pociągnęły go za bladolicą pięknością.

Pomieszczenie jaśniało światłem tysiąca świec odbijających się we wszechobecnych lustrach. O ile na korytarzu wisiały wzdłuż tylko jednej ściany, o tyle w tym pokoju rzecz można wyścielały i ściany, i powałę, a nawet, co krasnolud zauważył z zaskoczeniem, podłogę. Stąpał po nich ostrożnie, z niepokojem, albowiem bogowie obdarzyli go przecież niemałymi wymiarami, toteż wagę miał słuszną. Bał się więc, że depnąwszy nieco mocniej, skruszy zwierciadło i nie dość, że wstyd będzie, no i pannie

przykrość sprawi, to jeszcze siedem lat nieszczęścia jak nic go spotkać może. A nieszczęścia na razie Sodi miał powyżej uszu.

Panna siedziała w wysokim fotelu, opierając o niego czarnowłosą główkę. Zaiście była śliczniutka, ale Tropiciel znów zaczął drapać i powarkiwać coraz głośniej, więc Yudherthardere nie potrafił owej urody docenić. Zauważył co prawda ognistą czerwień ust panienki i osadzone głęboko mroczne oczy, ale kolejna próba opanowania magicznego alter ego nie pozwoliła mu się tym widokiem delektować.

Kobieta przyglądała mu się przez jakiś czas z nieukrywaniem niesmakiem, a potem zerknęła na malutką przewodniczkę.

– Krasnolud? – szepnęła.

Kobiecina krzyknęła cicho i padła na kolana.

– Pomiń! – wycharczała, jakby nagle brakło jej tchu.

Piękność westchnęła rozczarowana.

– Cóż – podniosła się powoli i zrobiła krok w kierunku Sodiego – jeśli nie mam wyboru...

Brzydula z trudem łapała oddech, drapiąc paznokciami podłogę, a ogłupiały Yudherthardere patrzył na nią w bezruchu. Znaczący i owszem wiedział, że powinien pomóc, ale nie mógł nawet drgnąć. Tropiciel warczał. Pozostałe kobiety stały wokół gościa, ignorując umierającą towarzyszkę.

Bładolica podeszła do krasnoluda. Przekrzywiła śliczną główkę, jakby w ten sposób lepiej mogła go sobie obejrzeć i wreszcie z wahaniem dotknęła jego ramienia. Ponownie wydeła usta z niesmakiem i dopiero wtedy popatrzyła na swoją służkę. W jednej chwili duszności kobiety minęły i zwała się na brzuch z jękiem ulgi, dysząc głośno.

– Niech będzie – oświadczyła bładolica, a następnie cofnęła się lekko.

Zanim Yudherthardere zdołał się zastanowić, co się dzieje, czy choćby drgnąć, sześć małych, brzydkich kobiet rzuciło się na niego i obaliło go na podłogę. Otworzył usta, żeby krzyknąć, szarpnął się...

A potem nastąpiła ciemność.

\*

Rosa przyglądała się Pierwotnemu z pozornie obojętnym wyrazem twarzy.

– Krasnolud stworzył artefakt ze Złotego Dębu, a ten wessał moc Likal? – powtórzyła za Yasą. Mag przytaknął bez słowa. – Tak całkiem przypadkiem?

– Yudherthardere myślał, że atakuje... kogoś innego.

– Kogo?

Yasa milczał.

– Nie powiesz?

– To nieistotne, Roso. – Pokręcił głową, lecz kobieta wiedziała, że to kłamstwo. – Najważniejsze, że wraz z mocą znikła wola życia Likal. Ona śpi. Zupełnie jak wtedy, gdy po Bertho zawiesiłem ją między światami. Ledwie oddycha, serce bije tak wolno...

– Westchnął. Zacisnął palce na brzegu stołu i spojrzał w oczy Zakonnej. – Nie potrafimy ponownie otworzyć magicznego pudełka, bo klucz zniknął. Leśne Elfy tworzą nowy, ale nie można stworzyć samego klucza, trzeba wykonać kompletny artefakt. Będzie gotowy w dniu przesilenia letniego. Moc zabrana przez dotychczasowy zniknie. A wtedy moja Likal umrze. – Głos Yasy zadrżał.

Zakonna milczała. Drzwi do chaty skrzypnęły ponownie. Stanął w nich jeden z potężnych kudłatych Yorhów. Popatrzył na wojowniczkę, a ona na niego. Nie zamienili słowa, ale mężczyzna położył na stole spory kawałek chleba i suszone mięso, a potem skinął głową i wyszedł.

– Gdzie teraz jest? – zapytała kobieta.

– Kto?

– Co. Artefakt.

Wzrok Yasy błyskawicznie stwardniał.

– Rozumiem. – Kobieta uśmiechnęła się chłodno. – Chcesz mojej pomocy, ale na swoich warunkach. To aż tak straszne? To, co ukrywasz, Yaso, jest aż tak straszne? Nie ufasz mi?

Mag zacisnął usta. Wstał, podszedł do ognia i zapatrzył się w płomienie.

– Gdyby chodziło o mnie – powiedział w końcu bardzo cicho – oddałbym za ciebie życie. Bez wahania. Przecież wiesz. – Zerknął na Rosę. – Jeśli chodzi o mnie, ufam ci absolutnie. Ale Likal... To Likal... Roso. Nie mogę zawierzyć jej tajemnic. Nie mogę.

Zakonna westchnęła. Również wstała i podeszła do Yasy.

– Pomogę ci, Yaso. Co prawda nie wiem jeszcze jak, ale pomogę. Lubię tego dzieciaka. Dobrze ci robi jej obecność. – Uśmiechnęła się lekko. – Łagodniejiesz.

Mag również się uśmiechnął.

– Trudno uwierzyć, prawda?

– Czy ja wiem? Miękłeś już przy Yudherthardere. A właśnie: gdzie krasnolud? Został z Likal?

– Likal ma innego obrońcę. – Uśmiech Yasy nieco zbladł, a Rosa, chociaż nie umiała czytać jego myśli, bez trudu dostrzegła zazdrość w czarnych oczach przyjaciela. – Sodi jest w drodze do Krasnoludzkiej Rady. Liczy na ich pomoc.

– Nie miałabym zbyt wielkich nadziei. Mistrz go nienawidzi – zauważyła chłodno. – Pomogę ci, jak obiecałam, ale najpierw muszę stanąć przed Królem Królów. Wezwał

mnie. Nie mam wyjścia. Do Syrelle jest kilka godzin drogi. Pojadę tam jutro i wrócę wieczorem.

– Wezwał? – zdziwił się Yasa. – Nie zaprosił?

– Właśnie – potaknęła Zakonna. – Widzę, że nie tylko mnie to dziwi.

– Twój elf nie wie, o co chodzi?

– Mój elf – podkreśliła Rosa z chłodnym rozbawieniem – nie wie wszystkiego. Jest narzędziem bogów, nie jednym z nich. Noc już, Yaso. Trzeba coś zjeść, a potem spać.

Mag skinął głową.

– Przenocuję w stajni.

Rosa odłamała kawałek chleba i podała przyjacielowi.

– Przenocujesz ze mną. To duże legowisko. I znacznie wygodniejsze od słomy. – Uchwyciwszy zaskoczone spojrzenie mężczyzny, dodała poważnie: – Ja też ci ufam, Yaso. Jedz.

\*

Sodi wracał do przytomności niezwykle powoli. Ciało nie bardzo chciało współpracować, a Tropiciel ponownie zamilkł i jakoś nie chciał pomóc. Wokoło panowała cisza, a Sodi przez długi, bardzo długi czas nie miał siły, by otworzyć oczy. Nie otaczał go kompletny mrok, lecz – chociaż wciąż miał opuszczone powieki – dziwna jasna szarość. Do otumanionego umysłu dotarło powoli, że zapewne nadal przebywał w rozświetlonej komnacie. Oj, wiedział, że w końcu trzeba będzie oczy otworzyć i może nawet się ruszyć, ale nieprawdopodobna słabość tocząca krasnoludzkie członki odsuwała ten moment w nieskończoność. Wreszcie jednak Yudherthardere uniósł powieki. Zamrugał kilka razy, żeby pozbyć się bolesnej mgły, która rozmywała obraz, i dopiero wtedy rozejrzał się wokoło.

Rzeczywiście był w dziwnej komnacie, a konkretnie wisiał przytroczony do ściany niczym świniak po zarżnięciu. W skrzepowanych, uniesionych nad głowę ramionach stracił już czucie, więc zapewne długo tkwił w tej pozycji. Siódemka kobiet stała naprzeciwko niego, zbita w kupkę i patrzyły na niego łakomie. Aż się dziwnie zrobiło biedakowi, bo nawet Kyta nie miewała takiego pożądania w oczach, gdy na niego spoglądała. Zamrugał ponownie, pokręcił głową nerwowo, ale panny, co to najwyraźniej całym tym bajzłem zarządzała, w zasięgu krasnoludzkiego wzroku nie było.

– Co się, kurwa, dzieje? – warknął, acz cicho, bo przez zaschnięte gardło ledwie zdołał szeptać.

Bładolica dziewczyna pojawiła się znikąd. Stała przed Sodem z kompletnie obojętnym wyrazem twarzy.



– Nic jeszcze – odrzekła spokojnie.

– Tak się u was gości traktuje?

– Nie, mój miły. Tak się traktuje posiłek. – Uśmiechnęła się promiennie.

Yudherthardere szarpnął się gwałtownie, acz bez skutku, bo więzy na rękach i nogach trzymały mocno.

– Co wy tu, kurwa...! – zaczął.

Kobieta zamknęła mu usta, kładąc drobną, lecz nad podziw silną dłoń na jego wargach.

– Nie lubię krasnoludzkiej krwi. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Dlatego prawie udusiłam Śpioskę. Znów postawiła dom nie tam, gdzie trzeba. – Pogroziła palcem służkom, a te jak na zawołanie zwały szyki. – Powinna znaleźć jakieś pole na obrzeżach lasu, gdzie mogłabym posmakować elfa. Tej ulotnej słodyczy, jaką mają tylko ludzie lasu, delikatnej, zmysłowej... aaach – jęknęła z rozkoszą. – Mogłabym wtedy połączyć posiłek z inną przyjemnością. Podwójna rozkosz. Głupia Śpioszka! – burknęła gniewnie. – Co ja mam zrobić z krasnoludem? Głód zaspokoi i owszem. Ale to taki toporny posiłek. Dla wieśniaków. Dla nich. – Wskazała kobiety. – Widzisz, mój miły, one już cię chcą. Rozerwałyby cię na kawałki, gdybym wyszła. Cóż. Kiedyś wyjdę. – Zachichotała. – Na razie jednak muszę ugasić pragnienie. Niestety tylko to proste, niezbędne do utrzymania życia. Wyższych pragnień nie zaspokoję... krasnoludem. – Fuknęła niechętnie. – A to już tyle lat... tyle. Kobiety mają swoje potrzeby, mój miły. Ano mają. – Przesunęła powolutku wzrokiem po rozciągniętym na ścianie Sodim. Przez chwilę kalkulowała, zastanawiała się. – Nie wiem. Może jednak. Mam w domku jedną ciemną izdebkę. Jeśli zamknę oczy... – Przekręciła główkę. – W sumie nigdy nie miałam krasnoluda. Kto wie, co wy tam macie, pod tym wielkim brzuchem. Może... – Westchnęła ponuro. – Byłoby inaczej, gdyby ten przeklęty mag nie zaklął domu. Mogłabym wyjść. Mogłabym zapolować! Uwieść jakiegoś księcia... albo elfa. Bogowie, tak! Elfa. Długie... długie chędożenie, gdzieś w lesie, pomiędzy drzewami... – Oddech dziewczyny przyspieszył gwałtownie. – Byłoby magicznie. Aż do szczytu! A potem zaspokoiłabym i inny głód. Powoli, aż rozdygotane serce przestałoby bić, bo nic tak nie poprawia smaku krwi jak przerażenie. – Uśmiechnęła się rozmarzona.

Yudherthardere wstrzymał oddech i przez naprawdę długą chwilę poprawiał smak swojej posoki. Coś w słodkim, niemal czułym tonie ślicznej dziewczyny... nawet nie słowa, ale właśnie coś w głosie sprawiło, że przestał myśleć ze strachu. Patrzył tylko, zastanawiając się, czy udławi się, jeśli to, co właśnie czuje w gardle, zechce z niego wyskoczyć, a panna ręki nie cofnie. Może i byłoby dobrze...

Kiedy jednak pierwsze uderzenie paniki minęło, Sodi zaczął myśleć. Na swoich czarodziejów nie miał co liczyć, bo pannę z mocy sam wytrzebił, a pogrążony w bóleści Yasa pojechał Zakonną o pomoc błagać. Musiał więc krasnolud wyteńczyć umysł i bez niczyjej pomocy się z kabały wykaraskać. Że zaś z Sodiego bywał tęgi myśliciel, dość szybko pojął, co musi zrobić.

– Wiecie, panna – zaczął, ale dłoń bladolicyj stłumiła sens słów. Krasnolud odchrząknął i powtórzył: – Bo wiecie, panna... – czekał, aż wreszcie lekko zdziwiona kobieta cofnęła rękę, a wtedy kontynuował: – Możecie mnie tak... no wiecie... szybko i bez przyjemności... – Zatchnął się na moment, ale był dzielny. – Ino wiecie, pół Krainy... ta niewieścia połowa... to by wam rzekła, że żal. Umieję ja, panna, takie rzeczy robić... – zawiesił głos i uśmiechnął się zachęcająco, chociaż, to przyznać musiał przed sobą, wciąż smak krwi poprawiał – ...że może i w ogóle zechcecie mnie zatrzymać, a na posiłek innego poszukacie. Ino spróbujcie, a uwidzicie, że to nie jakie gołosłowne przechwałki. Pierwszorzędny ze mnie chędożca.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w krasnoluda. Przez jakiś czas przyglądała się mu z zastanowieniem, a mroczne oczy co rusz zerkały w owo miejsce pod krasnoludzkim paskiem, którym tak słusznie chwalił się Yudherthardere. Tak była i na owym miejscu, i na obliczu swej ofiary skupiona, że nie zauważyła, iż Yudherthardere napina mięśnie i próbuje za wszelką cenę połączyć palce obu dłoni. Pozostałe kobiety też albo zignorowały usiłowania Sodiego, albo, jak ich pani, innymi częściami ciała więźnia zbyt były zajęte. Dość że po kilku próbach krasnolud wreszcie zdołał spleść palce w znak, którego dziadulo go uczył, a potem błyskawicznie wypowiedział zakłęcie. Tropicieł warknął, ale to akurat było obecnie najmniejszym problemem mężczyzny. Pierwotny czar szarpnął Sodim. Przypalone nadgarstki i kostki zaskwierczały i zapiekły boleśnie. Więzy puściły.

Yudherthardere padł ciężko na podłogę. Tropicieł warczał, Sodi go jednak zignorował. Wykrzyczał kolejne zakłęcie odziedziczone po babce. Siły wróciły i mężczyzna poderwał się z podłogi. Stał w rozkroku, zacisnął usta, po czym sięgnął po toporki. Najwyraźniej kobietom do głów nie przyszło, żeby je zza krasnoludzkiego pasa wyjąć, kiedy go tak uprzejmie czucia pozbawiły. Krasnolud zacisnął je w dłoniach i uśmiechnął się bardzo brzydtko. Oj, nie było mu wesoło, a i drażniony czynnym czarem Tropicieł nie pomagał.

– No, kurwa, teraz się ładnie rozejdziem – warknął Sodi – bo mnie jakoś tak nie byłoby miło waszej posoki utoczyć. Tatko mnie uczyli, że babom się dobrze robi, a tłuc ni jak nie wypada. Se jednak tak myślę, kiedy na was patrzę, że ojciec racji ni jakiej nie miał, albo i matka tak go mocno za kark trzymała, że inaczej mu gadać nie wypadało. Się panna nie męcz – ostrzegł, kiedy bladolica wbiła w niego spojrzenie. – Strzeże

mnie teraz pierwotne zakłęcie. Nijak mnie nie zauroczysz. Wypuście mnie grzecznie, to i płaczu nie będzie. Waszego, znaczy się. – Przenosił spojrzenie z grupki kobiet na bladolicę i z powrotem. Paluchy zacisnął na toporkach i poruszał nimi powolutku to w jedną, to w drugą stronę. Czekał.

Tylko chwilę, bo nagle cała siódemka skoczyła ku niemu z krzykiem. Rozcapierzone pazury, wykrzywione twarze, obnażone dziąsła... Niczym dzikie zwierzęta kobiety rzuciły się na swoją ofiarę.

Pośród rozległych zalet Sodiego niezwykle trudno było dopatrzeć się waleczności. Kiedy jednak było trzeba... było trzeba. Mężczyzna odskoczył i ciał. Raz za razem. Rąbał pozornie na oślep, ale trafiał z morderczą dokładnością. Tropiciel wył, bo Yudherthardere walcząc, nieustannie powtarzał zakłęcie ochronne. W dziwny sposób jednak, zamiast rozpraszać walczącego krasnoluda, alter ego pogłębiało tylko jego furię i usprawniało ręce. Ostrza toporków gładko wchodziły w ciała kobiet. Krew tryskała. Odcięte członki padały na podłogę, ale atakujące nie ustawały. Magiczna osłona zaczęła drżeć...

I naraz Sodi trafił bladolicą. Trafił idealnie, tuż poniżej brody, w piękną, odsłoniętą szyję. Siła uderzenia niemal wyrwała broń z ręki krasnoluda. Otrze rozcięło skórę, potem mięśnie, by w końcu, całkiem bez wysiłku, przejść przez kręgosłup i oddzielić głowę od reszty ciała.

Na jedno uderzenie serca czas się zatrzymał. Siedem małych, brzydkich kobiet, koszmarnie już okaleczonych i krwawiących, zamarło w bezruchu. Bladolica stała z rozwartymi do krzyku czerwonymi wargami, czarne włosy falami opadały na ramiona, a mroczne spojrzenie wciąż było utkwione w krasnoludzie. A potem bardzo, bardzo powoli, głowa zsunęła się z ramion, z plaśnięciem upadła na podłogę i potoczyła się ku stopom Sodiego. Kopnął ją odruchowo. Napiął się. Poruszył nadgarstkami, gotując się do dalszej walki...

Służki wciąż patrzyły na rozczłonkowane ciało. A później, kiedy wreszcie korpus zatoczył się i przewrócił, skoczyły. Minęły Sodiego i rzuciły się na ciało swej pani. Rwały, gryzły, szarpały, rozdzierając kawałek za kawałkiem...

– Noż niech mnie nigdy żadna panna nie pomaca tam, gdzie ta chciała... – jęknął cichutko Sodi. Kobiety mlaskały, krew tryskała, a krasnolud pozieleniał nieco. – Kochają ją aż do szpiku kości – wymamrotał. Szybciutko, nie odrywając wzroku od ucztujących i nie chowając okrwawionych toporków, wycofał się do drzwi. Żadna z kobiet nie zwróciła jednak na niego uwagi.

Wybiegł z komnaty, a potem ruszył korytarzem, wzdłuż lustrzanej ściany, aż do wyjścia z dziwnego domu. Nie wypuszczał przy tym broni z rąk. Ot tak, na wszelki wypadek.

Ledwie przekroczył próg, a budowla zadrżała, zachybotła... i znikła. Pozostał tylko zakrwawiony krasnolud i parszczący kuc, stojący przy trakcie na kompletnym odludziu.

## II

### Kij samobij

Na zewnątrz padało. Deszcz szumiał cicho spokojną, usypiającą melodię. Chwilami wiatr zmieniał kierunek, a wtedy ściany chaty z jękiem przyjmowały uderzenie wody, a hałas się nasilał. W takich momentach Pierwotny mrużył oczy, by ponownie uciszyć dźwięki. Nie, Yasa nie spał. Nie tylko dlatego, że nie mógł zasnąć nękany strachem o Likal. Obok niego, na łożu, nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia, spała Rosa. Zwinięta w kłębek niczym kociak, z twarzą odwróconą w kierunku maga, powinna się wydawać niewinna i bezbronna jak dziecko. Ale to była Zakonna i nawet pogrążona we śnie, z lekko rozchyłonymi wargami, oddychająca równomiernie, wyglądała na tą, którą była: niesłychanie niebezpieczną kobietę. Yasa westchnął, odwrócił wzrok i przez chwilę wpatrywał się w powałę. Wichura znów przybrała na sile, więc ponownie użył czarów, by ją uspokoić. Nie chciał, by obudziła Rosę.

Pragnął zrobić to sam. I wiedział, że nie może. Dawno już, bardzo, bardzo dawno nie spotkał kobiety, której by tak pożądał, chociaż nie mógł mieć.

– Uciszenie pogody na nic się zda, jeśli sam będziesz się wiercił i jęczał – powiedziała cicho Zakonna i otworzyła oczy. – Nie mogę przez ciebie spać.

– Mam pójść do stajni?

Westchnęła i wsparła się na łokciu.

– Zostań.

Potaknął i przez chwilę milczał, patrząc na nią zachłannie. Rosa pokręciła głową.

– Wiesz, że nie? – zapytała miękko.

– Wiem.

– Może więc użyjesz tej swojej niesamowitej mocy, by nie myśleć o mnie w ten sposób?

Uśmiechnął się ponuro, ale nie odpowiedział.

– A Likal? – dodała Zakonna.

– Co Likal?

– O niej nie myślisz w ten sposób?

Zaskoczony mag usiadł. Nie odpowiedział, a Rosa uśmiechnęła się krzywo.

– Bogowie wiedzą, że brak mi kurdupła – skwitowała kwaśno. – On pewnie znalazłby jakąś kąśliwą ripostę na to twoje rozmarzone spojrzenie, Pierwotny Magu. – Pokręciła

głową i również usiadła. – Gdyby ktoś mi rzekł, że będziemy prowadzili taką rozmowę... Starzejemy się, Yaso? Jeszcze ino brakuje, byśmy dosiedli kołowrotek, żeby coś tam uprząć. Jak rozplotkowane wieśniaczki.

Mag uśmiechnął się, a jego oczy utraciły ten głodny wyraz. Wciąż jednak milczał. Zakonna odetchnęła i oparła głowę o ścianę.

– Myślałam o tej twojej dziewczynie, mój drogi – powiedziała cicho, nie patrząc na przyjaciela. – Będziemy potrzebowali potężnego źródła magii. Ja i ty nie wystarczymy. Może uda nam się ją obudzić, ale żeby zwrócić jej moc... Bo chcesz, żeby ją odzyskała, prawda?

Pierwotny spojrzał na nią.

– Nie potrafię czytać twoich myśli, Yaso – przypomniała mu.

– Nie wiem – odrzekł wreszcie. – Nie wiem, czy chcę... – Zamilkł na chwilę, oderwał wzrok od Zakonnej, wstał i podszedł do okna. Na dworze wciąż było ciemno, a deszcz nie przestawał padać, ale dla oczu Yasy nie było to przeszkodą. Patrzył więc, nie widząc, daleko, daleko przed siebie. – To i tak nie moja decyzja, lecz Likal. Jeśli zechce odzyskać moc, zrobię wszystko, żeby miała ją z powrotem.

Rosa potaknęła powoli. Nie wstała, nie podeszła do maga. Wciąż leżała, wspierając głowę o ścianę, ale patrzyła na Yasę w skupieniu.

– Zmieniłeś się – stwierdziła w końcu. – Ten dzieciak naprawdę ma na ciebie dobry wpływ.

– Zmieniłem – potaknął Yasa. Odwrócił się od okna i uchwycił spojrzenie kobiety. – Pewne rzeczy jednak pozostały niezmiennie.

Zakonna pokręciła głową w milczeniu, więc mag nie kontynuował. Jeszcze jakiś czas stał przy oknie, ponownie zapatrzony w ciemność na zewnątrz. Deszcz szumiał cicho, powoli tracąc na sile. Gdzieś daleko stąd trwała zawieszona między światami dziewczyna. Nie, Yasa nie mógł o tym myśleć. Nie mógł myśleć, bo wtedy nachodziło go pragnienie, by kogoś zabić. Tak cholernie, cholernie bolało. Oparł głowę o ścianę i zacisnął palce...

– Chodź tu – powiedziała miękko Rosa.

Odwrócił się w jednej chwili. Spojrzał pytająco, ale Zakonna ponownie pokręciła głową. Kiedy jednak położył się obok, pozwoliła się objąć. Przyłgął do niej trochę rozpaczliwie. Bogowie, nawet nie wiedział, że tak potrzebował bliskości.

\*

Księżyc stał już wysoko, kiedy wóz wiozący Likal i Pyriego minął ostatnie drzewa, a podkowy zaprzęgniętego doń konia ponownie uderzyły w ubity trakt wiodący do Itru. Smok odetchnął pełną piersią. Do granicy było już tak blisko, że czuł zapach domu.

Jedyny w swoim rodzaju, dziki, mocny aromat smoczyc gawr, królestwa starożytnych Złotych Smoków z Itru. Jeszcze tylko nocleg w gospodzie, której światła widział w mroku. Tam sam spróbuje odpocząć, nie spuszczać wzroku z Likal, a potem, tuż po świcie, wyruszy do domu, do Deidghe.

Odetchnął głęboko i zerknął za siebie, na Likal, na jej jasne włosy, bladą twarz i wciąż ściągnięte rysy, jakby nieustannie cierpiała, zawieszona między życiem a śmiercią.

– Jutro, mała, jutro miniemy granice Itru – wyszeptał. – Cała Najwyższa Rada się tobą zajmie. Już ja się o to postaram. No i moja siostra. Ona na pewno pomoże. Na razie odpoczywaj. – Przemknął palcami po czole śpiącej, a rysy Likal na moment złagodniały, jakby dziewczyna poczuła pieszczotę. Kiedy jednak cofnął palce, ból ponownie odmalował się na obliczu nieprzytomnej czarownicy.

Pyri zacisnął usta i strzelił lejcami, żeby pogonić konia. Zwierzak jednak, tak jak i mężczyzna, czuł woń smoczyc włosów, więc bynajmniej nie było mu spieszno udać się w ich kierunku. Strzygł nerwowo uszami, przebierał kopytami, ale stanął w miejscu i parskając, dawał do zrozumienia, że nie zamierza się ruszyć. Pyri sapnął cicho, ale w sumie nie nalegał, bo rozumiał strach zwierzęcia. Zeskoczył z wozu, wyprzągnął konia, a potem przywiązał go do najbliższego drzewa. Sam zaś wrócił, otulił nieprzytomną Likal i wzięwszy ją na ręce, ruszył do gospody.

Bywał częstym gościem w tym przybytku i ludzie, którzy w nim pracowali, wiedzieli, kim jest, więc kiedy ujrzeli go w progu, przywitali jak na młodego księcia z Itru przystało. Gospodarz giął się w pokłonach, błyskawicznie kazał przygotować najlepszą izbę i zastawić stół. Nie zdziwił się nawet na widok dziewczyny w ramionach Pyriego. Kiedy jednak skinął na służbę, by zabrali Likal, smok warknął. Złote oczy młodzieńca pociemniały, a twarz spochmurniała, jakby gotował się do przemiany. Przerażony karczmarz odskoczył, a za nim dwaj potężni słudzy.

– Wskażcie izbę i tam zanieście posiłek – zażądał Pyri.

– Tak, jaśnie panie – wyszeptał mężczyzna, pochylając głowę. Nie śmiał spojrzeć na to smocze szczenię, które od lat zaglądało do jego gospody. Zawsze serdeczny i hojny chłopak, dotychczas wydawał się ludziom z pogranicza najbardziej nieszkodliwym z całego itruańskiego rodu. Nie polował poza granicami smoczyc gawr, nie porywał trzody, nie uwodził dziewcząt, chociaż, bogowie wiedzą, chętnych do ogrzania jego łoża nie brakowało. Tak, z całą pewnością aż do tego dnia wydawał się niegroźny.

Pyri zacisnął usta, świadom, jakie zrobił wrażenie. Teraz jednak go to nie obeszło.

– Zostawiłem konia przy drzewach. Wyślijcie kogoś po niego – polecił już nieco spokojniejszym tonem. Nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że nikt nie odważy się

zlekceważyć jego poleceń. Może i wciąż przebywał na terenach Krainy, ale Itru było za miedzą.

O tej porze, wczesną wiosną, kiedy ledwie stopniały śniegi, a noce wciąż były jeszcze niesłychanie chłodne, itruańskie granice świeciły pustkami. Handel czekał na cieplejsze dni, bo zimno w jakiś dziwny sposób zamykało kieszenie mieszkańców smoczego królestwa. Dlatego też gospoda na granicy świeciła pustkami. Zbłądziło tu ledwie kilku podróżnych, których do odwiedzin albo zmusiły okoliczności, albo nie znali oni panujących w okolicy zwyczajów. Siedzieli teraz wciśnięci w kąt głównej izby, przyglądając się ponuro młodemu mężczyźnie niosącemu śpiącą dziewczynę. Pyri nie zwrócił na nich uwagi. Nie zauważyłby zapewne i młodej, bogato odzianej kobiety, która grzała dłonie przy kominku, ale kiedy ją mijał, uniosła wzrok i skrzyżowała go ze spojrzeniem młodzieńca.

Smok zatrzymał się w pół kroku. Wstrzymały go pospołu i niesamowita uroda kobiety, i jej aromat. Mocny, chociaż wydawał się delikatny, słodki aromat jaśminu w pełnym rozkwicie. Znał ten zapach. Poczul go pierwszy raz dwa lata temu, a potem przed kilkoma tygodniami, gdy znalazł w lesie Likal. Wtedy nie mógł sobie przypomnieć. Dziwne, że nie mógł... Przecież znał go jak własny. Zapach Lunasa. Oprócz tej trójki pachniała tak tylko jedna istota, chociaż i tego nie skojarzył... No ale wtedy był zbyt zajęty młodą czarownicą. I mimo że poczul, nie spamiętał... a teraz pamięć wróciła mocnym uderzeniem obrazów i woni. Pierwotny. Lunas, Likal i ta kobieta pachnieli Yasą.

Stał tak i patrzył, a jasnowłosa uśmiechnęła się zupełnie obojętnie i powróciła do grzania rąk nad ogniem. Miała piękne dłonie o długich, szczupłych palcach. Resztę sylwetki skryła pod szeroką peleryną, dlatego Pyri skupił wzrok na tych palcach. Przez myśl przemknął mu kompletnie zaskakujący i nader podniecający obraz. Potrząsnął więc głową i zmarszczył brwi. Magia? Zwodnicza magia, tu, na granicy z Itru? Czarodzieje z Krainy nie zapuszczali się tak daleko, bo używanie magii w smoczym państwie było zarezerwowane dla rodziny królewskiej. Dla innych mogło, w najlepszym przypadku, skończyć się wygnaniem.

Zamknął oczy i odsunął się. Zmysłowe obrazy znikły, ale Pyri wciąż stał o kilka kroków od kominka, rozdarty między chęcią utulenia Likal w ciepłym bezpiecznym miejscu a pragnieniem poznania tajemniczej piękności. Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i owo nieodparte pragnienie naraz ustąpiło. Potrząsnął głową. Kobieta patrzyła nieobecny, wystraszonego wzrokiem, ale nie na niego, a na trzymaną przez Pyriego dziewczynę. Drżała przy tym i kurczowo zaciskała pięści, jakby widok nieprzytomnej Likal straszliwie ją przeraził.



Smok odruchowo przytulił Likal. Zmarszczył brwi i spróbował wsunąć się w myśli kobiety. Zamiast jednak czystej, prostej świadomości, jakiej się spodziewał, trafił do mrocznej jamy, kompletnie bezobrazowej, bezdźwięcznej i ciemnej. Ktoś osłonił umysł jasnowłosej przed mocą telepatów. Ktoś z potężną magią...

Pierwotny?

– Kim ona jest? – odezwała się nagle kobieta. Zrobiła krok w kierunku Pyriego, ale zaraz cofnęła się gwałtownie, chowając w półmroku. Uderzyła plecami o ścianę, oddychała szybko jak przerażone zwierzątko. – Kim ona jest? – powtórzyła wysokim, histerycznym tonem.

Smok nie odpowiedział. Nie ruszył się jednak, jakby wystraszone spojrzenie czarnych oczu trzymało go na uwieży.

Pewnie staliby tak jeszcze długo, gdyby nie interweniował gospodarz, nieco już wystraszony faktem, że samotna kobieta zaczepia smoczego królewicza. Przyskoczył do niej i pociągnął gniewnie za ramię, zrywając tym samym niezwykle połączenie.

– Pójdzie! – burknął. – Nie zaczepiajcie wielmożnego pana. Ot, się czepiła, baba jedna, no! Nie wasza rzecz, kogo pan z Itru do łożnicy bierze! Pójdzie!

Pyri zamrugał. Uwolniony od magii jasnowłosej, przez jedno uderzenie serca zastanawiał się, co robić. Potem jednak, wiedziony pragnieniem ułożenia młodej czarownicy w wygodnym łożu, odwrócił się i ruszył ku wskazanej izbie. Szedł, a powtarzane już szeptem przez jasnowłosą pytanie ścigało go, aż zamknął za sobą drzwi.

\*

Do świtu było jeszcze daleko, gdy Zakonna postanowiła wyruszyć do Syrelle. Yasa stał przed chatą i patrzył, jak kobieta dosiada elfiej klaczy. W słabym świetle docierającym z wnętrza chaty ledwie mógł dostrzec rysy jej twarzy.

– Powinienem z tobą jechać – powiedział cicho. – A przynajmniej któryś z Yorhów.

– Reinghart wyraził się jasno: mam być sama.

Pierwotny pokręcił głową w milczeniu.

– Nie wiem, czy bardziej mnie wzrusza, czy irytuje twoja troska. – Kobieta uśmiechnęła się. – Radzę sobie bez twojej opieki, mój drogi.

– Wiem. Gdyby jednak nie było takiej potrzeby, Agrah Err nie wysłałby mnie za tobą.

– Ano nie – potaknęła i poklepała klaczkę w zamyśleniu.

Wojowie Zakonnej stali obok Yasy. Potężni, owłosieni, jak dwa wierne niedźwiedzie. Mag nie musiał na nich patrzeć, żeby czuć ich niepokój. Rosa też to zauważyła. Uczucia trzech przypatrujących się jej mężczyzn i przekonanie tego jednego, który im

co prawda nie towarzyszył, ale wysłał za ukochaną rywala, by ją strzegł... wszystko to zaczęło się jej udzielać. W przeciwieństwie do kochanka, Rosa nie miała daru widzenia przyszłości. Nie zwykła jednak ignorować jego wizji. Westchnęła i zeskoczyła z końskiego grzbietu.

– Dobrze, Yaso – powiedziała, podchodząc do Pierwotnego. – Zrób to.

Mężczyzna w milczeniu uniósł brwi. Nie spodziewał się tej propozycji. Ostatecznie Rosa była elfem i miała nieustanne połączenie z Agrah Errem. Zawsze mogła liczyć na jego pomoc...

– Nie dziw się tak. Err niczego nie robi bez powodu. Sam nie może wystąpić przeciwko Królowi Królów. Być może wysłał ciebie, bo ktoś będzie musiał. Połącz nas.

Mag uśmiechnął się drapieźnie. Jednym ruchem przyciągnął do siebie Zakonną. Mocno i blisko. Tak, jak tego pragnął od bardzo, bardzo dawna. Poczuli, kiedy się poddała. Silne kobiece ciało, które znał prawie jak własne, chociaż miał tylko raz, wiele lat temu, uległo jego ramionom. Źrenice w odbarwionych tęczęwkach rozszerzyły się gwałtownie, a oddech przyspieszył. To jeszcze nie była magia połączenia. Jeszcze nie... więc...?

Nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Zmrużył oczy i pocałował Rosę, uruchamiając czar.

Magia Przemian i Pierwotnego zwały się w szalonym tańcu. Światło otoczyło oboje, by mieniać się, połyskując, nabierać mocy... aż po oślepiający rozbłysk wśród szumu i grzmotów. Połączenie. Rosa poczuła je w oddechu, w rozgrzanej skórze, w gorącej krwi płynącej tuż pod nią. Połączenie mocy, jaźni i czuć.

Jedno, drugie, trzecie uderzenie serca, a Yasa wciąż trzymał Zakonną w ramionach, z chwili na chwilę pogłębiając pocałunek. Już nie tylko magia połączenia, ale czyste pożądanie nie pozwalało im się rozstać. W końcu Rosa wsunęła między nich ręce i, chociaż niechętnie, odsunęła mężczyznę.

Oboje oddychali szybko i płytko, wciąż podnieceni. Trudno było stwierdzić, czy to, co czuła Zakonna, czuła sama, czy było to tylko echo pragnień byłego kochanka. Splątanie uczuć i myśli okazało się niemal bolesne. Cofnęła się, uwalniając z objęć i bez słowa dosiadła wierzchowca. Zamiast jednak od razu odjechać, długo patrzyła na mężczyznę.

– Nie musiałeś mnie całować, prawda? – zapytała chłodno, acz bez gniewu.

– Musiałem – zaprzeczył łagodnie.

– Ale nie po to, by uruchomić połączenie.

– Nie, po to nie.

Pokiwała głową, a później spięła konia i odjechała.

\*

Pyri nie mógł zasnąć. Przez długi czas siedział przy łożu i obserwował nieprzytomną Likal. Od oddechu do oddechu, czekając niecierpliwie, aż ten kolejny nastąpi. Nieustannie jednak słyszał przerażony głos jasnowłosej kobiety. Był echem jego własnych rozważań. Kim była kobieta pachnąca Pierwotnym? Dlaczego Likal tak bardzo ją przerażała? Śliczna, delikatna Likal...

Wstał i poprawił koce okrywające dziewczynę. Nie mógł się przy tym powstrzymać i łagodnie musnął blady policzek.

– Zostawię cię na chwilę – szepnął do nieprzytomnej i pocałował powietrze tuż nad jej czołem. Wydało mu się niewłaściwym dotykać i całować młodą czarownicę bez jej zgody. – Muszę porozmawiać z tamtą kobietą. Coś takiego w niej jest... Coś... Nie umiem tego zdefiniować, ale wiem, że muszę. Nikt nie będzie cię tu niepokoił... – zawiesił głos, a potem dokończył: – kochanie. Nikt by się nie odważył.

Kiedy mówił, tak jak wtedy, gdy dotykał twarzy Likal, jej oblicze łagodniało. A może tylko tak sobie wmawiał, czekając na jakikolwiek znak, że dziewczynie się poprawia.

Ledwie wyszedł za drzwi, już tego pożałował. Westchnął i gniewnie zacisnął pięści. Gdyby teraz stanął przed nim nieszczęsny krasnolud... Oj, chyba by Pyri urozmaicił sobie dietę. Gniew na Yudherthardere nie opuszczał go od chwili, gdy Likal uderzyła o ziemię w elfim lesie, a puzderko ze Złotego Dębu zatrzęsęło się bezdźwięcznie. Klucz znikł i nikt nie potrafił odzyskać sił witalnych tej słodkiej dziewczyny. A wszystko to wina krasnoluda...

Smok szedł tak zamyślony, że byłby nie zauważył wykradającego się z jednej z izb karczmarza. Mężczyzna najwyraźniej nie chciał być zauważony, bo rozglądał się nerwowo wokoło. Zobaczył smoka i pobladł gwałtownie. Zamarł w pół kroku w otwartych drzwiach, z dłonią zaciśniętą na skoblu. Drugą nerwowo schował za plecami.

– Trzeba wam czego, panie? Pomóc w czymś? – zapytał w końcu.

Pyri zmrużył oczy. Bez trudu odczytał myśli mężczyzny, a poznawszy je, skrzywił się brzydko. Uznał jednak, że chwilowo pozostawi sprawę samym sobie. Chwilowo.

– Nie, dobry człowieku. Sam sobie poradzę z tym, czego mi potrzeba – odpowiedział więc chłodno. Minął karczmarza i ruszył korytarzem w poszukiwaniu jasnowłosej. Wiedział, że mężczyzna odetchnął z ulgą, ale w tym momencie go to nie obeszło.

Znalazł nieznaną w głównej izbie, tam, gdzie ją zostawił. Przytuloną do ściany, tuż obok kominka, już nie rozcierała dłoni, ale oparłszy głowę, zamknęła oczy i pozwalała, by ogień rozświetlał jej twarz. Pamiętając, co poczuł uprzednio, tym razem Pyri zatrzymał się w sporej odległości. Mimo to nie mógł nie zauważyć nieprawdopodobnej

urody kobiety, chociaż przyglądał się jej inaczej. Szukał podobieństwa do Likal lub do Pierwotnego.

Kobieta poczuła jego spojrzenie i uniosła powieki. Drgnęła niespokojnie, a potem zacisnęła dłoń.

– Witaj, pani. – Młodzieniec uklonił się grzecznie, uspokajająco. – Jestem Pyri... – zawahał się, a potem dokończył: – Pyriedntestate Anhe Hredhertgherre.

Zwarła mocno szczęki, z mieszaniną ulgi i strachu.

– Uri – szepnęła. – Mam na imię Uri. – Odetchnęła głęboko, nieco histerycznie, a potem zamrużyła nerwowo. Przez jakiś czas milczała, a Pyri czekał. Nie drgnął jednak, pewien, że jeśli to zrobi, opanuje go magia kobiety. Jasnowłosa uśmiechnęła się smutno. Może się domyśliła, a może po prostu uśmiechała się do swoich myśli. Westchnęła i wytłumaczyła cicho: – Wybaczcie, że nie podam pełnego miana, ale... – zadrżała, a w ciemnych oczach rozblęły łzy – ...nie pamiętam go. Wielu rzeczy nie pamiętam. Wasza towarzyszka wydała mi się znajoma... Dlatego... Ale nie wiem, skąd ją znam. Was nie pomnę, ale ją... Ją tak. Powiecie mi, jak ją zwać?

Młodzieniec przyglądał się Uri ze współczuciem. Czy to była jej magia, czy po prostu czuła na kobiece łzy męskie serce, dość że podszedł do kobiety i usiadł obok.

– Jak to nie pamiętacie? – zapytał. – Niczego?

– Nie. Coś pamiętam. – Przekrzywiła głowę i zapatrzyła się w ogień. – Moja matka była piękna. Dom był duży i przestronny. Na dworze zawsze było ciepło, a służba bała się matki. I pamiętam mężczyznę o czarnych oczach. Trochę podobnych do moich. Nie wiem, czy był mi bratem, czy kochankiem – położyła obronny gest ręką na brzuchu – ale pamiętam, że go kochałam.

Wstrząśnięty Pyri przestał słuchać, bo utkwiał wzrok w lekko zaokrąglonym brzuchu gładzonym przez szczupłą dłoń kobiety. Uri była przy nadziei. Skoro zaś pachniała Pierwotnym... Smoczy węch rzadko się mylił, ale Pyri wiedział wystarczająco dużo o Yasie, by mieć pewność, że opiekun Likal nigdy nie zostawiłby ciężarnej kochanki. Nie świadomie.

Ale ona pachniała Yasą. Dziecko w niej pachniało Pierwotnym.

– Powiecie mi, jak zwać waszą towarzyszkę? – zapytała ponownie jasnowłosa.

– Likal – odpowiedział odruchowo, a potem podniósł wzrok, pragnąc zobaczyć, jakie wrażenie wywarło to imię. Piękne oblicze nieznajomej pozostało jednak obojętne. – Nic wam się nie przypomniało?

Pokręciła głową i westchnęła.

– Jest chora? – zapytała. – Wyglądała na chorą.

– Jest chora. Bardzo.

Przez chwilę milczała, znów zapatrzona w ogień, by w końcu oświadczyć:

– Tam, gdzie się obudziłam, kiedy wszystko zapomniałam, mieszkała kobieta z małym chłopcem. Pomagali mi. Byli dobrzy. Któregoś dnia chłopiec zachorował, a wioskowy medyk rzekł, że już po dziecku. Było mi tak żal malca... tak strasznie żal...  
– Spojrzała na Pyriego. – I z tego żalu zrodziła się jakaś taka moc, że gdy dotknęłam chłopca, ten wyzdrowiał. Nie wiem, skąd się to wzięło. Nie rozumiem. Może zawsze to miałam, ale zostało zapomniane, jak i inne rzeczy. Może. A może przyszło, bo...  
No wiecie – zwiesiła głos, a dłoń pieszcząca brzuch zatrzymała się. – No, ale chłopiec wyzdrowiał. Jeśli chcecie... mogę dotknąć waszej towarzyszkii. Może i jej pomogę.

Smok pokręcił ponuro głową.

– Ech, pani... próbował ją uleczyć Pierwotny. Nikt wśród żyjących nie ma większej mocy, a nie zdołał...

– Pierwotny? – zapytała nerwowo.

– Yasa. – Pyri znów czekał na reakcję i teraz się jej doczekał. Kobieta odetchnęła głęboko, a potem powtórzyła imię Pierwotnego, jakby je smakowała, z czułością i zastanowieniem:

– Yaaasaaa. – Później zamilkła, długimi, pełnymi miłości ruchami pieszcząc brzuch.

Smok patrzył na nią bez słowa.

– Więc jak? – przerwała ciszę Uri. – Chcecie, żebym spróbowała?

Zamrugnął wybudzony ze snu.

– Cóż szkodzi? Chodźcie. – Wstał, po czym podał jej dłoń. Ujęła ją bez wahania i pozwoliła się prowadzić. Nie bała się, chociaż przecież dopiero go spotkała. Poznawała ostatnio jednak tak wielu ludzi, że nauczyła się ich błyskawicznie oceniać, a temu zaufała bez zastrzeżeń.

– Co wy tu robicie? – zapytał Pyri, prowadząc kobietę ciemnym korytarzem. – To nie jest dobry okres do podróży. Zwłaszcza w waszym stanie. A i Itru o tej porze roku nie jest zbyt gościnne.

– Nie mogłam już dłużej czekać – wytłumaczyła. – Musiałam... – zająknęła się i przygryzła wargę. Dopiero po kilku krokach spróbowała wyjaśnić: – Tam ktoś jest... znam ją... jego... Oni czekają. Jestem tego pewna. Śnili mi się w nocy. Mały chłopiec o oczach... oczach Yasy i kobieta o włosach koloru złota. Dlaczego stanęliście? – zapytała, bo Pyri zatrzymał się gwałtownie. – Znacie ich, prawda? Widzę, że znacie. Wiedziałam, kiedy na was spojrzałam pierwszy raz. Wyglądacie trochę jak kobieta z moich snów.

– Cholera – sapnął Pyri. – Muszę poważnie porozmawiać z siostrą.

Likal leżała jak ją zostawił i co oczywiste, nie drgnęła, gdy weszli. Uri podeszła do łoża z zawahaniem, bo mgliste wspomnienie, obraz znany i jednocześnie kompletnie niemożliwy do zdefiniowania, ranił jej myśli. Tak bardzo chciała sobie przypomnieć, dodać znajomą twarz do sytuacji, do echa przeszłości, że czuła niemal fizyczny ból. Stała więc, o dwa kroki od nieprzytomnej, niezdolna do podjęcia decyzji, czy zgodnie z obietnicą spróbować użyć tej dziwnej mocy, która uratowała chłopca z wioski, czy uciekać jak najdalej.

Pyri zatrzymał się w wejściu pełen nagłej niezrozumiałej nadziei i patrzył.

Jasnowłosa kochanka Pierwotnego... bo przecież smok był pewien, że nią była... pochyliła się powolutku. Widział, jak wstrzymała oddech, zmrużyła oczy, zacisnęła pięść, a drugą dłoń bardzo, bardzo powoli położyła na policzku Likal.

Pyri był synem królewskiego rodu złotych smoków z Itru, wyczulonym na moc i władającym czarami niemal tak potężnymi, jak starożytni magowie. Stojąc więc ledwie kilka kroków od Uri, nie mógł nie poczuć potężnego uderzenia magii. Tak silnego, że aż zaparło mu dech. Bez słów, bez zaklęć, czystą absolutną potęgę Pierwotnych Magów. Zapłonęła w powietrzu niewidzialna i wyczuwalna tylko dla wybranych. Wstrząsnęła rzeczywistością, by skupić się w szczupłych palcach jasnowłosej kobiety. Pyri cofnął się odruchowo, bo dotychczas sądził, że tylko jedna istota w Krainie ma taką moc.

Przez długą chwilę nic się nie działo, lecz kiedy trochę rozczarowana Uri miała już cofnąć rękę, nieprzytomna dziewczyna nagle jęknęła. Długo i przeciągle, bardziej z czułością niż z bólu. Nie otworzyła oczu, ale szepnęła cichuteńko, z westchnieniem:

– Yasa.

A potem odwróciła się i zwinęła niczym kociak, wtulając w dłoń Uri.

\*

Stojący na progu chaty Yasa wciąż patrzył za odjeżdżającą Zakonną. Połączenie pozwalało mu czuć jej nagłą niepewność i słabe echo pożądania. Nie mógł niestety być pewien, czy to jej uczucia, czy już jego. Tak działało to zaklęcie, łączyło i mieszało tak jaźnie, jak i emocje. Dlatego Yasa nie mógł wiedzieć, ale chciał myśleć, że to pragnienia Rosy i tylko jej. Stał więc i patrzył w ślad za byłą kochanką, gdy poczuł dalekie uderzenie mocy. Nie było jak zwykłe zaklęcie, rzucone przez pośledniego czarodzieja. To było zawahanie, jakie mogło spowodować tylko uwolnienie pierwotnej magii, czystej i absolutnie niekontrolowanej. Tylko jego rodzina potrafiła rzucać takie czary. I tylko dwie kobiety, z których jedną sam zabił, a drugiej, po tym jak ją wraz z Zakonną i elfim królem przywrócili do życia, usunął wszystkie wspomnienia.

Odetchnął głęboko.

Cholera, nie minęło nawet pół roku. Raz, kilka miesięcy wcześniej, poczuł już wahnięcie mocy, ale było słabsze, łagodniejsze... Pomyślał wtedy, że to jakiś czarodziej bawi się potężnymi zaklęciami... Teraz był pewien. Nikt inny, tylko Uri. Jakim cudem tak szybko zdołała zapanować nad magią?

– Uri – szepnął.

\*

Zazdrość to parszywe uczucie, łamiące serca jak wichura drzewa, bez najmniejszego problemu. Pyri stał w wejściu, patrzył na zwiniętą w kłębek Likal, śpiącą z uśmiechem na ślicznej buzi, i cierpiał katusze. Jedno słowo, a zabolą cholernie mocno. Odetchnął głęboko, żeby ukoić tak ból, jak i złość.

Powinien się cieszyć. Bogowie! Powinien się cieszyć. Dziewczyna nabrała kolorów, a straszliwe zawieszenie zmieniło się w sen. Nie wolno mu być małostkowym. Dobrze, powiedziała imię opiekuna. No, ale to był jej opiekun, prawie ojciec... przyjaciel. Była z nim tak długo. Nic dziwnego...

– Pomogło? Bo ona się nie obudziła, ale wygląda jakby lepiej – dopytywała Uri z nadzieją.

Smok zamrugał, przytomniejąc, i dopiero wtedy podszedł do obu kobiet. Ukląkł przy łożu i przyjrzał się śpiącej. Potem, po chwili wahania, musnął palcami jej policzek. Nie spodziewał się zbyt wiele, ostatecznie nie miał pierwotnej mocy...

– Pyri? – Likal westchnęła przez sen. – Myślę o toooo... – Ziewnęła, nadal śpiąc, a potem potarła policzkiem o poduszkę.

Młodzieniec rozpromienił się, a połamane serce ozdrowiało błyskawicznie.

– Pomogło, Uri! Bogowie! Pomogło! – Podskoczył do kobiety i przytulił ją gwałtownie. – Kobieto! Kimkolwiek jesteś... Jesteś wielka!

Uśmiechnęła się niepewnie. Stała sztywna, spłoszona, jakby nie nawykła do bliskości. Pyri poczuł to, więc się odsunął.

– Uri... – zaczął i zawahał się. Nie wiedział, czy mu wolno... Medycy z Itru powinni ją obejrzeć. Kto wie, dlaczego ma luki w pamięci? A jeśli prawda jej zaszkodzi? A jeśli...

– Wiesz, kim jestem? – zapytała, jakby czytała w jego myślach. Cóż, może i to robiła? Ostatecznie była...

– Jesteś pierwotną czarownicą – odpowiedział bez chwili zastanowienia. A potem, przenosząc spojrzenie z Likal na jasnówłosą, dodał cicho: – I to, cholera, potężniejszą od Yasy.

– Pierwotną? Ale ja nie znam zaklęć...

Pokiwał głową.

– To działa inaczej. Jutro wejdziemy w bramy Itru i Deidghe ci to wytłumaczy. Coś mi się zdaje, że macie ze sobą wiele wspólnego. Ciekawe, czy mag wie. Nie wie. Nie może wiedzieć. Nie zostawiłby cię, gdyby wiedział... I jak? Cholera, uczyli mnie, że on jest ostatni. Już kiedy się urodziłem, był ostatni, a teraz on, ty, Lunas... i ono... – trąkotał, a kobieta przyglądała mu się, kompletnie nic nie rozumiejąc. Pyri zaś, uszczęśliwiony dźwiękiem swojego imienia w ustach śpiącej czarownicy, nie przestawał mówić, szybko i z radością, chodząc tam i z powrotem. – Ale będzie miał niespodziankę. Cholera, niesamowitą. Pierwotni... I kto by pomyślał? Jesteś wielka, Uri. Wielka!

Pierwotna uśmiechnęła się niepewnie, po czym zrobiła krok do tyłu. Dopiero wtedy Pyri zauważył, jak bardzo była przejęta, przytłoczona i wystraszona. Zamilkł. Później odetchnął i odezwał się uspokajającym tonem:

– Przepraszam. Jesteś zapewne zmęczona. Widzę, że jesteś. Zostań tutaj, proszę. Łoże Likal jest wystarczająco szerokie dla was obu. Ja zajmę tamto. – Wskazał wąską kozetkę przy drzwiach. – Jutro, jak mówiłem, zabiorę cię do Itru. Zaopiekujemy się tobą, przecież jesteś częścią rodziny. – Podeszedł do Uri, przygryzł usta i patrzył na nią długo w ciszy. Na jasne włosy, piękną twarz i oczy... oczy takie same, jakie miał Lunas. – Jesteś częścią naszej rodziny, Uri – powtórzył poważnie. – Już na zawsze.

Usiadła na łóżku obok śpiącej Likal.

– Jestem? – zapytała niepewnie.

– Moja siostra lepiej ci to wytłumaczy. A teraz połóż się. Rankiem wyruszymy. Likal co prawda nie jest już zawieszona między światami, ale wciąż śpi... Chcę jak najszybciej znaleźć się w domu.

– Wybacz... to wszystko takie nagłe...

– Widać bogowie tak chcieli. Czasami prowadzą nasze ścieżki w najbardziej nieoczekiwany sposób. – Uśmiechnął się szeroko. Widząc jej niepewność, dodał: – Przecież i tak zmierzałaś do Deidghe, prawda?

– Tak mi się wydaje. Ale może nie powinnam... Może wrócę do mojej izby...? Zostawiłam w niej dobytek.

– Sam go przyniosę. Zostań, proszę.

– Skąd wiesz, która izba?

– Wiem – odpowiedział spokojnie i wyszedł.

\*

Znalazł gospodarza nakrywającego stoliczek w małej przybudówce. Mężczyzna robił to powoli, z namaszczeniem godnym lepszej sprawy. Wyrównał wszystkie zmarszczki na białym obrusie, wyłożył elegancką zastawę z najprzedniejszej porcelany, poukładał



srebrne sztucce wokół talerzy... I właśnie miał zabrać się za napełnianie ich polewką, kiedy wszedł Pyri. Karczmarz pobladł lekko, ale zaraz pokłonił się głęboko.

– Nie możecie spać, panie? – zapytał grzecznie. – Posłałbym jakie dziewczki, co by waszą miłość zmęczyły nieco, bo to zawsze na sen działa. Ale tego wam już więcej chyba nie trzeba?

– Nie. Nie chcę kobiet. Oddajcie mi tylko to, coście mojej przyjaciółce z izby zabrali.

Karczmarz pobladł jeszcze bardziej. Cofnął się gwałtownie.

– Co wy, panie?! Tyle lat zaglądaliście w moje progi...

Pyri z zimnym uśmiechem zrobił krok w jego kierunku.

– I dlatego grzecznie proszę, zamiast tamte kije – wskazał na długie drągi przy kominku – zakłąć, by was rozumu nauczyły. – Oddajcie, coście wzięli i więcej się kraść nie ważcie. Wasza gospoda stoi przy naszej granicy. Nie chcemy, by nasi goście tracili cenne przedmioty. Mogłoby się okazać, że ktoś z rodziny będzie musiał tutaj zapolować... – Zawiesił głos i czekał, by przekonać się, czy mężczyzna pojął aluzję.

Pojął. Zbladł jeszcze bardziej, a potem skoczył do wielkiego kufra w kącie izby.

– Bo ja dla was, panie – skłamał beczelnie, trzęsącymi się dłońmi wyciągając z wnętrza sakiewkę – dla was... Widziałem, co kobieta miała przy pasku, a dziad mojego dziada opowiadał, że to smocze jest. No to żem zabrał, żeby właścicielowi oddać. No skądżem miał wiedzieć, że to wasza znajoma?

Nie patrząc w oczy Pyriego, podał mu sakiewkę. Młodzieniec nie zajrzał do środka, lecz wciąż stał i mierzył wzrokiem karczmarza.

– Wiecie – powiedział cicho – że nie muszę w wasze oczy patrzeć, żeby myśli odczytać?

Karczmarz cofnął się gwałtownie. Ot, był bystrzejszy, niż mogłoby się wydawać...

– Pomiłujcie, panie – wyszeptał nie na żarty przerażony i upadł na kolana. Cofał się na czworakach, aż przewrócił owe kije, które uprzednio Pyri wspominał. Oba drągi spadły tak niefortunnie, że uderzyły karczmarza w grzbiet. Ugiął się pod razami, ale nawet nie jęknął.

Smok odetchnął głośno, nieco ostentacyjnie.

– Tym razem – pochylił się nad klęczącym – daruję.

Wyszedł z izdebki i dopiero za drzwiami rozsypał sakiewkę.

Okrągły biały kamień połyskiwał jak perła, a kiedy smok wziął go w dłoń, rozjarzył się intensywnym blaskiem. Smocze ziarno, święty artefakt, który oprócz innych, rozlicznych zalet, posiadał również tę, dzięki której przyczynił się do narodzin Lunasa...

– No, to teraz przynajmniej wiem, jak to się stało, że kolejny Pierwotny przyjdzie na świat – szepnął Pyri i schował przedmiot do woreczka.

### III

## Złodziej

Trakt był kompletnie pusty i tylko kopyta Doru głuchymi uderzeniami w ubitą ziemię przerywały ciszę panującą w okolicy. Kopyta Doru i pochrapywanie drzemiącego w siodle krasnoluda. Sodi kiwał się na końskim grzbiecie w powolnym rytmie snującego się drogą kuca. Obaj byli straszliwie zmęczeni, a Sodi dodatkowo koszmarnie głodny i wciąż śmierdzący zastygłą na ubraniu krwią. Nie miał jednak w sakwach zapasowej kurtki, więc nie mógł się przebrać, a noce były wciąż bardzo chłodne. W tej chwili to i tak nie miało większego znaczenia, bo zmęczenie zagłuszyło nawet głód i Yudherthardere przysypiał w siodle.

Krasnoludzki kuc stąpał powolutku, nie z obawy o swego jeźdźca, ale z tego samego zmęczenia, które ukołysało jego pana. Szedł wolniutko, z łbem przy ziemi, jakby tym chciał pokazać Sodiemu, jak rozczarowuje go całonocna podróż, z małym jeno przystankiem tuż pod dziwnym domem, w którym nawet go nie nakarmiono. Co prawda, kiedy dom zniknął, Sodi pozwolił wierzchowcowi paść się przez chwilę, ale trawy przy trakcie było tyle co wcale, to i trudno rzec, by Doru był pełny. A jeszcze zamiast zostać tam na noc, Yudherthardere dosiadł go ponownie i kazał iść dalej. Ot, niedobry pan. To i Doru szedł wolniutko, noga za nogą. I pewnie nie przyspieszyłby do świtu, gdyby naraz nie dojrzał słabego światełka na horyzoncie. Światełko migotało chwiejnie, niczym samotny kaganek w ciemności izby. No, a kaganek oznaczał osadę... a przynajmniej chatę, gdzie może i obroku dadzą, a może i ciepła stajenka się trafi... Dla takich przyjemności kuc krasnoluda mógł nieco przyspieszyć.

Parsknął wystarczająco głośno, by obudzić drzemiącego Yudherthardere. Krasnolud poderwał głowę, zmarszczył brwi i sapnął niecierpliwie.

– Czego się drze jak przekupka, co to chciałyby dwa talary za prawie pusty dzban miodu, ha? – burknął i rozejrzał się półprzytomnie. Dojrzał owo światełko, które tak ożywiło jego rumaka i sam poczuł rosnącą w serduchu nadzieję. – No, koniku przynajmilejszy, idzie ku dobremu. Może tam nie będą chcieli posoką twego pana, tudzież i jego przyległościami życia sobie umilać. Dobrze by było, bo rzec ci muszę, że kiszki marsza mnie już grają i zem nawet myślał, coby tego suchara, co mnie Kyta z miłości w sakwę wsadziła, w jakim strumyku rozmoczyć. Niech bogowie uchowają,

głodnym okrutnie, skoro mnie takie straszne rzeczy do łba przychodzą, co nie? Ale ni ma co żałować po próżnicy, malutki, jeno kopyta wyciągać. No dawaj!

Czy kuc zrozumiał, czy po prostu sam czuł podobnie, dość że rzeczywiście prawie przeszedł w galop. Światło zbliżało się błyskawicznie. Im zaś było bliżej, tym stawało się stabilniejsze i bardziej wyraźne. Nabierało kształtów i wreszcie zaczęło przypominać rozświetlone okiennice kilku domostw. Sodi odetchnął zachwycony, kiedy sioło znalazło się na tyle blisko, by mógł policzyć chaty. Taaaa, te na pewno nie były wyczarowane. Nikt nie czarowałby takiej bidy.

Właśnie rozmyślał, co też mogą w tych chatkach spożywać i jakimi puchowymi pierzynami będą go okrywali, gdy tuż przed nim rozbłysnął oślepiający blask. Galopujący Doru nie zdołał się zatrzymać. Tropiciel zawył rozpaczliwie, kiedy koń z jeźdźcem wpadli w magiczny Most.

\*

Rosa dotarła do Syrelle skoro świt. Zatrzymała czarnoelfią klacz u bram największego miasta Krainy nie po to, by podziwiać jego piękno, ale żeby obserwować. Na urodę Syrelle dawno się już uodporniła. Bywała w stolicy przynajmniej raz na kwartał. Kiedyś, dawno temu, gdy Zakon wysłał ją do Króla Królów po raz pierwszy, zachwyciło ją piękno grodu, wysokie strzeliste wieżyczki pałacu władcy i smukłe, czyste, jaśniejące bielą kamieniczki. Zachwyciły, ale i przytłoczyły rozmiarem. Wtedy. Nie była już jednak młodziutką wojowniczką i widziała w życiu tak wiele, że rzadko miała czas, by podziwiać cokolwiek. A teraz stanęła u bram i zmrużyła oczy.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

Straże u bram zostały potrojone i jak nigdy dotychczas gwardziści stali w pełnym rynsztunku. Na murach również dostrzegła zaskakująco dużo żołnierzy. Zupełnie jakby Reinghart spodziewał się ataku. Dziwne, bo od chwili, gdy Król Królów wziął za żonę gaalską księżniczkę, przywrócił elfom ich prawa i po długich negocjacjach dogadał się wreszcie z krasnoludami, Kraina była bezpieczna. Chroniły ją przymierza ze wszystkimi sąsiadami.

Dlaczego więc nagle stolica się zbroi?

Pełna obaw Zakonna zeskoczyła z siodła. Jeszcze nie została dostrzeżona przez strażę, miała czas. Poprowadziła konia między drzewa, a tam usiadła na omszałym kamieniu i zamknęła oczy. Od lat nie uruchamiała Nurtu Myśli, bo wyczerpywał siły. Tym razem też nie chciała tego robić. Rozedrgane emocjami Yasy myśli nie powinny trafić do Agrah Erra. Elfi władca i tak z trudem tolerował Pierwotnego Maga. Odetchnęła głęboko i skupiła się, by wezwać ukochanego. Mimo Przemian pozostała elfem, więc mogła to zrobić w razie potrzeby.

– Rosa? – Agrah Err wszedł w umysł kochanki, realny pod powiekami, jakby stał tuż obok.

– Widziałeś?

– Twoimi oczami. Tak.

– A więcej?

Err zawahał się. Czuł połączenie Zakonnej z Pierwotnym, ale to nie ono go powstrzymywało. Wizje, które miewał, rzadko były absolutnie jednoznaczne.

– Err? Wysłałeś Yasę. Co się dzieje?

– Możliwe... możliwe, że będzie potrzebny. Ja nie mogę stanąć przeciwko Reinghartowi. Ciebie powstrzymają prawa Zakonu... Jego nic nie hamuje. A dla ciebie... – elf zacisnął usta, a później odetchnął głęboko i dokończył: – ...dla ciebie zrobi wszystko.

Rosa nie rumieniła się nigdy, więc i teraz tego nie zrobiła.

– Powinam coś wiedzieć? – zapytała spokojnie.

– Pilnuj królowej. I chłopca. Widziałem ich... Będą was potrzebować. – Znow się zawahał, a ona poczuła jego troskę i niemal namacalny niepokój. – Rosa... Tradycja jest święta, ale ty... ty jesteś najważniejsza. Rozumiesz?

– Będzie aż tak źle?

– Będzie.

– Cholera – szepnęła, a Agrah Err opuścił jej podświadomość.

Przez chwilę siedziała jeszcze z zamkniętymi oczami i rozmyślała. Pierwszy raz Err zasugerował, że powinna przedłożyć swoje życie ponad prawa Tradycji, a to oznaczało, że cokolwiek zdarzy się w Syrelle, zmusi ją do wyboru, którego nie zamierzała nigdy dokonywać.

– Cholera – powtórzyła. Odetchnęła głęboko, a później wstała i ruszyła ku bramom stolicy.

\*

Jasność Mostu pochłonęła wrzeszczącego krasnoluda. Zamknęła się wokół niego, oślepiając, a aktywne, potężne pierwotne zaklęcie sprawiło, że Tropiciel wyszarpał krasnoludzkie bebechy w gwałtownej próbie wyrwania się na wolność. Gwałtownej, acz nieudanej. I to nie dlatego, że Sodi zdołał zapanować nad swoim alter ego. Nawet nie próbował, kompletnie ogłuszony nagłym uderzeniem magii. Przyłgął tylko do końskiego karku, zamknął oczy i zacisnął paluchy na grzywie Doru. Tropiciel szarpnął raz i drugi, a potem naraz przywarował jak skarcony szczeniak. Yudherthardere sapnął cicho. Przez kilka uderzeń serca leżał przytulony do końskiego karku, jakby to mogło pomóc na ewentualne otaczające go okoliczności. Czekał. Światłość zgasła, ale on

wciąż nie odważył się unieść powiek. Kuc parskał cicho, niespokojnie, bo i jemu najwyraźniej przenoszenie Mostem nie było w smak. W końcu Sodi zdecydował, że mimo strachu trzeba spojrzeć na świat.

Stali na dziedzińcu niewielkiego zamku o ogromnych i barwnych okiennicach oraz jasnej, połyskującej perlowo elewacji, od której odbijały się wesołe promienie wstającego słońca, rozszczepiające się w kolorową tęczę barw. Wokoło, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się wysokie strzeliste góry o ośnieżonych szczytach i nienaturalnej zieleni traw w dolinie. Yudherthardere rozejrzał się nerwowo, bo Tropiciel co prawda milczał, ale niezwykła bajkowość okolicy kazała mu sądzić, że nie została ona stworzona ręką bogów czy natury, a wyczarowana. Fakt, że alter ego krasnoluda umilkło tak nagle, też był raczej niepokojący. Dlatego Sodi rozglądał się nerwowo.

Przez jakiś czas byli z kucem jedynymi żywymi duszami. Wreszcie jednak skrzypnęła jedna z wielkich bram i stanął w nich gospodarz. Yudherthardere zmarszczył brwi, bo nie znał młodego drobnego mężczyzny o pięknej, niemal kobiecej twarzy, tak doskonałej, że wydała się krasnoludowi podobna do porcelanowej lalki, którą Likal kiedyś u jednego kupca wypatrzyła. Już miał Sodi odezwać się brzydko i jakąś tylko sobie zwykłą litanię powitalną rzucić, zwracając uwagę pięknisia, że nie wypada jednak tak z drogi biednego krasnoluda ściągać i bez uprzedzenia czarem go traktować, gdy w tym samym wejściu co porcelanowy człowiek stanął ktoś jeszcze.

– Kurwa! – wyrwało się Sodiemu. Poblądł gwałtownie i przygryzł usta, chociaż i tak zdaje się więcej powiedzieć by nie zdołał. Zza gospodarza patrzyły bowiem na niego niebieskie oczy Likal w szczupłej buźce jej brata. Sodi zacisnął palce na wodzach, bo naraz pojął, kim jest gospodarz.

– Różnie mnie nazywano – Orian uśmiechnął się zimno – ale nigdy w ten sposób. Najwyraźniej poznaliście, panie de Gra Yudherthardere, mojego syna? Po waszym wyrazie twarzy sądzę, że i o mnie raczyliście już usłyszeć.

Sodi milczał, bo i nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć, no i strach mu tak trzewia ścisnął, że spotkanie z krwiożerczą pięknością wydało mu się nagle precudnym snem. Melodyjny, słodki głos Złodzieja Magii był bardziej przerażający niż jakikolwiek dźwięk usłyszany dotychczas. Przeszło krasnoludowi nawet przez myśl, że i dobrze, że od tak dawna nic nie jadł, bo i popuścić nie miał czym...

– Obrzydliwa myśl, panie de Gra. – Orian wykrzywił usta. – Nie musicie się mnie obawiać. Nie zamierzam was skrzywdzić. Uratowaliście Kalię, opiekowaliście się moją córeczką... Faktycznie, ostatnio z dość miernym skutkiem... – Zamilkł na chwilę, wbijając pociemniałe oczy w gościa, aż Sodiemu, bynajmniej obietnicą Oriana nie uspokojonemu, brakło tchu ze strachu. – Jak rzekłem, nie zamierzam was skrzywdzić. Zsiądźcie. Mamy do porozmawiania.

Krasnolud nawet nie drgnął, wpatrzony w obu mężczyzn. Przy ostatnim zdaniu zacisnął tylko mocniej paluchy na rzemieniach lejc.

– Ech, panie de Gra... – Orian uśmiechnął się złośliwie i strzelił palcami.

Kuc zniknął, a Sodi trzasnął ciężko na kamienną drogę.

– Kuuuurwa! – wrzasnął i poderwał się na tyle szybko, na ile pozwalały mu jego niemałe przecież rozmiary. – Coście z konikiem zrobili?! Toż gadzinka niczemu nie winna! Nie trza krzywdzić zwierzaka! Od pokoleń mamy w rodzinie... – zaperzał się, bo strach strachem, ale co kuc, to kuc, prawda? Poirytowany przyskoczył do ojca Likal, ten jednak wstrzymał go gestem.

No, gestem i zaklęciem.

– Spokojnie. Koń jest w stajni – powiedział łagodnie, zawieszając krasnoluda w pół kroku z uniesionymi pięściami i wściekłością w spojrzeniu. – Będzie mu tam lepiej niż pod waszym siedzeniem. Wbrew ogólnej opinii nie zwykłem ranić, czy zabijać słabych stworzeń.

Zwolnił czar, a Yudherthardere opuścił ręce.

– W stajni? – zapytał niepewnie.

– W stajni. Służba już mu sypie owies. Chcecie się upewnić, czy ten jeden raz uwierzycie na słowo?

Krasnolud podrapał się po głowie z zastanowieniem.

– Znaczy – westchnął, nie patrząc na gospodarza – jakby ze mnie cud urody dziewoja była, co to ją chcielibyście wianka pozbawić, to i może bym się zastanowił, czy nie łżecie, coby w lepszym się pokazać świetle, co nie? Ale że nie wyglądacie mnie na znawcę i kogoś, kto by to całe – machnął wokół siebie wielką łapą – dobro docenić potrafił... znaczy może i nie łżecie. Nic to. Tak czy inszej, nic nie poradzę.

– Słuszna uwaga – potaknął porcelanowy mężczyzna. – Zechcecie więc pójść za nami? Nie wypada, żebym konia ugościł, a jego właściciela trzymał o pustym brzuchu, zmęczonego przed drzwiami. – Popatrzył na krasnoluda, a ten tylko wzruszył ramionami. Orian odwrócił się zatem, żeby wejść do zamku. Spojrzał na stojącego mu na drodze syna i uśmiechnął się z wahaniem. Kalien w milczeniu wbijał wzrok w krasnoluda, a przez jego wychudzoną twarz mknęły wykluczające się emocje. Wciąż wyglądał jak zamknięte w klatce zwierzątko, dzikie i przerażone, ale teraz, słuchając melodii głosu Sodiego, jakby na chwilę poczuł ulgę. Kiedy jednak krasnolud zamilkł, oddech Kaliena ponownie przyspieszył, a źrenice rozszerzył strach.

– Mówcie coś – wyszeptał Orian, zerkając na Sodiego.

– Co?

– Cokolwiek. Dalej!

Yudherthardere uchwycił wzrok mężczyzny i zrozumiał, o co mu chodziło.

– No, widzicie, ma dzieciak gust. – Rozpromienił się. – Dyc prawie jak ta moja Kyta. Tyle człek żyje na tym pięknym świecie – kontynuował, unikając jednakże spojrzenia tak ojca, jak i syna – a dopiero w kwiat wieku wstąpiwszy, prawdziwych znawców spotyka. Ni ma co – mówił, a oddech chłopca wyrównał się, kąciki ust zadrzały i uniosły się leciuteńko na kształt niepewnego uśmiechu. Orian aż wstrzymał oddech, ale jego gość, nie zauważywszy wrażenia, jakie zrobił na obu obecnych, prawił dalej: – No ni ma co, dzieciak wie, co dobre. Ma się tę melodyję w głosie. Kiedyś dziadulowi jedna syrena rzekła, że któraś z prababek jak nic puściła się z trytonem, bo w całej naszej rodzinie to takie niemożliwe dźwięki z gardeł wychodzą... Jakoś dziadulo nie chciał wiary dać, no ale jak na Likalowego braciszka patrzę, to od razu myślę, że jak nic ino szczerze ogoniasta mówić musiała. – Wciąż się uśmiechał, ale wspomnienie imienia młodej czarownicy sprawiło, że uśmiech zbladł. Sodi pociągnął nosem i westchnął głęboko. – Eeech, panie Zło... Orian – poprawił się szybko – żał taki serce ściska, że aż człowiekowi się gadać odechciewa. Jak tak na tego waszego synalka patrzę, to ino mnie nasza gówniara przed oczami staje. Było się nie wciskać, panie Orian? Było? Jakbyście gówniary na Most nie namawiali, toby całego tego frasunku i nie było. By se dziewczucha dalej oczy za Pierwotnym wypatrywała... A może i nie... Ano może. Przecie jej ten smok tak za skórę wlaźł, jak i mnie moja Kyta. By se może i z nim do Itru poleciała, a kto wie, może i za kilka miesiączków byście i dziadkiem zostali? Ano, kto wie. A tak... Ach, żał. – Zamilkł i tylko kręcił głową z tej całej żalości.

Orian nie odrywał oczu od syna, a chłopiec, kiedy Sodi tak okrutnie posmutniał, zamrugał nagle. Przez chwilę wyglądał, jakby walczył z sobą, aż wreszcie podszedł do gościa i z wahaniem położył mu dłoń na ramieniu. Szczupła ręka młodzieńca drżała gwałtownie, ale nie cofnął jej. Choć nic nie powiedział, i tak był to pierwszy ludzki odruch, jaki zobaczył u niego ojciec. Mężczyzna bał się odezwać, czy choćby drgnąć. Krasnolud tymczasem westchnął ponownie, popatrzył w niebieskie oczy brata swojej wychowawicy i odruchowo poklepał jego dłoń.

I nic się nie stało.

Kalien, który na każdy dotyk ojca reagował agresją i szalejącymi zaklęciami, pozwolił się poklepać obcemu mężczyźnie. Ba! Zdaje się, że nawet próbował się przy tym uśmiechnąć, bo usta chłopca zadrzały, a kąciki na moment powędrowały ku górze. Co prawda wyglądało to bardziej przerażająco niż czule, ale i tak zaszokowało Oriana. Cofnął się o krok, marszcząc brwi. Długo i z zastanowieniem patrzył na pozostałych, aż w końcu też się uśmiechnął.

– Chodźcie, panie de Gra – powiedział. – Zdaje się, że od wczorajszego ranka nic nie jedliście, a i wyglądacie na strudzonego. Zjecie, odpoczniecie, a potem porozmawiamy

o Likal.

\*

Rosa przekroczyła bramy stolicy niezatrzymywana przez żołnierzy. Nie spodziewała się innej reakcji, ale i tak poczuła niejaki niepokój, gdy mijala gwardzistów. Nadwrażliwa przez zakłęcie połączenia z Pierwotnym, nie była pewna, czy to jej emocje, czy mijanych mężczyzn. Kiedy spojrzała, żeby się upewnić, dostrzegła spuszczone głowy i umykające spojrzenia.

Tak, zdecydowanie coś niedobrego działo się w Syrelle.

Ulice o tej porze wciąż jeszcze były opustoszałe i tylko nieliczni mieszkańcy przemykali między kamienicami. Żaden z nich nie zwrócił jednak uwagi na Rosę. Zakon był nieustannie obecny w Syrelle, więc i poranna wizyta naj słynniejszej jego przedstawicielki nie wzbudzała sensacji. Cokolwiek więc sprawiło podwyższoną gotowość, dotyczyło bardziej samego pałacu niż miasta czy kraju.

Król Królów mógłby zacząć się obawiać najazdu tylko wtedy, gdyby zerwał pakt z którymś z sąsiadów. Co prawda nienawidził elfów i gardził krasnoludami, ale sugestia Agrah Erra kierowała myśli Zakonnej raczej ku Gaalom. Był tylko jeden powód, dla którego Reinghart musiałby ryzykować wojnę z Zachodnimi Ładami i odrodzonymi Gaalami. I to dokładnie ten, który zasugerował król Czarnych Elfów.

– *Rosa?! – Yasa wsunął się w myśli Zakonnej, a w jego głosie zabrzmiało prawdziwe zaskoczenie. – Pozwoliłaś Reinghartowi wychowywać dziecko innego? I to Lodowca, którego zabiłaś w Jaskini Pierwotnych?*

No tak. Połączenie. Zobaczył jej myśli, ledwie się pojawiły. Niedobrze. Nie powinien wiedzieć. Dotychczas wiedziały tylko trzy osoby...

– *A twój elf usunął wspomnienia królowej? Dziewczyna nie wie, czyje dziecko urodziła... To nie ty mnie pouczyłaś, że nie wolno barwić się wspomnieniami ludzi? Czy to dotyczyło tylko mnie i Likal?*

Chciałaby go wyrzucić z myśli, ale było na to za późno.

– Nie. Agrah Err zrobił, co zrobił. To była jego decyzja. Ja zaś nie mogłam donieść Królowi Królów, że wychowuje bękarta, bo prawa Tradycji zmusiłyby go do zabicia żony i dziecka. Kraina spłynęłaby krwią. To nie to samo, co bawić się umysłami ludzi.

– *Kłamstwo to kłamstwo, moja droga. To pół Lodowiec, pół Gaal. Myśleliście, że można to ukryć?*

Wzruszyła ramionami.

– Chłopiec wygląda jak matka, a ludzie wierzą, w co chcą wierzyć.

– *Zapewne masz rację. Jeśli jednak Reinghart się dowiedział...*



Nie musiał kończyć, bo Rosa wiedziała, co chciał powiedzieć. Jeśli Król Królów znajdzie dowód, że królewicz nie jest Yerghartem, chłopiec i matka zostaną straceni. W celebrze Rady Krainy i przedstawiciela Zakonu.

– Cholera! – warknęła Rosa, bo wezwanie władcy nabrało sensu.

Yasa milczał, jakby zniknął z umysłu Zakonnej. Nie bardzo wiedziała, czy ją to cieszy, czy martwi. Kiedy jednak dotarła pod mury pałacu, Pierwotny ponownie się odezwał:

– *Wiesz, że nie pozwolę skrzywdzić dziecka, Roso, prawda?*

Była Zakonną, strażniczką Tradycji. Znała na pamięć każde jej słowo. Powinna stanąć u boku władcy i patrzeć na śmierć samozwańca. Do tego została wyszkolona, to przysięgała...

– Wiem – odpowiedziała. – Ja też nie.

\*

Szeroki jasny korytarz zawiódł Sodiego i gospodarzy do równie obszernej jadalni. Na widok suto zastawionego stołu krasnolud westchnął z lubością, bo pusty brzuch dawał mu się już we znaki. Teraz, kiedy ojciec Likal obiecał mu nietykalność, ponownie poczuł, jak długo żył ino wspomnieniami Kyty i strachem.

– No, panie Orian. – Uśmiechnął się do gospodarza. – Ni ma co, umiecie zadbać o gościa. Powiedzcie mi jeno, gdzie toście służbę całą podziali?

Porcelanowy mężczyzna zerknął na syna, ale chłopiec zasłuchany w krasnoluda nie odrywał od niego spojrzenia.

– Kalien boi się ludzi – wyjaśnił więc cicho Orian.

– A mnie jakoś chyba nie, co?

– A was nie.

– Pan Yasa mnie rzekł, żeście gówniarę do połączenia z bratem namówili. Może i troszka jej wlaźła w umysł młodziaka i stąd ta jego... uczuciowość, co nie?

– Możliwe.

– Więc to albo pamięta niebożę, jakem go z dziury wytargiwał. – Sodi pokiwał smętnie głową. – No albo jak Tropicieła na pomoc przyzywał. Oż ma dzieciak moc, zupełnie jak nasza gówniara. A i krzywdę mu ludziska robili długo, to i nie dziw, że ogłupiał od tego, nie młody? – Uśmiechnął się krzywo do Kaliena. Kiedy tak bowiem nań patrzył, to i raźniej mu było. Zupełnie jakby rzeczywiście w chłopcu mógł odrobinę Likal zobaczyć. – Wiesz, że jakeśmy Likal z tej wioski, co to tam za służkę w gospodzie robiła, zabrali, to też trochę dzika była. No, ale pan Yasa to o nią zadbał. Pilnował, dopieszczał i ukrzywdzić już nikomu nie pozwolił. No i dziewczucha jak nowa... Jakby tak i ciebie, młodziaku, tak ktoś miłował, jak my miłujemy gówniarę...

– zawahał się, bo przecież tuż obok niego stał ojciec owego młodziaka. Jakoś nie wypadało w domu potężnego Złodzieja Magii...

– Nie lubię tego określenia, panie de Gra – skomentował zimno Orian.

– No, tak i myślę – potaknął Yudherthardere. – A ja tam nie lubię, kiedy mnie we łbie grzebią. Co człek myśli, człeka winno pozostać, a nie mu się z buciarami w duszę inni pchają, nie?

Mężczyzna milczał przez chwilę, a potem niechętnie skinął głową.

– Macie rację. Postaram się zostawić wam wasze myśli. – Zajął miejsce za stołem, a później wskazał gościowi ławę naprzeciwko. – Usiądźcie. Kiedy się posilicie, Kalien zaprowadzi was do komnaty, którą kazał wam przygotować.

Yudherthardere usiadł za stołem, porwał pieczyście z talerza i wcisnął je w usta. Smakowało wyśmienicie. Nic to, że pewnie było wyczarowane. Syciło jak rzadko które, więc, że któryś z szacownych obecnych tu czarodziejów przyczynił się do jego pojawienia na ławie, niespecjalnie wzruszał krasnoluda. Grunt, że smaczne, a Tropiciel nawet nie jęknął, gdy w trzewia trafiało.

– Dobre to wasze jadło – pochwalił więc, bo przecie sroce spod ogona nie wypadł i zachować się potrafił. – Jeśli i leże przygotowaliście takie wygodne, to nic ino w gości do was wpadać. Młodziak, weź no koło najmilejszego opiekuna siostry se klapnij. – Poklepał miejsce obok siebie. – Pogadamy z tatulkim. Opowie nam, jak to się stało, żeście z Likal na świat przyszli albo jak klucz do artefaktu zapodział i nasza gówniara teraz z tego powodu między światami zawisła. – Spojrzał chłodno na Oriana, bo kiedy już pierwszy głód zaspokoił, a i strach mu nieco minął, przypomniał sobie, że to jednak nie tak całkiem jego wina, że Likal bez przytomności w elfim lesie została. – No, może też wytłumaczyć jedynemu synkowi, skąd się ten jego przydomek wziął, co to go tak wkurwia.

Orian rozparł się na ławie i przyglądał gościowi, sącząc powoli wino. Patrzył długo i pozornie obojętnie, ale Sodi jakoś tak poczuł, jakby znowu, całkiem przypadkiem, smak posoki poprawiać zaczął.

Kiedy jednak wydawało się krasnoludowi, że gospodarz już się nie odezwie, albo i może zrobi co gorszego, ojciec Likal odstawił puchar, spojrzał na Kaliena i rozpoczął cicho:

– Miałem czternaście lat, kiedy znalazł mnie Uter. Lubił chłopców. Wcześniej bawił się elfami, ale kiedyś odwiedził go czarnoelfi jurysta i Pierwotny uznał po tym, że zabawa ludźmi będzie bezpieczniejsza. O wiejskiego dzieciaka nikt się nie upomni. Żaden niebezpieczny elf nie urznie ci jakiegoś istotnego kawałka, który potem trzeba zaklęciami przytwierdzać. No i ludzie żyli krótko, a jeszcze krócej byli młodzi i

atrakcyjni. Uter zaś lubił zmiany. Zanim... zaopiekował się mną, szybko się nudził. Często to powtarzał, kręcąc głową ze zdumieniem.

Nie powinienem narzekać, bo gdyby Pierwotny nie znalazł mnie wtedy w lesie, pewnie umarłbym z głodu albo został rozszarpany przez dzikie zwierzęta. Rodzice już nie żyli, a wuj sprzedał mnie gospodarzowi za wychudzoną szkapę, która padła, kiedy tylko zaprzął ją do wozu. Gospodarz też lubił chłopców... ale inaczej niż Uter. Lubiał bić powrozem. Sprawiało mu przyjemność patrzeć, jak sznur wbija się w nagie ciało i zostawia długie sine pręgi. Dyszał ciężko przy każdym razie i oblizywał wargi... Minęło już tyle lat, a ja wciąż pamiętam te jego grube usta i przesuwający się po nich język.

Uciekłem któreś nocy, gdy myślałem, że zemdlałem z bólu i nie związałem mnie wystarczająco mocno. Trzymałem już nawet długi kozik w ręce i myślałem, żeby poderżnąć mu gardło... ale w końcu stchórzyłem i uciekłem.

Była jesień, a noce zimne. Biegłem w samej koszuli, poobijany i półprzytomny, aż padłem z zimna, zmęczenia i bólu pod jakimś drzewem. Tam znalazł mnie Uter. Nigdy nie powiedział, co tam właściwie robił, a ja nie pytałem. Rozpiął Most i przeniósł mnie w takie miejsce jak to. – Orian zrobił ruch ręką. – Kiedy otoczyła mnie jasność, myślałem, że już umarłem i przodkowie wychodzą mi na spotkanie. – Zachichotał. – Byłem taki naiwny. Taki niewinny... Jak Likal. Jak Kalien.

Uter mnie wyleczył, nakarmił i odział. Zanim wziął mnie pierwszy raz, zadbał, by niczego mi nie brakowało. Był troskliwy, czuły i opiekuńczy. Prawie jak ojciec. – Zaśmiał się gorzko. Zamilkł na chwilę, ale zaraz podjął wątek: – Z czasem przestałem być i naiwny, i niewinny. Uczyłem się szybko, a Uter zaczął się ode mnie uzależniać. Kiedy osiągnąłem wiek dojrzały, nie tylko się mną nie znudził, ale wręcz nie wyobrażał sobie beze mnie życia. Zaczął więc mnie uczyć. Zawsze byłem bystry, a on twierdził, że urodziłem się z darem. Magia mnie kochała, a ja pokochałem ją. Jak nikogo wcześniej.

– No i tym razem użyliście kozika, co nie? – powiedział cichutko Sodi, ale jakoś tak bez złośliwości czy wyrzutu, jakby rozumiał motywy Oriana.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie od razu. Dopiero gdy zrozumiałem, że nie puści mnie, póki żyje. Długo myślałem, co zrobić. Po prawdzie czułem wdzięczność, więc nie chciałem go zabić. Tak... ostatecznie. – Uśmiechnął się niemal figlarnie, ale zaraz spoważniał. – Nie znajdowałem sposobu. Latami nie znajdowałem. Aż mi go podpowiedziano. Pierwotni zawsze byli dziwni. Żądni władzy, żądni mocy, bezwzględni. I przekonani o swojej nieskończonej mądrości. Powiedziała mi, co zrobić, a ja posłuchałem. Po latach wahań, wyrzutów sumienia... Zabrałem Uterowi moc, ot tak, po prostu, kompletnie

świadomy, że to go zabije. A potem, nie czekając, aż skona, odszedłem. Byłem wolny. Wreszcie.

Stanąłem przed pałacem Utera i zastanawiałem się, co zrobić. Wiedziałem, że będę musiał uciekać przed resztą Pierwotnych. Nie było ich wielu, ale nie lubili, kiedy ktoś podnosi rękę na jednego z nich. A powiedzieć im prawdy zapewne bym nie zdążył. – Zaśmiał się gorzko. – Tej samej nocy zapolowałem jeszcze na dwoje. Nie żałowałem i nadal nie żałuję. Oni zasłużyli, a ja dotrzymałem słowa. Taka była umowa. Potem ją złamałem, ale wtedy jeszcze zamierzałem dotrzymać. Roiała mi się nieskończona władza, więc dotrzymałem słowa, zabierając magię wybranym przez... – nie dokończył, ale znów się uśmiechnął. – Jestem Złodziejem Magii, ale nigdy nie zabrałem jej nikomu, kto by był jej godzien. Zostałem ręką bogów, poprawiającą pomyłkę. Zabierałem tym, którzy nie zasłużyli na dar i oddawałem temu, kto wiedział, co z nim zrobić.

– Sobie? – zapytał Sodi, udając, że zrozumiał wszystkie aluzje Oriana albo że te go nie obeszły.

– Sobie – potaknął z ponurym uśmiechem. – Zawsze byłem, panie de Gra, sprawnym złodziejem. Mógłbym ukraść najwyższego kapłana z syrellskiej świątyni tak łatwo, jak zabrałem wam konia spod tyłka. Przejąłem moc pięciu największych magów Krainy, zanim na przełęczy w delghartowskich górach dorwał mnie Zakon z elfami i kilkoma magami. Byłem już zmęczony ucieczką. Śmierć wydawała się idealnym rozwiązaniem, zgodnym z umową. Więc umarłem.

W komnacie zapadła cisza. Orian spokojnie sięgnął ponownie po puchar i napił się z niego. Piękna porcelanowa twarz pozostawała obojętna.

– I jak, panie de Gra? Zaspokoilem waszą ciekawość? – zapytał miękko.

Sodi zmarszczył brwi. Połowy słów Oriana nie pojął. Chciałby dopytać o tajemniczą postać, z którą mężczyzna zawierał umowy, ale ani nie wierzył w szczerą Magii, ani rozgniewać go nie chciał. Kiedy zaś spojrzął na siedzącego obok chłopca, dostrzegł, że Kalien słuchał ojca z rozchyłonymi ustami. Już nie wyglądał jak dzikie zwierzątko. Niebieskie oczy patrzyły z zastanowieniem, spokojne i skupione. Czując spojrzenie krasnoluda, zerknął na niego i uśmiechnął się odruchowo. A w tej jednej minie taki zdał się Sodiemu do Likal podobny, że mężczyzna aż się zatchnął na moment.

W końcu jednak Sodi to Sodi, więc moment długi być nie mógł.

– Jeszcze nie całkiem – odpowiedział. – Ście byli tak jak jedna panna, co tom jej zapłacił za przeróżne mecyje, a ona mnie cmoknęła i rzekła, że starczy. Trochęście mnie podgrzali i już koniec?

Orian uśmiechnął się leciuteńko.

– Ano na dzisiaj koniec. Jesteście zmęczeni. Trzeba wam odpoczynku, a opowieści dokończyć mogę przy jutrzejszym śniadaniu. Tak, jak rzekłem, Kalien wybrał dla was komnatę. Idźcie za nim.

I nim Yudherthardere zdążył zaprotestować, Złodziej Magii rozpląnął się w powietrzu.

## IV

### Bracia

Jeden z czterech żołnierzy przy bramie zażądał, by Rosa oddała broń. Spojrzała na niego chłodno, z lekkim rozbawieniem. Był od niej wyższy i potężniejszy, ale i tak cofnął się wystraszony.

– Nie – odpowiedziała spokojnie.

– Rozkaz Króla Królów – wyjaśnił mężczyzna, nie podnosząc głowy.

Przez lata Zakonna wchodziła w progi pałacu i nikt nigdy nie próbował jej rozbierać, a i Reinghartowi dotychczas nie przeszkadzały czarnoelfie miecze na plecach kobiety.

– Nie – powtórzyła więc. Nie sięgnęła po ostrza, nawet nie drgnęła. Stała przed żołnierzami na lekko ugiętych nogach, pozornie spokojna, ale przygotowana do walki. Wiedzieli o tym, tak jak wiedzieli, że w starciu z Zakonną po Przemianach nie mają szans. Dlatego w końcu odsunęli się, ustępując jej miejsca.

Idąc szerokim pałacowym korytarzem, Rosa zastanawiała się, co Reinghart chciał osiągnąć. Wiedział przecież, że nawet nieuzbrojona nigdy nie jest bezbronna. Nie z mocą, którą władała po Przemianach. Dlaczego więc kazał żołnierzom zabrać jej broń? Co się, do cholery, działo?

Pałacowe korytarze były opustoszałe, jakby naraz cała służba pochowała się za zamkniętymi drzwiami, wystraszona cichymi krokami Zakonnej. Dotychczas zawsze jakaś ciekawska buzia przypatrywała się wojownicze z mieszaniną zazdrości, zaciekawienia i strachu. Dworskie dziewczęta albo chciały być jak ona, albo bały się jej magii. Rosa słyszała niestworzone bajdy szeptane przez służbę. Była w nich po trosze boginią, a po trosze demonem. Wiedziała, że ludzie się jej boją, ale nigdy przedtem ów strach nie zwyciężył aż tak ostentacyjnie.

I zawsze witała ją Trydnette.

Tak, nieobecność królowej i wszędobylskiego małego królewicza najbardziej niepokoiła Rosę, bo sprawiała, że dotychczasowe domysły stawały się realne. Trydnette darzyła Zakonną nie tylko szacunkiem, lecz przede wszystkim była do niej ogromnie przywiązana. Nie zignorowałyby jej przybycia. Zwłaszcza, że nie widziały się ponad pół roku. Kobieta Tradycji przyspieszyła. Miała tylko nadzieję, że nie jest za późno.

Nigdy nie musiała się zastanawiać, jakiego dokonać wyboru. Wpojono jej, że Tradycja jest najważniejsza, a potem Kraina i wreszcie Król Królów. Przez całe życie

kierowała się taką właśnie hierarchią wartości, czasami tylko nieco ją naciągając. Ukryła prawdę o synu Trydnette nie tylko dlatego, że prawda oznaczała wojnę. Zrobiła to też dla samego dziecka. Zabiła jego ojca, a dziecko ślubowała chronić. Tamto przyrzeczenie sprzed lat było ważniejsze niż... Ważniejsze niż Tradycja.

Sapnęła cicho i zatrzymała się w pół kroku. Nic nigdy nie było ważniejsze niż Tradycja. Nawet ona sama. Aż do teraz.

Potrząsnęła głową i ruszyła dalej szerokim, rozświetlonym korytarzem, którym przechodziła setki razy, prosto do sali, w której czekał Król Królów. Nikt jej nie zatrzymywał, bo przed drzwiami nikogo nie było, więc po prostu weszła.

Reinghart odwrócił głowę, kiedy ogromne odrzwia otworzyły się ze skrzypnięciem. Stał zupełnie sam, wpatrzony w widok za jednym z ogromnych okien. Poranne słońce oświetlało jego twarz, a Rosa po raz pierwszy pomyślała, że władca się postarzał. Wyglądał na starego, zmęczonego... i chorego. Nie widziała go w takim stanie od tamtej nocy, kiedy przywiozła mu Trydnette.

– Jesteś – powiedział chłodno, a potem ponownie spojrzął za okno. – Zapowiada się piękny dzień, prawda? Cała Kraina budzi się do życia.

Zakonna zmarszczyła brwi, ale milczała.

– Nie oddałaś broni. Wiedziałem, że tego nie zrobisz. – Pokiwał głową. – Mówiłem im, że to bez sensu. Nawet bez tych przeklętych mieczy jesteś niepokonana, prawda? I nawet z nimi musisz być wierna Tradycji. Jak ja.

Położył dłoń na szybie i potarł ją palcami.

– Pamiętasz, kiedy mi ją przywiozłaś? Nie bała się mnie. Była piękna i taka cholernie młoda. Wiedziałem, że mnie nie pokocha, ale kiedy na nią patrzyłem... Kiedyś, dawno, kochałem Alesandrę. Kochałem jak żadną inną. Miałem cztery żony, ale nim poznałem Try, tylko Alesandrę kochałem naprawdę.

– Gdzie jest królowa? – zapytała Rosa spokojnie, ale jednocześnie zacisnęła pięści.

Reinghart nie odwrócił się. Wciąż patrzył przez okno.

– Zakochałem się w niej nie tylko dlatego, że tak bardzo przypominała Aleksandrę... A może dlatego. Nie wiem. Kochałem jej piękno, mądrość, nieokielzanie...

– Gdzie jest królowa? – powtórzyła Zakonna z cichym warknięciem.

Król Królów odwrócił się w końcu i spojrzął na nią.

– W swojej komnacie – odrzekł. – Nadszedł czas rozwiązania.

Rosa ponownie zmarszczyła brwi.

– Widziałam ją przed pierwszym śniegiem. Nie wspominała o dziecku.

Mężczyzna zaśmiał się, ale jakoś tak boleśnie. Pokręcił głową, podszedł do szerokiej ławy przy stole i opadł na nią ciężko. Siedział tak, przygarbiony, patrząc na podłogę u swoich stóp, jakby w kunsztownej mozaice z delghartowskiego marmuru szukał

odpowiedzi na męczące go pytania. Rosa zaś stała wciąż przy drzwiach i przyglądała się władcy z pozorną obojętnością. Gdzieś na pałacowym dziedzińcu krzyknęła jakaś służka, nawołując inną. Z korytarza za plecami wojowniczkę dobiegał stłumiony hałas. I tylko w tej komnacie panowała kompletna cisza.

– Wiedziałaś, że chłopiec nie jest mój? – zapytał w końcu Reinghart. Cicho, żalostnie i bez gniewu, nie patrząc na Zakonną. Kiedy nie odpowiedziała, podniósł wzrok, ale nie powtórzył pytania.

Kobieta rozprostowała palce, by zaraz ponownie zacisnąć pięści.

– Co z nim zrobiłeś?

– Więc wiedziałaś. – Pokiwał głową. – W sumie mnie to nie dziwi. Jesteś Zakonną po Przemianach. Musiałaś wiedzieć.

– Co zrobiłeś z chłopcem? – powtórzyła zimno.

– Nie uwierzyłem Leonerre, kiedy zażądała zwrotu dziecka swojego niewolnika. – Reinghart jakby nie słyszał jej pytania, patrzył na Zakonną nieobecny spojrzeniem. – Try przysięgała, że nigdy nie była z Lodowcem. Ufałem jej. Bogowie, ufałem. Ale prawo jest bezwzględne. Magowie z Rady zbadali Agharta i Trydnette.

– Gdzie jest chłopiec?

– Na wieży. Umrze, gdy słońce osiągnie szczyt. Zgodnie z Tradycją. Zrzuca go, a potem pochowają z honorami. Nikt się nie dowie. Nie będzie wojny z Gaalami.

Twarz Rosy pozostała obojętna.

– A królowa?

– W komnacie. Kiedy Aaghart umrze, wyjmą z niej dziecko i zostawią, by skoła. – Głos mężczyzny załamał się.

– A dziecko umrze chwilę potem, jeśli wyjmą je zbyt wcześnie – dokończyła Rosa. – Wszystko obmyśliliście, prawda? Zatuszujecie egzekucję, Gaalscy możnowładcy uznają, że Try umarła przy porodzie. – Zrobiła krok w stronę władcy, a on nawet nie drgnął. Siedział tylko i tępo patrzył gdzieś przez nią. Miał przy tym tak zrozpaczoną minę, że prawie było jej go żal. Prawie. Kucnęła przy nim i pokręciła głową: – Nie wolno wam było wydawać wyroków bez Zakonu.

– Leonerre przywiozła ze sobą Zakonnego. To on był magiem sprawdzającym czystość dziecka – wyszeptał Reinghart.

– I tyle? Skazałeś na śmierć syna, żonę i być może nienarodzone dziecko, bo mag stwierdził, że powinieneś? – zapytała obojętnie, bez gniewu czy osądzania.

– Rada skazała.

– A to nie ty jesteś Królem Królów?

Reinghart przez chwilę milczał, kręcąc głową, by w końcu odpowiedzieć:



– Jestem Królem Królów. Z woli bogów i Tradycji. Nie mogę się im sprzeciwić. Tradycja jest święta. Ustanowiono ją...

– Panie – przerwała mu cicho z uśmiechem nieobejmującym oczu. – Tradycja to tylko słowa. Nie są ważniejsze niż życie dziecka. Nic nie jest od niego ważniejsze.

– To bluźnierstwo.

– Może. Ja to widzę inaczej. – Wyprostowała się. – Skoro nie wezwałeś mnie, bym osądziła Try, zatem jestem tu, bo i mnie osądzono, prawda?

Nie odpowiedział. Nie musiał, bo za plecami Rosy otworzyły się drzwi i do komnaty wpadli zbrojni.

\*

Chłopiec siedział w kącie pokoju, wpatrując się w krasnoluda. Przekrzywił głowę i uśmiechał się w sposób tak znajomy, że przebudzony właśnie Sodi aż sapnął. Usiadł na łożu i też zapatrzył się w Kalię. Dziwne, nie pamiętał, żeby kładł się spać, nie pamiętał nawet tej komnaty. Była niewielka i rozświetlona, bo przez ogromne okno wpadały do niej promienie słońca. Światło miało intensywność letniego południa, a niebo za kryształową szybą jaśniało idealnym błękitem.

Yudherhardere podrapał się po głowie, bo dałby ją sobie uciąć, że wszystko, co go otacza, powstało dzięki magii Złodzieja, a przecież Tropiciel nawet nie szeptał.

– *Dzień dobry, panie Sodi.*

– Kurwa! – warknął krasnolud, bo głos w jego głowie pojawił się nagle, chociaż usta chłopca pozostały zamknięte, a brzmiał tak znajomo, że wstrząśnięty mężczyzna cofnął się gwałtownie i walnął łepetyną w ścianę.

– *Nietadnie, panie Sodi. Jak się pan Yasa dowie, jak do mnie przemawiacie...*

Krasnolud rozmasował potylicę i wbił wzrok w Kalię. Chłopiec wciąż się uśmiechał, a niebieskie oczy, oczy Likal, świdrowały Sodiego. Mężczyzna otworzył usta, ale gdy młodzieniec pokręcił głową i powoli położył palec na wargach, zamilczał.

– *Nie mówcie* – poleciła bezgłośnie Likal – *Orian może usłyszeć. Myślcie. Na odległość nawet on was nie odczyta.*

– *Jak?!*

– *Kalien mnie zaprosił. Wezwał, kiedyście tak grzecznie w gościnę do mojego kochanego tatulka zawitali.* – Chichot dziewczyny rozbrzmiał prawie realnie. – *Mój brat... trudno mu czasami myśli pozbierać, a i z mówieniem nietatwo...*

– *No, tak jak panna to pewnikiem ozorem nie miele* – pomyślał Sodi jakoś dziwnie lekko i szczęśliwie, a potem uśmiechnął się krzywo, jak tylko on potrafił. – *Nawet mnie to i czasami nadążyć za panną trudno.*

– O, już wy tak skromni nie bądźcie, panie Sodi. Gdzie mnie się z waszym wygadaniem równać. – Chłopiec wystawił język, a Yudherthardere aż westchnął. Chociaż Kalien był drobniejszy, wychudzony, a cienie na jego buźce pogłębiały wrażenie, że choruje, to kiedy tak stroił miny... Jak Likal. Całkiem jak Likal. – Nie smućcie się, panie Sodi – rozbrzmiało w myślach krasnoluda, a chłopiec spoważniał. – Nie umarłam, tylko śpię. Pamiętacie, jak pan Yasa ciągle marudził, że mało sypiam? No, to teraz się wyspię za wszystkie czasy. Pyri się mną opiekuje. Nie smućcie się.

– Ale...

– Nie wasza to wina, panie Sodi. Jakbym się do Kaliena iść nie uparła i Mostu nie włączyła, to i was by nie kusilo puzderko otwierać. Nie ma co rozpaczać. Wszystko będzie dobrze. Zawsze tak było. Nawet jakeśmy musieli jezioro osuszyć, coby Uri pokonać. Nawet na syreniej wyspie... A wcześniej... po Bertho... Pamiętacie, jakem wtedy całkiem od zmystów odeszła? I co? Też się udało. To i teraz... – Głos ucichł na moment, a chłopiec westchnął, wstał, po czym usiadłszy tuż obok krasnoluda, położył mu dłoń na ramieniu. Przekręcił głowę i pokiwał nią poważnie. – Zawsze się udawało. I teraz pewnie pan Yasa poradzi. Przecie wiecie, że poradzi. A jak nie on, to... To kto inny.

Sodi zmarszczył brwi.

– Jak kto inny? Co wy tam, panna, kombinujecie?

– Kto inny, to kto inny – fuknęła Likal w krasnoludzkich myślach. – Się tym nie turbujcie, panie Sodi. Wy mnie tu potrzebni jesteście.

– Ja to, panna, jestem ci zupełnie gdzie indziej potrzebny. Do Rady muszę. Oni mają swoje sposoby, magiczne artefakty, co to im jeszcze mój dziadulo z różnych krańskich zadupiów przywoził. Może który na to wasze spanie pomoże. – Pokiwał głową. Patrzył na chłopca długo i z zastanowieniem. W końcu pokręcił łepetyną i westchnął: – Ech, dzieciaku... Masz oczy jak nasza panna. Zupełnie jak ona.

Kalien uśmiechnął się niepewnie. Wciąż siedział tuż obok krasnoluda, ale zdjął rękę z jego ramienia. Yudherthardere odsunął się lekko.

– Dobra, smarku, czas się mnie zbierać – powiedział łagodnie na głos.

– Nigdzie nie pójdziecie. – Likal ponownie wsunęła się w myśli opiekuna. – Nawet jakby mnie na tym nie zależało, to i tak Orian was nie wypuści. No ale mnie zależy. Potrzebujemy was, ja i Kalien. Widzicie, on to taka ja, ino przed wami. Krzywdzili go i krzywdzili, to i dziki się zrobił. No i nad mocą nie panuje. Orian może i w końcu sobie z tym poradzi, ale wtedy zawładnie i moim bratem. A to dobry dzieciak. Taki jak ja. Niepotrzebne mu rojenia ojca o wszechmocy i władzy nad Krainą. Potrzeba mu tylko... Miłości, panie Sodi. Potrzeba mu miłości i cierpliwości.

– I mnieś, panna, na tego, co mu tę potrzebę zaopatrzy, wybrała? – sarknął bezgłośnie krasnolud. – Toż to tak, jakbyś mnie do eremu wymyśliła leżać, żeby cnoty mniszek

*pilnować, albo wilkowi paść owieczki kazata. Trza było Yasę tu stać. Onego cierpliwość żyty wychłodziła, to i fakt.*

*– Pan Yasa... Przecie wiecie, że on z Orianem... Nie mogłam.*

*– Nie chciałaś, panna, Yasy dupą ryzykować, co nie? – burknął Sodi, acz ze zrozumieniem i bez gniewu. – Co innego krasnolud, a co innego wasz przenajmilejszy opiekun.*

*– To nie tak! Was Orian się nie boi! To i dla was nie jest groźny. A Yasa jeno by go zobaczył, a zaraz... No wiecie.*

*– No wiem. Chciałby waszego tatulka do przodków stać. Wzięliby się za tby, jak nic.*

*– I cholera wie, który by zwyciężył.*

*– Ano, cholera. Wasz języczek, panna, też by się Yasie nie spodobał. – Sodi uśmiechnął się i poklepał chłopca po ręce, a Kalien z wysiłkiem uniósł kąciki ust w coś, co zapewne również miało być uśmiechem. – Jest tam ten wasz braciszek, panna, czy tylko wy teraz jego chude członki nawiedzacie?*

*– Jest.*

*– I słyszy każde słowo?*

*– Słyszy.*

Yudherthardere pochylił się ku chłopcu, zajął mu w oczy i wyszeptał:

*– Dobra, smarku, skoro tak ma być... Cię nauczymy cierpliwości i pokoju. Z miłowaniem nie wiem, jak będzie, bo to bardziej babska sprawa... No ale cierpliwości będziem uczyć, że ho, ho! Rusz no dupę, każ jakie jadło zgotować, to pogadamy.*

Chłopiec potaknął i zeskoczył z łóżka. Podszedł do drzwi, ale nim je otworzył, zatrzymał się i spojrzał na krasnoluda. Patrzył długo, z zamyśleniem, wreszcie otworzył usta i wyjąkał:

*– Dzie... ku... ję.*

Sodi zagapił się, chociaż chłopiec już wyszedł. Coś chwyciło małego mężczyznę za serce i sprawiło, że łzy napłynęły pod zmrużone powieki. Czy to było owo niesłychane podobieństwo bliźniaków, czy trud, z jakim chłopiec wypowiedział to jedno słowo?

Ot, wzruszył się krasnolud, a wzruszał się niezwykle rzadko.

\*

Przez chwilę krótszą niż mgnienie oka Rosa zastanawiała się, czy sięgnąć po broń. Błyskawicznie oszacowała szanse. Spośród sześciu wojowników żaden nie był Zakonnym. Nie należeli co prawda do ułomków i zapewne wybrano ich spośród najlepszych, ale mimo to mogłaby bez trudu ich pokonać. Czarnoelfie ostrza zostały jednak na miejscu. Zakonna stała na lekko rozstawionych nogach z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Mężczyźni wpadli z obnażonymi mieczami i zatrzymali się gwałtownie przed kobietą. Żaden nie kwapił się do ataku. Ostatecznie mieliby walczyć z najslynniejszą wojowniczką Krainy. Patrzyli więc na siebie niepewnie, a wreszcie spojrzeli na Króla Królów. Reinghart jednak, pogrążony w zadumie, nie zwracał na nich uwagi.

Rosa uśmiechnęła się zimno. Czekwała.

– Kobieto Tradycji – zaczął wreszcie dowódca – zostałeś osądzona i skazana. Pójdiesz z nami.

– Dokąd? – zapytała spokojnie, chociaż odpowiedź wyczytała już w myślach gwardzisty.

– Do południowej wieży.

Potaknęła bez słowa. Potem wiedziona bardziej potrzebą Yasy niż własną, spojrziała za siebie, na władcę. Król uniósł głowę i uchwycił jej wzrok.

Był panem Krainy, wybrańcem bogów, ostatnim potomkiem błogosławionego rodu Yerghartów. Dotychczas sądził, że nic nie może go przerazić. Teraz, patrząc w odbarwione tęczówki Zakonnej, w jej chłodne obojętne oblicze... Teraz zaczął się bać.

– *Rosa?* – zapytał Yasa.

– *Jeszcze nie* – odpowiedziała. Ruszyła ku wyjściu. Żołnierze, wciąż w gotowości, rozstąpili się. Kiedy weszła między nich, jeden, najbardziej wyrywny, popchnął ją. Stała i spojrziała na niego. W milczeniu i pozornie obojętnie. Mężczyzna pobladł gwałtownie i zrobił krok do tyłu. Żaden z pozostałych nie spieszył się, by powtórzyć jego gest. Żaden też nie zażądał, by oddała broń. Może i byli odważni, potężni i wielcy, ale z całą pewnością nie byli odporni na czary Pierwotnego.

Wyszli na dziwnie opustoszały korytarz. Poprzednie dźwięki zamarły i ponownie zapadła głucha cisza, przzerwana dopiero ciężkimi uderzeniami stóp żołdaków eskortujących Zakonną. Szli tuż za nią, jakby była ich przywódcą, a nie więźniem. W innych okolicznościach byłaby rozbawiona. W tej chwili myślała tylko o dziecku na wieży.

– *Rosa?*

Korytarz skończył się szeroką łukowatą bramą. Przekroczyła ją, zrobiła jeszcze kilka kroków i stanęła. Reinghart miał rację. Zapowiadał się piękny dzień. Mury obronne, rozświetlone mocnym przedpołudniowym słońcem, odcinały się bielą od czystego błękitu nieba. Wieże wzniesione z czterech stron świata, jak nakazywała Tradycja, górowały nad piaskowcem, a na ich szczytach powiewały proporce Króla Królów. Rosa zmrużyła oczy, by przez chwilę podziwiać otaczające ją piękno.

– Ruszcie się! – warknął gwardzista, podchodząc do niej.

Spojrziała na mężczyznę z westchnieniem.

– Skoro prosicie...

Zaatakowała błyskawicznie. Dwa czarnoelfie miecze zaśpiewały cicho. Żołnierze nie zdążyli uskoczyć. Padli jak ścięte drzewa. Bez jednego słowa. Rosa zakreśliła ostrzami i skoczyła. Kolejnych dwóch powaliła równie szybko, ale ostatni byli już przygotowani. I szybcy. Niemal tak szybcy jak ona. Parowali jej ciosy, odskakiwali, by zaraz zaatakować. Stal uderzała o stal, a trójka walczących tańczyła na wąskich murach Syrelle. Miecze Rosy połyskiwały w słońcu. Kobieta poruszała się niemal bezgłośnie, stawiała stopy z perfekcyjną doskonałością, uchylała się, by nieprawdopodobnie szybko uderzyć. Kilka razy wydawało się, że gwardzista nie zdoła sparować, raz czarnoelfie ostrze przecięło wojskową kurtkę, a stal poczerwieniała. Mimo to żaden z pozostałych żołnierzy nie ustąpił.

Dziedziniec u ich stóp wciąż pozostawał opustoszały, ale przedłużający się pojedynek mógł przyciągnąć uwagę ewentualnego przechodnia. Zakonna zacisnęła zęby. Sparowała uderzenie jednego, odrzuciła miecz drugiego... padła na ziemię i cięła, zwalając przeciwnika z nóg. A potem, nim zdążył się osłonić, wbiła miecz w jego pierś.

Wciąż klęcząc, sparowała cios ostatniego z gwardzistów.

– Opuść – powiedziała spoglądając na mężczyznę.

Zamiast odpowiedzieć, zaatakował ponownie. Potężne uderzenie wyrwało miecz z dłoni Rosy. Kobieta przeturlała się, zamarkowała cios... by błyskawicznie wyrwać zza paska sztylet i wbić go aż po rękojeść w ciało napastnika.

Żołnierz krzyknął. Zachwiał się... i ciężko zwałił na ziemię u stóp wstającej Zakonnej.

– *Rosa?* – znów zapytał Yasa.

– Chodź – powiedziała tylko i nie czekając na efekt zaproszenia, pochyliła się nad konającym. – W której wieży jest królewicz? – zapytała.

Mężczyzna charczał głośno, krew płynęła wąskim strumykiem z długiego, wąskiego rozcięcia w kurtce. Oczy umierającego zachodziły mgłą.

– Cholera – warknęła Rosa. Przyklęła i powtórzyła: – W której wieży?

– Nie odpowie. – Yasa, który właśnie wyskoczył z Mostu, kucnął obok i zmrużył oczy. Wsunął myśli w czerniejące wspomnienia gwardzisty. Krew i mrok zalewały obrazy. Chaotyczne, niewyraźne i coraz bardziej zamazane. Pierwotny przeciskał się przez nie, szukając tego właściwego, ale z każdą chwilą coraz płytszego oddechu konającego znalezienie odpowiedzi na pytanie Rosy wydawało się coraz mniej możliwe.

Yasa nie miał w zwyczaju torturować umierających, ale czas uciekał. Poza tym ten człowiek chciał zabić Rosę, więc Pierwotny zacisnął usta i rzucił zaklęcie.

Rzęzenie zmieniło się w przeraźliwy skowyt bólu. Ciało mężczyzny zadrżało, by po chwili stężyć napięte do granic możliwości. Wycie nie ustawało przez niewyobrazalnie

długą chwilę, aż urwało się gwałtownie. Żołnierz nie żył.

– Wschodnia – oznajmił obojętnie Yasa i wskazał jedną z wież.

Zakonna nie skomentowała. Otarła oba ostrza, wsunęła je w pochwy i nie patrząc na zabitych, biegiem ruszyła we wskazanym kierunku.

\*

Chłopiec się nie wrywał, nawet nie krzyczał. Przywykł do obcych ludzi, do żołnierzy towarzyszących mu na każdym kroku, więc potężny gwardzista trzymający go za rękę nie wzbudzał w małym królewiczu strachu. Aaghart miał dopiero trzy lata, ale wychowany w poczuciu bezpieczeństwa i miłości nie bał się niczego. Stara mamka, która pożegnała go w wieży, poleciła, żeby się nie bał, więc nie mógł. Ufnie podał dłoń wielkiemu mężczyźnie i pozwolił się prowadzić na mury.

Kapitan straży trzymał dłoń dziecka i przeklinał bogów. Jego córka miała raptem ze dwie wiosny więcej... Dwie wiosny... To tylko dziecko. Jacy bogowie każą zabijać dziecko? Jaki król? Jaka Tradycja?! Zerknął spode łba, nieco zaniepokojony, że ktoś mógł usłyszeć jego niewypowiedziane bluźnierstwo. Towarzysze, równie jak kapitan ponurzy, nie zwracali na niego uwagi. Nawet ten młody kapłan, którego świątynia wysłała, by dokonał egzekucji, nawet on wyglądał, jakby mu do tego nie było spieszno. Może... Może gdyby kapitan złapał chłopca i uciekł? Może...

Och, wiedział, że nie może tego zrobić. Nawet gdyby zdołał, nie mógł zostawić żony i czwórki dzieci własnemu losowi. W ostatecznym rozrachunku życie tego malca było dla niego mniej warte niż życie własnych dzieci. Westchnął boleśnie, a królewicz odczytawszy jego emocje, wzmocnił uścisk i uśmiechnął się. Moc przodków Aagharta spłynęła jego palcami w ciało gwardzisty.

Może jednak powinien zaryzykować?

Gdy wyszli z wieży, słońce uderzyło ich w oczy. Zmrużyli powieki, a kiedy je unieśli, dojrzeliby biegnących ku nim Zakonną i Pierwotnego. O tak, kapitan poznał najstarszego maga Krainy, chociaż widział go tylko raz, trzy lata wcześniej. Nie zapomina się takiej istoty.

Zobaczył tamtą dwójkę i właściwie się ucieszył. Przysłuchiwał się procesowi Królowej i wiedział, że Zakonna nie spieszy na egzekucję. Nie po to ukrywała prawdę o królewiczu. Odetchnął, gotów oddać chłopca bez walki...

Nagle obojętny i ponury dotychczas młody kapłan ożywił się. Najwyraźniej i on domyślił się, w jakim celu biegnie tamta dwójka. Wyprostował się, a jego szara twarz pojaśniała.

– Niedoczekanie! – wrzasnął. Rzucił się ku dziecku, wyszarpnął je z ręki zaskoczonego kapitana, po czym skoczył na brzeg murów. – To mieszaniec! Niegodny!

Uzurpator! Jego miejsce jest w czeluści!

– Zostaw! – krzyknął kapitan.

– Nie! – wrzasnęła Rosa.

Kapitan cisnął chłopca w przepaść.

\*

Po jasnym, czystym niebie snuła się jedna maleńka wystrzępiona chmurka. Jako żywo przypominała Sodiemu ową drogą materię, co to ją kiedyś jednej cichodajce podarował za jej bardzo, ale to bardzo wysublimowaną usługę. Wiele już wiosen od tamtego czasu minęło, ale Yudherthardere wciąż i usługę ową, i cenę materii świetnie pamiętał. Cena była tak wygórowana, bo materię ponoć tkwały leśne wróżki z Zaginionych Łądów. Sceptyczny wobec istnienia takich dziwnych stworów Sodi ten jeden raz skłonny był w nie uwierzyć, bo takiego cacka jak owa bieluteńka mgiełka ani później, ani wcześniej nie widział. Zachwycona panienska jeszcze dwukrotnie i już całkiem filantropijnie łaskami krasnoluda obdarowała... Eeech, piękne czasy. I tak mu one do głowy przyszły, kiedy siedział przy suto zastawionym stole przed zamkiem Oriana.

Najedzony, rozparł się na ławie i popijając naprawdę przedni miódzik, uśmiechnął się do towarzyszącego mu Kaliena.

– Nie lubisz, dzieciaku, zamkniętych izb, co? Nie żebym coś miał przeciwko zacnemu posiłkowi na świeżym powietrzu, kiedy niebo takie czyste, słoneczko przygrzewa, a żaden ptak nad łbem nie przelatuje, coby strach był, że nasrać do misy może.

Kalien milczał. Likal zaś najprawdopodobniej opuściła już myśli brata, bo i w głowie krasnoluda żadne złościwości się nie pojawiały. Sodi westchnął, a potem pokiwał głową w już nieco mniej przyjemnym zamyśleniu.

– Ano i mnie jakoś tak lepiej za murami. Nie ma co marudzić, dzień piękny, nawet jeden listek na tamtych jabłonkach nie drgnie... Czary, co nie? Ech, dyć wiem, że czary, ino Tropicieł pospał. Bym nawet pomyślał, że może razem z panną w to puzderko, co to go głupi krasnolud stworzył, wlaź. Nie żebym na brak tego przekleństwa narzekać miał. Łeb to rozpieprza, a i z nosa zamiast smarków co rusz posokę puszcza. No, ale przecie już się po puzderku objawiał, więc chyba nie wlaź, co nie, chudzino? Kiedy tak jednak ani mruknie, to jakiś taki niepokój sercem telepie. Strach taki... No bo przecie przywykł człek. – Westchnął już całkiem ponuro.

Chłopiec odetchnął głęboko, a potem z zawahaniem dotknął ramienia Sodiego.

– *Orian* – pojawiło się w krasnoludzkich myślach – *czar... ochronny*.

Yudherthardere potaknął w milczeniu. Potem z niejakim niepokojem spojrzął na ów zastawiony stół, na misę z mięsiwem...

– Jadło, dzieciaku, też wyczarowane? Nie byłby to pierwszy raz...

– Nie karmiłbym Tropicielea wyczarowanym posiłkiem. – Orian siedział na szerokim fotelu naprzeciwko syna i gościa. Jeszcze mrugnięcie wcześniej nie było ani fotela, ani Złodzieja Magii. Teraz zaś rozparty uśmiechał się swobodnie, jakby z Sodim stanowili parę najlepszych przyjaciół. – Na waszym miejscu, panie Yudherhardere, unikałbym magicznych potraw. Chyba że rzeczywiście chcecie się Tropicielea pozbyć.

– Nie byłby to pierwszy raz, jak wspomniałem – burknął Sodi, bo mu się nie podobało, że każde jego słowo jest przez gospodarza podsłuchiwane.

– Są różne rodzaje czarów, panie Sodi, przecież wiecie. Część jest nieszkodliwa. Taka magia, jaką ja władam... Taka nie jest. – Sięgnął do misy, oderwał kawałek mięsa i wsunął do ust. Przeżuwał z namaszczaniem, a pozostała dwójka patrzyła na niego z oczekiwaniem. W końcu przełknął i znów się uśmiechnął. – W innym miejscu, daleko stąd, służba przygotowuje posiłek. Magia go tylko przenosi.

– Znaczą kradniecie nie tylko czary, co? – Krasnolud uśmiechnął się krzywo.

Usta Oriana drgnęły, ale czarodziej nie zareagował. Odetchnął głęboko, napił się z pięknego kryształowego kielicha, którego uprzednio również nie było i dopiero wtedy odpowiedział:

– Od dawna już, panie Yudherhardere, niczego nie muszę kraść.

Sodi rzecz jasna domyślał się, że tak jest, ale że mu się mocno Złodziej Magii nie podobał, to i chciał go nieco zezłościć. Tylko trochę, coby jak ten malutki kamyczek w trzewiku gnieść tak, że irytuje, ale że człękowi spieszno, to buta nie zzuje i lezie tak traktem, przeklinając.

– Nie sprawdzajcie mojej cierpliwości, proszę – polecił zimno Orian. – Ci, co próbowali, źle na tym wyszli.

– Zaś mi we łbie grzebiecie? Nie mówiliście, że nie będziecie?

– Cóż, obiecałem tylko, że się postaram, prawda? – Spojrzał na syna, który obserwował ich rozmowę z nieukrywanym napięciem, i zacisnął usta. Kalien siedział bardzo blisko krasnoluda, a kiedy ten poklepał chłopca, syn Oriana prawie się uśmiechnął. Kalien, który na każdy dotyk ojca reagował histerią.

Cholernie się to Orianowi nie podobało, bo i zupełnie inne miał plany, ale skoro jednak trzeba było zatrzymać krasnoluda, żeby uleczyć chłopaka, jakoś zniesie takie towarzystwo. Ostatecznie chłopiec został jego jedyną nadzieją.

\*

Rosa była ledwie dwa kroki od chłopca. Gdy zobaczyła jak spada, odruchowo skoczyła. Odbiła się od ściany i poszybowała w dół. Aaghart leciał nieprawdopodobnie szybko. Kilka uderzeń serca i będzie za późno. Zakonna wykrzyzczała zaklęcie, więc



malec zwolnił, ale nie zatrzymał się. Wyciągnęła ręce... Zdołała złapać dziecko w locie, więc okręciła się, by przyjąć uderzenie...

– Rosa!

Yasa wskoczył na mury i wyciągnął rękę. Patrzyła na niego. Patrzyła, jak się oddalał, jakoś tak bardzo powoli. Zupełnie jakby na moment zwolnił czas, a postać byłego kochanka wypełniła cały obraz, jaki widziała. Pierwotny Mag. Czy to z jego twarzą miała pójść w zaświaty?

– Stój! – krzyknął. Nie słyszała, by wymówił zaklęcie, ale musiał to zrobić, bo zamiast roztrzaskać się o skały, zawisła tuż nad nimi, ciasno obejmując małego królewicza. Magia Pierwotnego zatrzymała ich, a potem powolutku zaczęła unosić.

– Nie! – wrzasnął młody kapłan. Przyskoczył do Yasy i szarpnął go za rękę, ale Pierwotny tak mocno skupił się na dziewczynie i chłopcu, że zignorował młodzieńca. Kapłan pociągnął jeszcze raz, a kiedy to nie zadziało, zamierzył się na maga.

Właśnie wtedy kapitan straży uznał, że przecież na murach może zdarzyć się wypadek. Przecież nie jeden gwardzista... całkiem przypadkiem... potknął się już tutaj i spadł w głęboką przepaść, prawda? To i kapłanowi może się przytrafić. Złapał pięść młodzieńca, nim ta dotarła celu. Odwrócił go i zajrzał w oczy, jakby chciał się upewnić, czy nie można inaczej... Kapłan szarpnął z wściekłością. Chciał coś powiedzieć... a może krzyknąć. Nie zdołał. Cokolwiek kapitan dojrzał w oczach młodzieńca, nie zmieniło to jego zdania. Poderwał kapłana z łatwością, a później pchnął. Dziki wrzask odbił się od skał, a potem nagle ucichł. Kapitan zaś spojrzał na swoich podwładnych. Stali kilka kroków od niego, ale żaden nie rzucił się pomagać kapłanowi. Przyglądali się, jak spadał, a gdy przestał krzyczeć, popatrzyli na przywódcę i skinęli w milczeniu głowami.

Moc Yasy niosła Rosę z powrotem na mury. Płynęła żyłami, złączona starożytnym zaklęciem z mocą Zakonnej po Przemianach. Czuła ją tak wyraźnie, jak widziała twarz Yasy, szczupłą, piękną i skupioną na kobiecie, jakby od tego zależały losy świata. Wyciągnął rękę i prowadził czar, pozornie spokojnie, ale ona czuła każdy napięty mięsień, płytki oddech, zaciśnięte szczęki i palce w wyciągniętej dłoni drżące tak niewyczuwalnie, że tylko ona o tym wiedziała.

Najpotężniejszy czarodziej Krainy wciąż jeszcze był przerażony, że może mógłby nie zdołać ich ocalić.

Uniósł ją i chłopca ku szczytom murów, a tam złapali ich gwardziści. Wciągnęli oboje, choć jeszcze przed chwilą szli, by uczestniczyć w egzekucji dziecka. Żaden się nie zawahał.

Rosa usiadła na murach. Królewicz przylgnął do niej, zaciskając drobne piąstki wokół szyi kobiety. Pogłaskała go łagodnie po plecach, a kiedy Yasa wyciągnął rękę, by

przejąc Aagharta, pokręciła głową. Podniosła się szybko, a Pierwotny posłał jej uśmiech i potaknął bez słowa. Dopiero wtedy opuścił rękę i spojrział na otaczających ich żołnierzy. Stali w oczekiwaniu, wpatrzeni w kapitana. Pierwotny również na niego popatrzył. Nie podziękował na głos, ale mężczyzna zrozumiał i potaknął.

– Try – przypomniała Rosa.

– Zaopiekujemy się chłopcem – obiecał gwardzista, wyciągając ręce po królewicza. Malec jednak przyłgnął do Zakonnej, więc kobieta pokręciła głową. Potem bez ociągania ruszyła w kierunku komnat królowej. Pierwotny pobiegł za nią.

Przez kilka uderzeń serca żołnierze stali i patrzyli za biegnącymi. W końcu kapitan przeniósł wzrok na swoich podkomendnych. Znał ich, każdego z osobna. W niebezpieczeństwie powierzyłby im życie. Dlatego właśnie powiedział poważnie:

– Nasza królowa nas potrzebuje. – Wiedział, że żaden z podkomendnych nie zostanie, gdy on ruszy w ślad za Zakonną i Pierwotnym.

\*

Komnata Trydnette pogrążona była w półmroku. Zaciągnięto ciężkie zasłony, więc jedynym źródłem światła były dwie pochodnie w dłoniach młodych kapłanów stojących u wezgowia łoża królowej. Półmrok i duszny aromat ziół spalanych w kadzidłach, oto co miało towarzyszyć gaalskiej władczyni w ostatniej drodze. To i starsi z Rady wraz z najwyższymi kapłanami Krainy.

Try już nie szarpała sznurów, którymi przywiązano ją do łoża. Wiedziała, że nie zdoła się uwolnić. Nie krzyczała i nie walczyła. Gdyby miała w tej chwili powiedzieć, co czuła... Chyba nic. Zupełnie, absolutnie nic. Świadomość, że jej najukochańszy synek nie żyje, zabiła w niej wszystkie uczucia. Była gotowa, by do niego dołączyć. Leżała więc, ogłuszona rozpaczą i wpatrywała się w baldachim nad głową. W złote wzory na purpurowym aksamicie. Patrzyła na nie trzy lata wcześniej, gdy rodziła Aagharta. Ból, a potem radość. Zawsze, kiedy widziała tę tkaninę, na jedno uderzenie serca wracało tamto... Ból, a potem radość.

Kapłani zaintonowali pieśń pogrzebową, a Try wykrzywiła usta. Wściekłość i żal szarpnęły jej sercem. Wściekłość na siebie, na swoją bezradność i straszliwy żal, że nie zobaczy swojej ślicznej córeczki, którą zaraz z niej wyjmą. Nigdy nie uczesze jej włosów, nie zobaczy, jak mała półgaalska królowna uczy się walczyć, jak buntuje się przed sukniami, jak wreszcie się zakocha. Tak jak ona kiedyś. Wściekłość i żal, że nie będzie patrzyła, jak jej córka rośnie, a malutka nie pozna swojego cudownego braciszka.

Zakonny podszedł do jednego ze starszych z Rady. Zawodzenie modlitw wdarło się w śpiewy, zagłuszyło je, by potężnieć niczym bębny przed walką. Starsi kapłani

rozpoczęli błogosławieństwo sztyletu, który miał zabić Trydnette.

Czas zwolnił. Dziesiątki obrazów przesuwano się w zawrotnym tempie w wyobraźni królowej. Dzieciństwo, rodzice, Roni... tak, Roni. Aaghart i wreszcie Król Królów. Reinghart.

Zakonny zbliżył się do łoża. Młodzi kapłani znów się rozśpiewali, aromat kadzideł nabrał mocy...

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. W jasnej plamie wejścia stanęła Rosa.

– Stój! – krzyknęła.

Zakonny poderwał sztylet...

Yasa również wpadł do komnaty.

– Luna... – szepnął, kiedy zobaczył brzemienną kobietę i ostrze nad jej brzuchem. Obrazy dawnych wydarzeń i tego, na co patrzył, zlały się w jedno. Nałożyły na siebie tak, że nie był w stanie ich odróżnić. Ból uderzył w maga i sparaliżował na niesłychanie krótką chwilę, zapierając dech, lodowatym zimnem spalając żyły. Rosa poczuła Pierwotnego. Zobaczyła jego wspomnienie. Jasnowłosą kobietę z dzieckiem, którego nie było. Krew. Morze krwi. Poczwała, jakby to był jej żal, jakby tamtego dnia skończyła jej miłość. Dwie dusze złączone magią, i ta sama desperacja. Jego dłonie we krwi. Jej dłonie. Jasne włosy Luny przesypane przez palce. Martwe oczy... I pustka.

– Luna – powtórzył Yasa.

Spotęgowana żalem i rozpaczą pierwotna moc zawrzała. Połączenie wysało magię z Zakonnej. Opuściła ją z oddechem, z cichym, spowolnionym wściekłością uderzeniem serca maga. Zakłęcie pojawiło się w umyśle Rosy tak, jak poprzednio obraz. Dokładnie wiedziała, co się zaraz stanie. Cofnęła się w korytarz i przytuliła chłopca, by nie zobaczył efektu właśnie uwalnianego czaru. Nie zdołałaby zatrzymać Yasy nawet gdyby chciała. A nie chciała.

Ogień zapłonął najpierw we wnętrzu Zakonnego. Mężczyzna wrzasnął i wypuścił sztylet. Szarpnął szaty, bo płomień już wyrwał się z jego trzewi i trawił odzienie. Na chwilę, tylko chwilę, wydawało się, że zdoła go ugasić. A potem wybuchł pożar.

Przez komnatę przetoczył się grzmot, potem następny i następny. Zagłuszyły skowyt płonących ludzi. Krzyki narastały, zlewały się i rozdzielały jak szalona melodia dla opętańczego tańca ognia, skaczącego po zgromadzonych wokół łoża Trydnette.

W końcu grzmoty ucichły, płomień zgasł i w nagle pogrążonej w mroku komnacie pozostali tylko Trydnette, Yasa i kupki popiołów. Pierwotny ominął je, podniósł sztylet, szybko przeciął więzy krępujące królową, a następnie jednym ruchem odsłonił okna. Mocne słońce rozświetliło pomieszczenie i na moment oślepiło Pierwotnego.

Przymknął więc powieki, ale pozostał w jasnej plamie światła. Pozornie obojętny, mimo szalejących pod skórą emocji. Tego jednak, oprócz Zakonnej, nikt nie zdołałby zauważyć.

– Jesteś cała, pani? – zapytał łagodnie i pomógł Trydnette usiąść.

Kobieta nie odpowiedziała, bo jej wzrok przyciągnęła Rosa, a konkretnie chłopiec, którego właśnie postawiła na podłodze.

– Aaghart... – wyszeptała.

– Mama! – Malec rzucił się ku matce, wpadł po drodze w kupkę popiołu i wzbil go wokół siebie niczym mroczny dym. Nie zrobiło to na chłopcu wrażenia. Oklejony szarą i wciąż ciepłą mgiełką, wtulił się w wydęty maczyny brzuch. – Leciałem, wiesz? Rosa mnie złapała. Wcale się nie bałem. Leciałem... – szczebiotał.

Rosa powoli podeszła do Yasy. Wciąż widziała jego przeszłość, czuła jego żal, tuż pod udawanym spokojem. Połączenie sprawiło, że część tego smutku stała się jej uczuciami. Dlatego stanęła na wyciągnięcie ręki od niego. Żadne z nich nie chciało, by bardziej okazała współczucie.

Kiedy już miała przypomnieć, że czas ucieka, na korytarzu rozległy się ciężkie, szybkie kroki i do komnaty wbiegł Reinghart, krzycząc:

– Nie!!! Zostawcie królową!!!

## V

### Granice

W Krainie nastała już wiosna, więc chociaż noce wciąż były zimne, za dnia słońce przygrzewało całkiem mocno. Trawa nabrała intensywnej, soczystej barwy, gałęzie wypuszczały liście, kwiaty barwiły łąki i cała okolica przy granicy z Itru budziła się do życia. Wystarczyło jednak stanąć na tej granicy, wzdłuż ciągnących się aż po linię horyzontu pól, by znów poczuć zimę. Smoczy świat nadal bowiem pokrywał śnieg. Skrzące się w słońcu białe czapy urywały się równo z końcem Itru, niby odcięte nieistniejącą szybą, która odgradzała oba światy.

Pyri zatrzymał się i poprawił koc, w który zawinął Likal. Młoda czarownica spała wtulona w jego pierś, z lekko rozchylonymi wargami, wygiętymi w zapowiedzi uśmiechu. Zupełnie jakby w tym nierzeczywistym świecie, który teraz zwiedzała, coś ją bawiło, ale nie chciała tego okazać. Rzęsy dziewczyny drżały chwilami, gotowe, chociaż niezdolne, by się unieść. Kiedy bardziej drżały, uśmiech na rozchylonych wargach zniknął, zastąpiony grymasem niezadowolenia. Oj, nie podobało się Likal, że nie może się obudzić. Bardzo się nie podobało.

Smok przyglądał się z czułością to drżącym rzęsom, to ustom śpiącej. Wreszcie, nie potrafiąc się powstrzymać, pocałował czoło dziewczyny. Przytrzymał wargi nieco dłużej, niż zamierzał, bo ciepło skóry Likal nie pozwoliło mu ich zabrać. Kiedy w końcu unióśł głowę, napotkał tkliwe spojrzenie Uri. Zarumienił się, jakby przyłapała go na czymś zawstydzającym, ale nie uciekł wzrokiem. Kobieta stała tuż obok, otulona kożuszką, bo kazał jej założyć ciepłe okrycie. Włosy Pierwotnej wymykały się spod kaptura niczym wijące się wstęgi czystego złota. Nawet chroniony czarem Pyri nie był kompletnie odporny na taką urodę. Użył całkiem mocnego zaklęcia, więc jej piękno nie mamilo magią, lecz musiało być naturalne.

– Bardzo miłujecie tę pannę, prawda? – zapytała łagodnie Pierwotna.

Zamrugnął zaskoczony i popatrzył na Likal. Długo i w milczeniu.

– Nie musicie odpowiadać. – Uri uśmiechnęła się i z wahaniem dotknęła ramienia mężczyzny. Zaraz jednak posmutniała. Położyła dłoń na brzuchu z mieszaniną smutku i tęsknoty zabarwionych radością. – Nie pamiętam, czy on mnie miłował – wyszeptała. – Nie pamiętam.

Słyszając to, Pyri niechętnie oderwał wzrok od śpiącej. Pierwotna nie patrzyła na niego, ale wiedział, że nie musi, by czytać jego myśli. A on wolałby przecież, żeby nie usłyszała tego, co sądził o zdolności Yasy do kochania. Kogokolwiek. Był to jeden z powodów dla których owarował się ochronnymi zaklęciami. Myśli i zaklęty urok czarownicy.

– Wy wiecie, prawda? – zapytała cicho Uri. – Wiecie, czy mnie kochał?

Smok pokręcił głową.

– Nie, nie wiem. Nie znam Yasy. To dziwny, zamknięty człowiek. Nikt go nie zna.

– Może to nie jego... – dotknęła brzucha z niepokojem – i dlatego odszedł?

– Jego – odrzekł niechętnie Pyri. – Pachnie nim. Jak mój siostrzeniec.

Jeśli nawet takie tłumaczenie wydało się dziwne kobiecie, nie kontynuowała dyskusji. Potaknęła w ciszy i zapatrzyła się w dal, w połyskujący w słońcu śnieg. Że zaś Pyri nie odrywał od niej wzroku, nie mógł nie zauważyć, że ciemne oczy zaszkliły łzy. Westchnął na poły gniewnie, na poły rozpaczliwie, bo nijak mu się nie podobało, że będzie musiał bronić Pierwotnego.

– Posłuchajcie – zaczął – nie znam Yasy, jak rzekłem, ale jedno o nim wiem na pewno. Nie zostawiłby was, gdyby wiedział. Nie po tym, co go spotkało...

– Co...?

– Nie moja to rzecz, żeby wam tłumaczyć. Czas już, Uri. Podejdźcie – poprosił, a gdy nie drgnęła, dodał: – Złapcie się mnie. Nie da się wejść do Itru o tej porze roku bez zaproszenia. No już!

Kobieta posłusznie chwyciła rękaw kurtki smoka. Razem przekroczyli granicę.

\*

Reinghart wpadł z krzykiem do środka. Żaden z gwardzistów, którzy przybiegli za Yasą i Rosą do komnaty królowej, a teraz trwali na straży, nie próbował go zatrzymać. Król stanął i zamilkł w pół słowa, z niedowierzaniem patrząc na obecnych.

Widok Króla Królów na nowo obudził wściekłość Pierwotnego. Rozbłysła w mgnieniu oka, równie straszliwa jak ta, która spopieliała niedoszłych oprawców. Stojąca obok Yasy Zakonna tak jak poprzednio poczuła umykającą moc. Nadchodzące zaklęcie skryzalizowało się w jej podświadomości...

– Yasa! – krzyknęła, ale mag nie zareagował.

Nie miała czasu. Wbiła się w myśli Yasy i na moment zatrzymała zaklęcie. Tylko na moment, bo Pierwotny nie chciał słuchać. Ponownie zaczerpnął z magii Przemian...

Rosa odetchnęła. Zamknęła oczy... A potem, kiedy połączenie zadrżało... Potem uderzyła.

Zabolało ją tak samo jak Yasę. Może nawet bardziej, bo czuła i swoją pięść, i jego podbródek. Cios pchnął mężczyznę na kolana i rozproszył. Spojrzał wściekle na Zakonną, ale zanim ponownie wezwał magię, dziewczyna kucnęła przy nim i położyła dłoń na jego policzku.

– Przestań – uspokajała. – Przestań. On ją chce ratować. Popatrz.

Rozedrgane emocje, ból, rozpacz, niepewność, strach... Kompletny mrok wraz z dotykiem przepłynął z umysłu Yasy na jej palce. Poczowała to wszystko, zobaczyła w ciemniejących oczach, ale nie cofnęła się. Czekwała. Użyła Połączenia, żeby rozświetlić ten mrok. Zaczepnęła słodkie wspomnienie z obolałego umysłu Pierwotnego, wzmocniła je, a potem rozpałała. Bezbrzeżną ciemność gniewu rozjaśniła uśmiechnięta twarz Likal. Pierwotny zamrugał, jakby budził się ze snu.

– Popatrz, Yaso – spokojnie nakazała Rosa.

Rysy mężczyzny złagodniały. Dotknął dłoni, która wciąż spoczywała na jego policzku i chociaż nie tego widoku pragnął, posłusznie spojrział na Króla Królów.

Trudno orzec, czy Reinghart był świadomy tego, co ledwie go ominęło, bo patrzył tylko na żonę i syna. Oddychał z trudem, trochę ze zmęczenia, trochę z niedowierzania, że oboje nadal żyją. Pot spływał mu z czoła, a pięści zacisnął tak mocno, że kłykcie pobielwały.

– Try – wyszeptał w końcu.

Trydnette szarpnęła się na łóżku. Przyciągnęła ochronnym gestem syna i nerwowo rozejrzała się po komnacie. Błyskawicznie wypatrzyła ciężki gaalski miecz zawieszony na ścianie i już chciała po niego sięgnąć, kiedy wiercący się od przybycia ojca Aaghart wreszcie zdołał się uwolnić i radośnie pobiegł do Reingharta.

– Tata! Do góry! – Stał przed mężczyzną i wyciągnął rączki. – Do góry!

– Aag! – wrzasnęła Try i rzuciła się do broni.

– Do góry! – powtarzał z uporem chłopiec.

Rosa wstrzymała oddech. Ręka bezwiednie powędrowała do sztyletu za paskiem, a druga dłoń miażdżyła palce Yasy.

Król Królów oderwał wzrok od żony. Przez nieskończenie długą chwilę patrzył na chłopca i jego wyciągnięte ramiona. Trydnette w tym czasie dobiła gaalskiego miecza swoich przodków. Zrobiła jednak tylko jeden krok, bo właśnie wtedy Reinghart podniósł dziecko. Bez słowa, w kompletnej ciszy, bo nawet malec, gdy jego żądanie zostało spełnione, zamilkł. Najpierw trzymał królewicza w wyprostowanych sztywno ramionach i wpatrywał się w jego buzię, szukając czegoś... chyba sam nie wiedział czego. W końcu albo to znalazł, albo dał sobie spokój z szukaniem, bo przygarnął Aagharta.

A potem spojrział na Yasę i poprosił:

– Zabierz mi wspomnienia.

\*

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Uri nadal trzymała rękaw kurtki Pyriego i szła u jego boku, z trudem stawiając kroki. Stopy w eleganckich trzewikach tonęły w śniegu, a chłód przenikał aż do kości. Spojrzała więc tęsknie za siebie, ale zamiast przysadzistego budynku gospody oświetlonego porannym słońcem zobaczyła tylko białą plamę śnieżnej zamieci. Zacisnęła nerwowo palce i przygryzła wargę. Idący obok niej smok wyczuł strach kobiety. Oderwał na moment czułe spojrzenie od śpiącej Likal i uśmiechnął się uspokajająco do Pierwotnej.

– Jeszcze tylko kilka kroków – obiecał.

Uri zamrugnęła niepewnie, bo wokoło, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się białe pola. Dopiero daleko, na horyzoncie, majaczyły cienie drzew. Do czego więc zostało im owych kilka kroków, którymi mamił ją mężczyzna? Już miała o to zapytać, gdy śnieg nagle ożył. Uniósł się tuż przed Pyrim jak mglista zasłona i zamigotawszy w słońcu, złożył głęboki ukłon. Mężczyzna skinął głową.

– Uri, stań, ale nie puszczaj mnie – nakazał i sam się zatrzymał.

W chwili, w której Pierwotna usłuchała polecenia, lodowata mgła zatańczyła wokół całej trójki. Zawierucha błyskawicznie ich otoczyła, zamknęła w śnieżnej kopule, by ledwie uderzenie serca później poderwać z ziemi. Wiatr szarpnął Uri, ale kobieta trzymała mocno rękę Pyriego. Przerazona odwróciła głowę, by popatrzeć na towarzysza...

Śnieg opadł równie nagle, jak się pojawił, a stopy obojga znów dotykały podłoża. Zamiast jednak nieskończonych pól bieli otaczały ich wysokie ściany skalnej groty, rozświetlone mnóstwem żarzących się ogników, zawieszonych na różnych wysokościach pomieszczenia. Świątełka sprawiały wrażenie żywych kropli złota mrugających wesoło do wystraszonej kobiety. Nie ukończyły tym niestety jej niepokoju. Przeciwnie, nagłość wszystkich zmian i samo miejsce sprawiły, że serce zdawało się wyrywać z piersi, a oddech raptownie przyspieszył. Uri przyłgnęła do Pyriego, aż do bólu zaciskając palce na jego rękawie.

– Spokojnie, Uri – powiedział cicho Pyri, a później przytulił mocniej Likal. Skrzywił się przy tym, bo graniczące z histerią przerażenie drugiej z kobiet boleśnie wbiło się w jego myśli. Czarownica próbowała zawładnąć smoczą świadomością. Znał to, raz już nawet pozwolił, by Pierwotny połączył się z nim... i nie było to zbyt przyjemne doświadczenie. Moc Uri była potężna, potężniejsza niż Yasy. W każdym innym miejscu zapewne by się jej udało, ale stali w domu złotych smoków z Itru, na



magicznej ziemi. Niestety, choć próba była nieudana, to i tak bardzo bolesna. – Spokojnie – powtórzył więc. – Jesteśmy w domu. Nic ci nie grozi.

– W domu?

– W moim domu. Możesz mnie już puścić.

Kobieta nie wyglądała na przekonaną.

– Uri...

– Może po prostu zaklnij dziewczynę, braciszku. – Złoty smok wysunął się z korytarza i stanął przed gośćmi. Zielone oczy połyskiwały niczym prawdziwe szmaragdy. Przechylił łeb, spojrzął na uwieszoną na ramieniu Pyriego kobietę i zmarszczył brwi. Postąpił krok i, nie odrywając wzroku od Uri, zaciągnął się jej zapachem.

A potem, z jednym długim westchnieniem, zmienił formę.

– Witaj, Uri – przywitała gościa Deidghe. – Setki lat, moja droga.

\*

Yasa wyprostował się powoli. Uśmiechał się zimno, zupełnie tak, jak miała to w zwyczaju Rosa, i patrzył na Króla Królów z nieukrywaną pogardą. Reinghart zacisnął zęby, ale nie cofnął się, chociaż Pierwotny był jedyną istotą na świecie, której mógł się obawiać. Przed innymi chroniły go albo strażę, albo Tradycja. Tylko temu mężczyźnie nie straszni byli ani żołnierze, ani prawa Krainy. I władał mocą potężniejszą niż jakikolwiek żyjący czarodziej. No może za wyjątkiem Zakonnej. Teraz zaś, kiedy oboje stanęli przeciwko władcy... tak, teraz powinien się bać. Mimo to nie cofnął się.

– Zabierz mi wspomnienia – powtórzył. Zawahał się, a potem dodał przez zaciśnięte zęby: – Proszę.

– Nie – odparł krótko Pierwotny.

– Rozumiem, że mnie nienawidzisz, ale ja nie mogę pamiętać. – Reinghart popatrzył na żonę. – Tradycja... Muszę strzec Tradycji. Ona się mści. A jeśli nie będę wiedział... To mój syn. Moja żona. Moja rodzina. Oczyść moją pamięć. I wszystko się zmieni.

– Nie rozumiesz. – Yasa pokręcił głową. – Nie możesz nie pamiętać. Ktoś w końcu zauważy, że chłopiec ma krew Lodowca, a wtedy musisz być gotowy, żeby odeprzeć atak.

– Ale Tradycja...

– Tradycja to tylko słowa – Yasa nieświadomie zacytował Rosę. – Pamiętam, jak ją spisywano. Pamiętam też czasy, kiedy jeszcze jej nie było. Ktoś kiedyś ją zapisał, więc ktoś może ją zmienić. To tylko słowa.

Zakonna podeszła do przyjaciela i stanęła tuż za nim. Milczała.

– Poza tym... panie – Yasa uśmiechnął się krzywo – wcale nie jest pewne, czy to by coś zmieniło. Twoja żona może nie chcieć zostać w Syrelle. Może nie chcieć już nosić tego... niebezpiecznie zaszczytnego tytułu – zakpił chłodno.

Wszyscy troje spojrzeli na młodą królową. Try stała pośród kopczyków popiołu, wysoka i piękna, z mieczem w dłoni. Nawet w tym stanie gotowa walczyć, jak przystało na Gaalską wojowniczkę. Co prawda opuściła ostrze, ale żadne z obecnych nie miało wątpliwości, że jeśli zajdzie potrzeba, uniesie je ponownie. Wydawała się spokojna, jedynie palce zaciśnięte na głównej rękojeści miecza i pociemniałe oczy świadczyły o głębokim wzburzeniu. Nie drgnęła od chwili, w której Reinghart przytulił syna. Nie zareagowała też na słowa Pierwotnego. Stała i patrzyła, jak królewicz wtula się w ojca.

– Try... – Rosa próbowała wyrwać ją z zadumy. – Co powiesz?

Dziewczyna spojrzała na nią, a potem na Pierwotnego. Przez chwilę się zastanawiała, a napięcie z wolna ją opuszczało. W końcu odstawiła broń, po czym usiadła na jednym z krzesel. Westchnęła i pokręciła głową.

– Jeśli wrócę do swoich – zaczęła – Kraina utraci poparcie Gaalów. Za Gaalami pójda elfy, a krasnoludy tylko czekają pretekstu, żeby znów żądać tronu dla Stroidhera. To oznacza wojnę. Nie mogę na to pozwolić. – Uszczęśliwiony Reinghart zrobił krok w jej kierunku, ale powstrzymała go gestem. – Moja troska o nasz kraj ma swoje granice. Dobro moich dzieci jest najważniejsze. – Zerknęła na Pierwotnego. – Jeśli rzucicie czar, który zapewni im bezpieczeństwo, zostanę.

– Mogę stłumić moc chłopca. Lodowa natura dopiero się formuje...

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie chcę, by rósł pozbawiony choćby części siebie. – Zamilkła ponownie. Położyła dłoń na brzuchu, jakby szukała pomocy u nienarodzonego dziecka. W końcu ponownie spojrzała na Yasę. – Uczono mnie, że są zaklęcia – zmarszczyła brwi i z zastanowieniem ważyła słowa – powiązane z wydarzeniami. Zdziałają tylko wtedy, kiedy coś się wydarzy. Czy to prawda?

– Wyprzedzające warunkowe – potaknął Yasa. Nie czytał Try, ale i tak domyślił się, do czego zmierza.

Królowa pokiwała głową, a potem ponownie spojrzała na męża. Twardo, bez odrobiny cieplejszych uczuć.

– Chcę być pewna, że jeśli coś zagrozi moim dzieciom, magia przeniesie je w bezpieczne miejsce.

– Try... – zaczął Reinghart.

– Jeśli mi obiecacie – zignorowała go i ponownie zwróciła się do maga – że tak będzie, zostanę w Syrelle.

– Ja was ochronię – oświadczył nagle Reinghart.

Dziewczyna zaśmiała się gorzko.

– Tak, jak ochroniłeś Aagharta? – warknęła. – Jak ochroniłeś mnie? Gdyby nie oni, mojego synka już by nie było... – Głos jej zadrżał, ale nie pozwoliła sobie na słabość. – Nie ufam wam, Królu Królów. Kochacie bardziej zapiski w starożytnych księgach niż mnie i dzieci.

Mężczyzna pochylił głowę.

– Źle zrobiłem – przyznał cicho. – Ale kocham was. Więcej nie popełnię tego błędu. – Wyprostował się. – Na Tradycję... – zawahał się i zaraz poprawił: – Na bogów, na życie i na moją miłość obiecuję, że nikomu nie pozwolę skrzywdzić Aagharta, ciebie i naszego dziecka. Przyrzekam na pokolenia Yerghartów, na dziedzictwo i na tron. Na życie i na śmierć.

Dziewczyna zmrużyła oczy, świadoma, że Reinghart złożył obietnicę Króla Królów, wiążącą ponad Tradycją. Święte przyrzeczenie obwarowane przekleństwem. Nie do złamania.

– Za późno, mój panie – orzekła w końcu. – O jeden upadek z wieży za późno. O jeden uniesiony sztylet. Nie mogę ci ufać. Jemu mogę. Pierwotny nie zaryzykuje życia moich dzieci. Nie ma takiej świętej księgi, która zmusiłaby go do zabicia syna. Nawet jeśli to nie on go spłodził.

Słuchając jej, Rosa obserwowała Króla Królów i po raz pierwszy od rana poczuła coś na kształt współczucia. Wielokrotnie widziała, jak człowiekowi rozpada się świat, więc powinna przywyknąć do takich obrazów, jednak widok władcy, który postarzał się w ciągu kilku chwil o lata, jakoś dziwnie ją wzruszył. Może była to świadomość nieodwracalności, a może rączki malca obejmujące z ufnością kark ojca... Trudno rzec, co spowodowało, że Zakonna położyła dłoń na ramieniu przyjaciela, bezgłośnie każąc mu przerwać torturę Reingharta. Yasa popatrzył na nią niechętnie, bo jemu akurat cierpienie władcy bynajmniej nie przeszkadzało. Wymienili spojrzenia i Pierwotny skapitulował.

– To bardzo trudne zaklęcie, pani Trydnette – ostrzegł. – Trudne, czasochłonne i pochłaniające moc. Chcecie, bym połączył Most z czarami przenoszenia i wyczuwającym niebezpieczeństwo. Nawet z mocą Przemian to niełatwe. Trzeba będzie też uwarunkować i wzmocnić wyczuwanie, żeby chłopca nie przeniosło, kiedy zagrozi mu rozbite kolano.

– Spaliliście całą Radę Krainy jednym zaklęciem – zauważyła dziewczyna. – Dacie radę.

– Spaliłem – Yasa przytaknął ponuro. – Chwały mi to nie przynosi, moja droga.

– Zrobiliście to dla mnie.

– Zrobiłem to, bo byłem wściekły. Dla was wystarczyło rzucić czar milczenia – odrzekł szczerze. – Magia wyprzedzająca jest niebezpieczna. Zwłaszcza, że chcecie

związać ją z niepanującym nad mocą pół-Lodowcem. Może przynieść dziecku więcej szkody niż ludzie, przed którymi wasz mąż je ochroni.

Reinghart słuchał Yasy, nie ukrywając zaskoczenia, jego żona zaś zacisnęła usta i milczała. Kiedy cisza w komnacie się przedłużała, Rosa podeszła do królowej. Usiadła obok, a dziewczyna podniosła wzrok i zaprosiła Zakonną do swego umysłu.

– *Jak mam ufać Reinowi?* – zapytała bez słów.

– *Zaufaj Yasie.*

– *Ty mu ufasz?*

– *Bezgranicznie.*

Lekkie drgnienie powieki było jedyną oznaką, że Pierwotny usłyszał wymianę myśli.

– Rosa, daj pani Trydnette monetę – polecił cicho.

Zakonna spojrzała na niego zdziwiona, a kiedy skinął, z ociąganiem wyjęła zza paska szklany pieniążek, podarek od Yasy, i spojrzała na niego z żalem. Nie chciała się z nim rozstawać. Och, nigdy nie była specjalnie sentymentalna, ale w jakiś niezrozumiały sposób ten przedmiot był jej bardzo bliski. Cóż, kiedy trzeba, to trzeba... Westchnęła, a potem podała szkiełko królowej.

– To magiczna rzecz, pani – wytłumaczył Yasa. – Przywoła mnie, jeśli będziesz potrzebowała.

Trydnette uniosła artefakt, a słońce wpadające przez okno zatańczyło w szkle i rozdzieliło się na tęcze promienie. Kiedy dziewczyna poruszyła palcami, barwy zatańczyły, malując na ścianach kolorowe cienie.

– Piękna – szepnęła Try.

– Użyteczna – poprawił ją. – Jeśli moc twojego męża zawiedzie, wezwij mnie. Usłyszę, gdziekolwiek bym był.

Tęcza barw zachybotała na ścianie i zgasła, gdy Trydnette zamknęła dłoń na magicznej monecie.

\*

Deidghe przyglądała się śpiącej Likal z ciekawością. Słyszała o podopiecznej Yasy. Któż by nie słyszał o ludzkiej dziewczynie, której moc porównywano z potęgą starożytnych Pierwotnych? Nie sądziła jednak, że kiedykolwiek przyjdzie jej gościć owo cudo. No, może trochę sądziła... Ostatecznie całe Itru szeptało, że Pierwotny zmierza ze swoimi towarzyszami w odwiedzinach do Deidghe. Smoczyca spodziewała się więc starcia z czarownicą i jej opiekunem. Właśnie, starcia, nie zaś tego, że dziewczynę przyniesie zakochany w niej Pyri.

Cała rodzina miała słabość do czarodziejów. Niedobrze.

Dziewczyna spała i mimo prób, nie zawsze przyjemnych, nie zdołali jej obudzić. W tym stanie nie wydawała się szczególnie groźna. Nie to co Yasa. On nawet we śnie był niebezpieczny. Deidghe uśmiechnęła się z czułością pomieszaną z lekkim niepokojem, jak zwykle, gdy wspominała Pierwotnego. Od chwili, w której zostawiła go w wieży, nie zabierając ze sobą Smoczego Ziarna, wiedziała, że Yasa w końcu powróci do jej życia. I nie była pewna, czy cieszy ją ta myśl, czy przeraża.

– Córka Złodzieja Magii? – zapytała brata, żeby oderwać myśli od byłego kochanka.  
– I Pierwotna? Więcej obcej mocy nie udało ci się ściągnąć do Itru?

– Nie ty mówiłaś, że nie wolno winić dzieci za błędy ojców? – burknął Pyri i, zerkając na Uri, która przyglądała im się z krzesła po drugiej stronie łóżka Likal, dodał: – I że nie wolno opuszczać w potrzebie tych, którzy wyświadczyli nam przysługę?

– Cholera – parsknęła cicho – czasami żałuję, że nie wychowałam cię jak na smoka przystało: na kompletnego dupka. Masz za dużo z matki, a za mało z ojca. Wiesz, że nie z miękkiego serca słyną smoki?

Chłopak wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– I Uri? – zapytała, bynajmniej nie szeptem, Deidghe.

– Co Uri?

– To córka Isiny, najgorszej Pierwotnej w historii.

– Isiny... – powtórzyła szeptem Uri.

– Gdyby nie Yasa... – kontynuowała Deidghe.

– Wystarczy! – przerwał jej Pyri, bo wiedział, do czego zmierzała jego siostra. – Ona naprawdę nic nie pamięta. Jest wystraszona i zagubiona. Poza tym – dodał łagodniejszym tonem – czujesz, prawda? To dziecko Yasy. Brat albo siostra Lunasa. To rodzina. A rodzina jest najważniejsza.

– I jeszcze te zerderanowskie bzdury. – Deidghe machnęła ręką zniecierpliwiona. Nie kontynuowała jednak, tylko ominęła brata i podeszła do Uri. Od dłuższego czasu próbowała wejść w myśli czarownicy, żeby przekonać się, czy rzeczywiście straciła pamięć, czy to tylko taka dziwna zabawa. Kiedyś, dawno temu, gdy Deidghe była jeszcze bardzo, bardzo młoda, poznała Uri i wiedziała, że uczciwość nie jest jedną z cech, którymi czarownica mogłaby się pochwalić. Dlatego smoczyca nie chciała wierzyć, choć kobieta będąca jej gościem wyglądała na zdeorientowaną. Niestety wszystkie próby odczytania Uri kończyły się porażką. Może by to nie dziwiło Deidghe, ostatecznie to Pierwotna czarownica, starsza i potężniejsza od Yasy, ale mrok panujący w myślach kobiety nie miał nic wspólnego z naturalnymi barierami Pierwotnych. Był dziwny. Magiczny w sposób, jakiego Deidghe nie знаła. To i wystraszony wzrok gościa sprawiło, że smoczyca, trochę wbrew sobie, uwierzyła w zapewnienia czarownicy.

– Więc, Uri, nie pamiętasz mnie? – zapytała dużo łagodniej, niż zamierzała.

– A powinnam?

– Cóż, minęło z pięćset lat, ale ponoć wy, Pierwotni, macie pamięć równie dobrą jak smoki.

Czarownica przygryzła wargę i pokręciła głową.

– Nie pamiętam... Pięćset? – wyszeptała.

– Mniej więcej. Kto by to liczył. Słyszałam potem, że... – zawahała się. – Nieważne. Najwyraźniej to było łągarstwo, skoro cię gościmy. I dziecko, Uri? Dziecko Yasy? On nie wie, prawda?

– Nie wiem...

– Oj, na pewno. Nie zostawiłby cię. Oszukałaś go? Zawsze byłaś mistrzynią w zabawie mężczyznami. Pamiętam. Nie spodziewałam się jednak, że kiedyś zobaczę cię w tym stanie. Córka Isiny przy nadziei. Niesamowite. – Pokręciła głową. Widząc szklące się oczy kobiety, westchnęła. – Nie płacz. Nie jestem lepsza. Zrobiłam Yasie dokładnie to samo. Obie przekroczyłyśmy granice... uczciwości. – Zachichotała. – Jego granice. Nie będzie zachwycony... sposobem, bo efekt pewnie mu się spodoba. Od Luny... – uchwyciła zdezorientowane spojrzenie Uri i urwała w pół zdania. – Jakoś to będzie. Yasa nie należy do naiwnych, a dla nas obu łągarstwo to żadna nowość. O mnie już wie. Ty będziesz zapewne niespodzianką. Ależ się zdziwi, kiedy do nas dotrze. A dotrze – spojrzała na pogrążoną we śnie Likal – dla niej.

Podopieczna Yasy ziewnęła we śnie, potarła policzkiem poduszkę, a później przekręciła się na drugi bok i ponownie wtuliła w pościel. Uśmiechnęła się przy tym słodko, więc wpatrzony w nią Pyri aż sapnął z emocji. Sięgnął do śpiącej, ale zaraz cofnął dłoń. Smoczyca skrzywiła się i przewróciła oczami na ten widok. Potem jednak, nagle, jakby coś jej przyszło do głowy, zmarszczyła brwi.

– Może – zaczęła powoli i z zastanowieniem – moja droga współniczko w zbrodni, może... jeśli uda nam się obudzić tę dziewczynę... Może ojciec naszych dzieci nie zechce urwać nam głów. – Poklepała splecione na brzuchu dłonie Uri i uśmiechnęła się trochę kwaśno. – Może nawet zwróci ci pamięć.

Wstała i spojrzała na brata.

– Każ wezwać królewskich medyków, kapłanów i naczelnego maga Itru. – Kiedy Pyri ruszył do drzwi, dodała jeszcze: – I przyprowadź mojego syna. Powinien poznać cioteczkę.

## VI

### Nauczyciel

Kyta, odziana w samą tylko mglistą materię, biegła zieloną łąką, deptając wielobarwny dywan kwiatów. Podskakiwała, wyrzucała ramiona w górę i chichotała głośno i radośnie. Co jakiś czas odwracała się i machała ręką, a poruszona przy tym delikatna materia to opinała, to odsłaniała kawałek po kawałku pociągające ciało elfki. Dziewczyna przesyłała ręką pocałunki, słodką zapowiedź tego, co miało się zdarzyć, kiedy tylko... o, już, już za chwilę... zlegną wśród traw. Zaraz, ledwie kilka uderzeń serca i Sodi zasmakuje owych delicji, za którymi tęskni już tyle dni... zaraz.

Ochrypli, przerażający wrzask wyrwał rozmarzonego krasnoluda ze snu. Był tak pełen rozpaczy, wizgliwy i przenikający aż do kości, że rozbudzony mężczyzna ze strachu złożył palce w ochronny znak. Krzyk nie ustawał, to wzrastał, to słabł, ale wciąż był tak samo straszliwy, wysoki i bliski obłędu. Brzmiał zupełnie tak, jakby wydawało go dzikie stworzenie, złapane we wnyki i bliskie konania. Sodi potrząsnął głową, siadając na łożu. O tak, domyślił się, kto wydziera się tak okrutnie po nocy. Nie, żeby chciał uwierzyć, że jakiś człek może aż takie cuda gardłem wyczyniać.

Westchnął ciężko, bo przecie tam, we śnie, to się owa przezroczysta materia, co to żywo chmurki na orianowskim niebie przypominała, już zaczynała z Kity cacuszek zsuwać. No i jeszcze chwilka... A Sodi przecie zawsze powtarzał, że lepsza nawet taka ułudna pochedóżka niż żadna. No, ale jak trza, to trza, a jemu było trza ukoić jednego smarka. Bo przecie jak on dupy nie ruszy, to dzieciak nawet tę wymyśloną zwierzynę z okolicy wypłoszy. No, a już na pewno wydumaną Kytę z ochoty obedrze. Eeech.

Wstał i ociężale ruszył w kierunku, z którego dochodziło zawodzenie Kaliena.

Szedł przez kompletnie opustoszałe korytarze, a jedynym dźwiękiem, zagłuszającym nawet odgłos buciorów krasnoluda uderzających o marmurową posadzkę, był krzyk chłopca. Wszystko inne okryła cisza. Głęboka, niemal gęsta i prawie na pewno magiczna. Kiedy Kalien milkł, by nabrać tchu, na jedno czy dwa uderzenia serca, ten absolutny bezdźwięk unosił włosy na grubym karku Yudherthardere. Krasnolud stał wtedy, zaciskał pięści, a później przyspieszał aż do biegu. Przebył w ten sposób całą drogę do sypialni Kaliena.

Za zamkniętymi drzwiami chłopiec wciąż wrzeszczał, z tym samym to unoszącym się, to opadającym natężeniem. Sodi przez chwilę wsłuchiwał się w niezrozumiałe

bełkot, ale w końcu pojął, że słowa nie mają żadnego sensu. Pokręcił głową i położył dłoń na skoblu...

I cofnął ją gwałtownie, bo Tropiciele śpiący od chwili, w której Sodi przeniósł się do orianowego świata, zaskowyczał rażony magią.

– Nie próbujcie, panie Yudherthardere – odezwał się cicho Orian.

Sodi wciąż krzywił się z bólu, więc nagłe pojawienie się gospodarza nie poprawiło mu nastroju.

– Po cholere żęście drzwi zaklinali, ha? – warknął, spoglądając na mężczyznę. – I się nie dało, jak i całej okolicy, jakimś ochronnym potraktować, cobym nie musiał z bólu galotów obsrywać?

– Ano się nie dało – odrzekł spokojnie gospodarz. – Nie ma takiego ochronnego zaklęcia, które stłumiłoby moc strzegącą pokój mojego syna.

– To po cholere ście jej używali? Dzieciak się drze jak ja, kiedy mnie jedna cichodajka za gwałtownie... dyć, nieważne. Znać, że cierpi, bidulek. Pewnikiem śni mu się coś z tych mecyj, co to go ludziska przez całe życie nimi paśli. Trza gówniarza obudzić...

– Wierzcie mi – Orian zniżył głos i zbliżył się do krasnoluda – nie chcecie wejść do tej komnaty. Nie przeżylibyście takich odwiedzin.

Krasnolud zmarszczył brwi, a potem popatrzył na drzwi, zza których dobiegały wrzaski Kaliena.

– Miałem kiedyś służącą – gospodarz podszedł do wejścia i oparł się o ścianę tuż obok niego – która, jak wy, była czuła na cierpienia mojego syna. Straciła własne dzieci w zarazie, więc chłopiec wydał jej się ich namiastką zesłaną przez bogów. Ostrzegalem, ale nie posłuchała... – Zamilkł na moment, a potem dokończył: – Musieliśmy rankiem pozbierać jej kawałki, a do usunięcia posoki spomiędzy kamieni trzeba było zaklęcia, bo woda jej nie zmogła.

Jeśli chciał zastraszyć Sodiego, to prawie mu się to udało. Krasnolud zacisnął zęby i cofnął się minimalnie. Nie patrzył przy tym na Oriana, bo nie odrywał wzroku od drzwi. Jakoś nie potrafił odejść, kiedy chłopiec za nimi tak straszliwie cierpiał.

– Znaczy ni ma co wchodźć, co? – zapytał niepewnie.

– Z Tropicielem pod skórą... Nic z was nie zostanie.

– Ale, cholera, żal dzieciaka. – Yudherthardere podrapał się po głowie. – Długo tak może?

– Są takie noce, że krzyczy bez ustanku. A następnego dnia nie je i nie chce stąd wyjść. Póki krzyczy, jest źle, ale kiedy zamilknie... – Westchnął i sam ucichł na moment. – Próbowałem go uleczyć, ale ten rodzaj... szaleństwa jest odporny na moją magię. Może razem z Likal... – Zamyślił się na chwilę, a potem ponownie spojrzął na krasnoluda. – Możecie wracać do siebie. Tutaj nie pomożecie.



Sodi zawahał się. Nijak nie spieszyło mu się posoką mury orianowskiego pałacu barwić, ale i zostawić dzieciaka też mu nie pasowało. I nie tylko dlatego, że Likal prosiła o opiekę nad bratem. Westchnął, zacisnął zęby, a potem ponownie dotknął zaczarowanych drzwi.

Nieznośny ból rzucił go na kolana, ale Yudherthardere tym razem się nie cofnął. Dzielnie trzymał dłoń na drewnianym skoblu. Zamknął oczy, przywołał jedno z zaklęć, które w rodzinie Yudherthardere przekazywano od czasów Benerii, a w końcu powiedział w myślach:

– *No, smarku, cicho już.* – Zacisnął zęby, bo Tropiciel skowyczał głośniejsze niż Kalien, a potem powtórzył: – *Cicho. Co było, to było. Już nie wróci. Nie dam cię ukrzywdzić. Ani ja, ani twoja siostra, a gówniara wie, co robi. Jak będzie potrzeba, to i Yasa pomoże. Cicho już! Bebechy mnie zaraz wymaszerują. Cosik mnie tam we łbie praśnie od tego twojego i Tropicielea wycia. Daj spokój, bo ubijesz nauczyciela, zanim jaki pożytek będziesz miał z niego. No już!*

Kalien znów osiągał wysokie tony, a mimo nieustającego wrzasku jego głos wciąż był czysty, pozbawiony chryпки, która po tak długim i głośnym zawodzeniu powinna się już pojawić. Kiedy Sodi próbował przebić się przez histeryczny zaśpiew i wcisnąć nieco owej miłości, o której Likal mówiła, w obolały umysł orianowskiego syna, w zamkniętej komnacie szalała absolutnie nieokiełznana moc. Strzelały błyskawice, huczał wiatr, a pośród tego szaleństwa unosił się Kalien, śniący koszmar z przeszłości.

I w chwili, w której znów zanurzano go w ciemnym, mokrym, głębokim dole, a świat wokół wypełniały mrok i gęsta, cuchnąca maź, kiedy jedynym odgłosem pozostało gwałtowne bicie jego serca... właśnie wtedy w koszmar wcisnął się zrzędlawy głos krasnoluda. Marudny i jęczący, mimo że bezgłosny, zadziwiająco podziałał na horror chłopca. Zupełnie jakby niewidoczny sznur obwiązał tonącego Kaliena i wyszarpał go z mroku, wilgoci i ciszy. Może to jeszcze nie był jasny uroczy dzień nad spokojną taflą jeziora, ale z całą pewnością miejsce, w którym znalazł się śpiący młodzieniec bliskie było ukojeniu. Kalien zamilkł, a później odetchnął głęboko. Potężne czary w jednej chwili ustały, a ostatnie zaklęcie łagodnie złożyło wciąż śpiącego orianowskiego syna w łóżu.

Krasnolud nadal klęczał po drugiej stronie drzwi. W końcu jednak podniósł się z ociąganiem, otrzepał spodnie, przetaił rękawem nochal i ziewnąwszy potężnie, spojrzął na Oriana.

– No, panie Złodziej, dyć do dzieciaka trza z miłością, co nie? Jak się ładnie go poprosiło, to zamknął jadaczkę. No i żadnych flaków spomiędzy kamyczków usuwać nie trza. Teraz to ja mogę łeb złożyć w te wasze puchowe piernaty, co toście mnie przyszykowali. – Zrobił dwa kroki i zatrzymał się naraz. – A dyć, właśnie, zem miał

wspomnieć... Skoro wam niespieszno rezygnować z mojej kompanii, to może byście jaką pannę, cholera, dla spragnionego krasnoluda... co nie? Jest taka jedna, w elfim lesie, Kyta jej miano. Może nie dzisiaj, bo to całe waszego synalka wychowywanie z sił mnie do cna wyzuło. No, ale jutro... Człek by trochę... no wiecie, co nie? – Uśmiechnął się zachęcająco, a później, nie czekając na odpowiedź, ruszył korytarzem do swojej komnaty. W ciszy, która nagle zapadła, ciężkie kroki krasnoluda podobne były do odległych grzmotów.

Oślupiały Orian, od tygodni bezskutecznie próbujący ukoić ból syna, gapił się w kołyszącą się przysadzistą sylwetkę gościa, nijak nie mogąc pojąć, czego właściwie był świadkiem.

\*

Białe obłoki niemal zasnuły błękitne niebo, jakby jakiś boski malarz użył długich pociągnięć pędzla, czasami gęściej, a czasami rzadziej zasłaniając błękit. Pomiedzy maźnięciami przemykały nieliczne promyki słońca i igrały wśród zieleni traw. Kładły cienie na pagórkach, rozświetlały korony drzew, by po odbiciu się od tafli jeziora rozbłysnąć i skonać. W Syrelle zawsze najszybciej z wszystkich części Krainy nastawała wiosna. Tego roku nic się nie zmieniło i łąki obsypało wielobarwne kwiecie. Rosa stała na szczycie pałacowej wieży, nieobecny wzrokiem wpatrując się w wiosenny krajobraz. Myśli Zakonnej, wzmocnione czarem króla elfów, mknęły do wojów, których zostawiła w chacie niedaleko stolicy Krainy. Mogła już nakazać im przybycie, ale nie w tym celu słała do nich myśli.

– Byłem pewien, że zgodziłaś się z Królem Królów, kiedy obiecał sam rozwiązać problem królowej Doliny Serbithów – obojętnie zauważył Yasa, stając za plecami kobiety.

Odwróciła się i spojrzała na niego chłodno. Nie wspominała mu wcześniej, że niepokoi ją protektorka Sodiego, a konkretnie to, skąd wiedziała o pochodzeniu królewicza. Poza tym Leonerre była jedynym pozostałym przy życiu świadkiem procesu. W innych warunkach Rosa sama wyruszyłaby do Doliny, żeby porozmawiać z królową. Niestety, tym razem nie mogła. Od kraju Leonerre dzieliło ich wiele dni drogi, a Zakonna obiecała pomoc przyjacielowi. Nie wiedziała, ile czasu to zajmie, ale była pewna, że na krucjatę przeciwko serbithowskiej królowej go braknie. Z tego powodu słała do niej swoich przybocznych.

O tym jednak nie wspominała, co oznaczało, że Yasa czytał jej myśli.

– A ja byłem pewna – zauważyła chłodno – że nie będziesz wchodził w mój umysł nieproszony.

Mag wzruszył ramionami.

– Zaprosiłaś mnie. W Połączeniu.

– Czas cofnąć zaproszenie – zauważyła bez gniewu.

Yasa uciekł spojrzeniem. W milczeniu minął Rosę i oparłszy się o mur, spojrział w dół. Zacisnął palce na kamieniach, a potem odetchnął głęboko. Kiedy poprzednio stał tutaj i dzierzył zaklęcie unoszące dziewczynę z dzieckiem, nie zauważył, jak niesłychanie daleko jest do ziemi, jak niewiele brakowało, żeby stracił ją na zawsze.

– Yaso. – Zakonna usłyszała tę myśl, ale zignorowała ją, zajęta inną. – Cofniesz Połączenie?

Gdy nie odpowiedział, podeszła i pociągnęła go za ramię, zmuszając, by na nią popatrzył.

– Nie zrobisz tego, prawda? – domyśliła się. – Dlatego kazałeś oddać królowej monetę.

Patrzył na nią bez słowa.

– Tego rodzaju magii nie da się cofnąć – odpowiedział w końcu. – Moneta już nie będzie ci potrzebna, bo wystarczy, że pomyślisz o mnie, a będę o tym wiedział.

Kobieta zmeła w ustach przekleństwo i na moment zacisnęła palce, boleśnie wbijając je w ramię Pierwotnego. Zaraz jednak cofnęła rękę i zrobiła krok do tyłu.

– Nie dałam ci na to zgody – warknęła.

– Nie dałaś – potaknął, a po krótkim zawahaniu dodał: – Agrah Err dał. Tylko tak mogłem cię chronić. Wiedział o tym. I nie protestował.

Kobieta Tradycji, najpotężniejsza wojowniczką Krainy, fuknęła poirytowana, bo uświadomiła sobie, że mężczyźni podjęli za nią decyzję. Żaden nie zapytał o zdanie.

– Cholera! – Pokręciła głową zniesmaczona. Odsunęła się od Yasy i popatrzyła tuż ponad horyzont, gdzie słońce właśnie chowało się wśród koron drzew. – Nie mieliście do tego prawa. Nawet Err. – Odetchnęła powoli, głęboko i przymknęła oczy. Odlegli o godzinę jazdy wojowie usłyszeli polecenie. Czują ich jaźnie tuż pod powiekami. Milczące, acz wymowne. Przyjęli rozkaz i błyskawicznie zerwali kontakt. Kobieta uśmiechnęła się chłodno. W ten charakterystyczny sposób, który rozchyłał usta, ale nie docierał do oczu, pozostawiając je obojętnymi. – Wiesz, co to oznacza, Yaso? Zastanowiłeś się, mój drogi, dlaczego Err wydał zgodę, by nas połączyć w ten sposób? – Zbliżyła się do byłego kochanka i dokończyła cicho: – Za każdym razem, gdy będę z nim... Będziesz wiedział. Będziesz czuł. Każdy raz, Yaso.

Mężczyzna zacisnął zęby. Milczał.

– Mój elf zaznaczył teren – zaśmiała się gorzko – a ty dałeś się złapać. Jak żądny miodu dzieciak, wsadzający łapę w bzyżące gniazdo. Mężczyźni! Czy mag, czy elf... jesteście jak dzieci.

Odwróciła się i ruszyła ku schodom. Zanim jednak stanęła na pierwszym z nich, ponownie spojrzała na Pierwotnego. Czuła jego tłumiony gniew zmieszany z żalem. Od wielu godzin czuła każdą z jego emocji. Jeśli dotychczas nie była pewna jego uczuć, to teraz, przez to przekłete Połączenie, nie mogła już w nie nie wierzyć. Smutek, który ją ogarnął, nie należał do Yasy. Był jej.

– Chodź, głupcze – poleciła miękko. – Yorhowie zajmą się Leonerre. Czas pomyśleć o twojej Likal.

\*

Sodi leżał wśród wysokiej trawy wsparty na łokciach i obserwował Kaliena. Chłopiec chodził nerwowo, stawiając długie kroki. Robił cztery w jedną stronę, stawał, a potem cztery w drugą. Za każdym razem zatrzymywał się tuż przed krasnoludem, który dzięki temu na chwilę mógł przestać mrużyć powieki. Szczupła sylwetka zasłaniała wtedy bowiem słońce, a cień przynosił ulgę zmęczonym oczom Sodiego. Ledwie jednak mijalo uderzenie serca, Kalien ruszał dalej.

– Dobra, gówniarzu – burknął Yudherthardere, siadając. – Przestań no tak maszerować, jakbyś chciał dziurę w ziemi wydeptać. Ziemia magiczna, to i dziury nie będzie, a mnie już od tego kręcenia łbem wraca poranny posiłek. A szkoda by było, bo lepszego pieczystego to żem w gębie nie miał od zeszłej zimy. Nie wiem, jak ta wasza kucharka mięsiwo robi, no ale człekowi żal coś w misie zostawić... Siadaj, gówniarzu. – Poklepał trawę obok siebie. – Pogwarzym o czym tam będziesz chciał. Ino przestań się tak wiertać! – Podniósł głos, a Kalien przystanął. Zmarszczył brwi i wbił pociemniałe spojrzenie w krasnoluda. A było w nim coś takiego, że przez chwilę Sodi rozmyślał, czy jednak deczko nie przesadził. Mimo to uśmiechnął się... jak mu się zdawało zachęcająco, szeroko, odsłaniając krzywe zęby i mrużąc oczy pod krzaczastymi brwiami.

Kalien zamrugał, a mrok w jego spojrzeniu zastąpił czysty błękit. Usta drgnęły niepewnie, jakby młodzieniec nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Wahał się jeszcze moment, aż w końcu siadł tuż obok Yudherthardere.

– I dobrze, smarku. Jako że już mnie nie grozi, że się pieczystego pozbyć mogę, to rzeknij no mnie, o czym byś to chciał, cobym ci opowiedział, ha? Bo i musisz, młody, wiedzieć, że trafił ci się nie lada nauczyciel. Czegom to ja w życiu nie увидział, czegom nie skosztował... Na ten przykład, jakem w twoich latach był... no może i nieco młodszy, ojce mnie w szkoły posłali, bo mówili, że niby książęce pacholę, z prawdziwego książęcego krasnoludzkiego domu, to powinno wiedzieć to i owo. No i se umyślił ten mój tatulek, że syrellskie uniwersytety to mnie tego owego nauczą. – Zawiesił głos, dumając krótko nad przeszłością, ale kiedy Kalien zapragnął tę przerwę

w potoku słów wykorzystał i otworzył buzię, Yudherhardere podjął wywód: – Pewnikiem liczył, że mnie wyszkolą w gramatykach, rachunkach, mapach i innych takich. Nie żeby nie próbowali. Tłukli mi te wszystkie nauki do łba... a bywało, że i w inne mniej szlachetne części ciała. Oj, niejedyn raz dupa twojego przeszacownego nauczyciela czerwieniała niczym lico panny, co to pierwszy raz się ją musnęło wiadomo gdzie. Cosik to i pomogło, bo mnie w łepetynę wtłoczyli kilka języków, kapkę historii i całą kopę przeróżnych całkiem nieprzydatnych informacji. No! A ilem się przy tym ubawił! Bo, wiesz smarku, był tam, blisko szkolnych sal, całkiem zacny lupanar. Oj, zacny... – Sodi z szerokim uśmiechem rozciągnął się na trawie. Podłożył ręce pod głowę i patrząc w niebo, kontynuował: – Wielem zwiedził tych przeszacownych placówek, ale nawet w Ośłozłotogównianowie, mimo tych wszystkich frymuśnych cudeniek... no i kanalizacji... Eeeech, nawet tamtejszy takich mecyj nie oferował wygłodniałemu krasnoludowi jak syrellski zamtuz dla uniwersyteckich bakałarzy. Jakie panny tam... oj, smarku... – Zerknął na chłopca. – Nie żebyś ty tam wiedział, o czym ja prawię, co nie? Pewnikiem jeszcze niewieściego cycka nie macał, co?

Kalien zarumienił się gwałtownie, a potem pobladł. Opuścił głowę i wydukał:

– Iriana.

Krasnolud zaskoczony aż podniósł się na łokciach i spojrzał na młodzieńca. Ani przez moment nie zastanawiał się, skąd zna imię, bo chociaż z księżniczką, w przeciwieństwie do jej siostry, nie dane było mu zamienić nawet słowa, to pamięć do ładnych buzi miał nad wyraz znakomitą.

– No, dzieciaku... – powiedział cicho, z szacunkiem – toś použíwał z najładniejszą szlachcianką podgranicznych siól Krainy. Nie. – Machnął ręką, widząc, że Kalien najwyraźniej nie zamierza docenić owej przyjemności. – No, ja wiem, że to suka była. Siostrze narzeczonego podebrała, a potem bidulkę wysłała do przodków. Znaczy Belcia też kawał cholery... – Pokręcił głową z zadumą. – Dziwna rodzinka, ni ma co... No i ta twoja panna, jakem słyssał, to i dupą chętnie rozporządzała. Nawet Yasie proponowała... Nie wspomnę, że i ciebie tykać nie powinna, boś gołowas, a i całkiem chybaś nie wiedział, co robisz, nie? No, suka. Wiem. Za to niebrzydka, oj nie. I pewnikiem z tem swoim całym... ekhm... doświadczeniem, to całkiem w tych sprawach sprawna, nie?

Chłopiec poczerwieniał i uciekł spojrzeniem.

– Znaczy, cholera, nie powinienem pytać. Ale człek ciekaw. No, ale jak tobie wcale te mecyje w smak nie były, to i nie dziwne, że gadać nie chcesz. A i to, żeś pannę uścił razem z połową miasta, zdaje się całkiem zrozumiałe. – Krasnolud pokręcił głową. Ponownie opadł na trawę i popatrzył w niebo. – Tylko wiesz, smarku... Trza trochę pohamować humorki. Krew w tobie płynie gwałtowna. Jak w naszej gówniarze. A ona,

jak się podkurwiła, to całe miasto w proch... Całe miasto. – Zerknął na Kaliena. – Dobrze jej to nie zrobiło. Do dzisiaj się panna tak całkiem nie ogarnęła. Eeech, strasznie nam się wtedy pochorowała. Prawie tak, jak teraz. Całkiem od przytomności odeszła. Nie chcielibyśmy, coby i ciebie to spotkało. – Pokiwał głową ze smutkiem. – Teraz, kiedyście se tak wydumali, że mam robić za twojego nauczyciela, to muszę i zadbać, byś prędzej pomyślał, a dopiero potem zakłamię pieprznął, co nie? – Uśmiechnął się niewesoło, milczeć jednak nie zamierzał: – To skoroś zaś nie taki znowu niewinny, to i rozumiesz, co prawię o tych mecyjach z syrellskiego lupanaru. Ech, smarku, lata już minęły, a mnie wciąż czasami śnią się owe panny. Żaden bakałarz tyle mnie nie nauczył, co jedna zielonooka... jak jej było... aaa! Zalunka. Tak, Zalunka! Starsza już była, to i rozumów zdążyła nabierać. Niejeden profesor do niej zaglądał, więc dziewczucha prawie taka uczona była, jak i żak z najstarszej klasy! No, a sposoby nauki miała... ech, nadzwyczaj przyjemne. Nadzwyczaj. Widzisz, smarku, człek z wiekiem docenia takie maciupkie radości. Nie żeby teraz Kyta nie umiała Sodiemu dogodzić. A dyć, stara się ta moja elfia panna. Oj, stara... – Rozmarzony zerknął na siedzącego obok Kaliena i zmarszczył brwi. – Czegoś tak pomarkotniał, ha? A dyć, że i tobie się jakieś dziewczęcę kiedy trafi. Brzydkiś nie jest, jeno częściej gębule musisz rozwierać. Panny lubią, kiedy się im słodkości prawi. Znaczy, wiesz, Yasa niby nie gada, a panny do niego zawsze chętne... No, ale Yasa to Yasa. No, czego gębę skwasił?

Kalien otworzył usta, zamknął i ponownie otworzył. Odetchnął głęboko i powiedział tylko:

– Likal.

Sodi spochmurniał błyskawicznie.

– Co Likal? – zapytał.

– Powiedzcie... jeszcze o Likal – poprosił młodzieniec.

Yudherthardere westchnął. Odwrócił się i wciąż leżąc, przez długą chwilę patrzył na ostatnią, samotną pierzastą chmurkę sunącą po czystym niebie.

– Ech, dzieciaku, tęskno mi do naszej gówniary – przyznał w końcu. – Dobry z niej huncwot, ni ma co. Potrafi tak przypiec jednym ino słówkiem... tak przypiec... No, całkiem jakby ona moją rodzoną była. Jakby mnie tak kilkanaście lat temu, z tą jedną cichodajką, co to się jej buzia nigdy nie domykała... no jakby nam wtedy wyszło, to pewnikiem byłoby jak Likal. Znaczy wyszczekane by było, bo urody to i mnie i tym bardziej tej cichodajce to bogowie jakoś poskąpili. No i nasze nie byłoby takie śliczniutkie jak ta twoja siostra. Bo ni ma co łąać, Likalowa gębula to chłopom w głowie zawraca. Oj, zawraca. Długo, całkiem długo ino Yasa tego nie widział. Ciągłe i od nowa mówił, że to dzieciak i dzieciak. No ale jak się smocze szczenię w naszej Likal

zadurzyło, to i Yasa wreszcie dojrzał, że nam panna wyrosła. Aż zieleniał na gębie, kiedy się młody do naszej gówniary zbliżał! Byłoby się działo, jakbym... – zawiesił głos, a potem przetarł oczy i pociągnął głośno nosem. – Eeeech, smarku... Głupi ten twój nauczyciel. Całkiem głupi. Narobił takiego bajzlu, że nawet w najgorszych lupanarach podkraińskich siół takiego nie znajdziesz. Eeech...

Chłopiec przygryzł usta. Przypatrywał się krasnoludowi z dziwną, pełną niesłychanego natężenia mieszaniną współczucia i ciekawości. Jakby z jednej strony żał mu było małego mężczyzny, a z drugiej nadziwić się nie mógł jego słowom i pragnął usłyszeć jeszcze więcej. W końcu jednak młode i wrażliwe serce Kaliena zwyciężyło. Młodzieniec przysunął się niepewnie i, po krótkim wahaniu, poklepał ramię Yudherthardere. Ten zerknął na brata Likal i wykrzywił usta w namiastce uśmiechu.

– Dyc, smarku, ni ma co rozpaczać, jak się człek poślizgnął na krowim placku i dupą w gówno pierdolnął, ino trza wstać i czystych gaci poszukać, nie? To niby chcesz, żebym ci o siostrze prawił? Znaczy niby co tak konkretnie, smarku? Bo że pan Yasa wreszcie słabość do niej nijaką poczuł, to żem już rzekł. A trza ci wiedzieć, że Likal od lat za nim oczyska wypatruje. Dziw, że wcześniej chłop nic, bo przecie, jakem rzekł, cudne nam dziewczę z tego chudego chuchra, co to żeśmy je z Jofty wyratowali, wyrosło. Aż wierzyć trudno, bo i z ciebie, smarku, będzie kiedyś niebrzydki kawaler, a przecie tatulek wasz... Znaczy ładny to on i jest, ale jakiś taki... No, jak te cacusne figurki w buduarze serbithowskiej królowki. Jenó dmuchniesz, a pieprznie o ziemię i w pył się rozleci...

– Moje dzieci mają urodę po matce – przerwał krasnoludzkie wywody Orian. Jak zwykle pojawił się znikąd, a przecieź mogło się zdawać, że siedział wśród traw, po lewicy Sodiego, już od wielu godzin. Krasnolud podskoczył nerwowo. Natychmiast też wstał, niezbyt grzecznie odsuwając się od gospodarza. Najchętniej ukryłby się za Kalieniem, ale że jednak trochę wstyd mu było za dzieciaka plecami stawać, zajął miejsce tuż obok młodego czarodzieja, a najdalej jak mógł od jego ojca.

– Moglibyście, kurwa, nie straszyć ludzi, co nie? – burknął. – My tu z młodym o życiu prawim... Nie zapraszalim podsłuchiwczy, co nie?

– Słyszałem, o czym rozmawiacie – Orian pokręcił głową – i nie bardzo mi się podoba, że w ten sposób chcecie mojego syna w życie wprowadzać.

– Bo wy pewnikiem to byście ino o cnoie i niewinnym miłowaniu dzieciaka uczyli? – Krasnolud skrzywił się. – Boście taki znawca, co nie?

Mężczyzna zacisnął szczęki, a krasnolud po raz kolejny tego dnia pomyślał, że może jednak ciuteńkę przesadził. Mimo to dzielnie zniósł lodowate spojrzenie ojca Likal i tylko nieco się cofnął. Ot tak, coby lepiej widzieć tył głowy Kaliena.

Orian zacisnął pięści, rozprostował je, a potem uśmiechnął się chłodno.

– Z nas dwóch, panie Yudherthardere, to właśnie ja lepiej znam się na uczuciach – zauważył wypranym z emocji głosem. Popatrzył na syna, a jego zimne oblicze nabrało ciepłych tonów. – Kalien i Likal są żywymi przykładami na to, że mówię prawdę. Kochałem ich matkę. Kochałem tak, jak nikogo innego. Kiedy ją spotkałem... Cóż, miałem względem niej inne plany. Wtedy jeszcze najważniejsza była moc. Wtedy chciałem zawojować świat z... – Zamilkł na moment, jakby już powiedział za dużo. Dopiero po chwili uśmiechnął się i podjął: – Laien była dobra, czuła i ufna. I piękna. Tak, piękna też. To jednak nie było najważniejsze. Mam taką moc, że mogłem wyczarować najcudniejsze kochanki, więc uroda nigdy nie miała znaczenia. Liczyło się... serce. A Laien miała ogromne. Sprawiała, że zapomniałem o wściekłości, zapomniałem o żalu, o pragnieniu władzy... Zapomniałem o wszystkim. Dla niej zaryzykowałem wojnę. Bo była tego warta. Bo chociaż byłem już stary, ona odjęła mi lat. Wymazała przeszłość, dała nadzieję na przyszłość. W jej oczach zobaczyłem życie. Kochałem Laien. Wy nie możecie tego powiedzieć o żadnej kobiecie, prawda? – zakończył cicho, można rzec, że wręcz obojętnie, chociaż jego oczy o barwie czystego letniego nieba, płonęły gniewem. Przez chwilę patrzył na gościa, a potem zniknął. Bez słowa, bez grzmotów czy błyskawic, po prostu się rozplątał.

Słuchając przemowy Oriana, Sodi co jakiś czas zerkał na Kaliena. Chłopiec siedział sztywny, zapatrzony w jakiś daleki punkt. Zupełnie jakby był posągiem, nie żywym człowiekiem. Dopiero gdy jego ojciec zniknął, młodzieniec drgnął i zamrugął, przytomniejąc. Uśmiechnął się rozmarzony do krasnoluda i wyszeptał:

– Laien...

Yudherthardere westchnął cicho, bo znów mu się zdało, że to Likal siedzi obok, tak jej buźkę wyraz twarzy chłopca przypominał. I ledwie westchnął, pomyślał, że jednak Orian się myli. Kochał kobietę. Może nie w ten sposób, w jaki Złodziej Magii zmarłą żonę, ale równie silnie, równie głęboko. Nawet gdyby była jego rodzoną córką, nie kochałby jej bardziej.



## VII

### Przebudzenie

Na zewnątrz dawno zapadł zmrok. W zimowym Itru noc nadchodziła wcześniej i zagarniała świat mrocznymi mackami. Błyskawicznie cała okolica pogrążała się w ciemności. Tuż za granicami wciąż jeszcze świeciło słońce. Chyliło się co prawda ku zachodowi i kładło niesłychanie długie cienie, ale wciąż świeciło. W Itru jednak dni nadal były krótkie. Niedługo, kiedy nadejdzie przesilenie, wszystko się zmieni, a dzień zrówna się z nocą, by z czasem niemożebnie ją skrócić. Do przesilenia wciąż jeszcze było dość daleko, więc poza smoczymi grotami szarość przeszła w czern, kryjąc pod nią kontury świata.

Jaskinie władców Itru zwykle o tej porze ogarniała cisza. Zmiennokształtne złote smoki z Itru nie przesypiały wprawdzie całej zimy jak ich niezmienni poddani, ale o tej porze roku ceniły sobie ciszę i spokój. Z tego też powodu Deidghe nie była specjalnie zachwycona poczynaniami brata. Pyri bowiem nie tylko nie chciał się wcześniej położyć, lecz także nie pozwolił tego uczynić ani jej, ani magom, medykom czy chociażby służbie. Wszystkich razem i każdego z osobna zmuszał do wymyślania nowych sposobów obudzenia Likal. Początkowo Deidghe popierała tę gorliwość. Od miesięcy czuła, że Yasa się zbliża i że spotkanie z nim nie będzie usłane różami. Fakt, że braciszek przyniósł do Itru największy skarb Pierwotnego i to w stanie wymagającym pomocy, smoczyca uznała za dar bogów. Och, wiedziała, że Yasa kocha tę dziewczynę. Wyczytała to w jego emocjach już przed dwoma laty. Wtedy sądziła, że to bardziej rodzicielskie uczucia. Teraz, patrząc na śpiącą, wcale nie była tego pewna. Dziewczyna była piękna. No i całkiem dojrzała jak na dziecko...

Tyle że wciąż, cholera, spała.

Deidghe sprowadziła do groty, w której spała Likal, kwiat mędrców, magów i kapłanów z Itru. Pyri wyciągnął z tobołków artefakt ze Złotego Dębu, a smoczy doradcy usiedli wokół niego i zaczęli deliberować nad sposobami otwarcia. Proste, a później skomplikowane czary otwierające nie zadziałały, Pyri zaś nie pozwolił użyć siły, żeby nie uszkodzić puzderka i tym samym nie pozbawić Likal jej mocy. Siedzieli wiele godzin i dyskutowali lub milczeli na przemian. Przerывała im tylko służba donosząca jedzenie. W końcu uznali, że magią dziewczyny mają czas się zająć, a póki co trzeba rozwiązać problem magicznego snu. Nikt z najtęższych głów Itru nie był

bowiem pewien, jak długo stan, w którym znajduje się młoda czarownica, może trwać bezpiecznie dla jej zdrowia. Pyriego zaś przerażała myśl, że dziewczyna może ponownie wejść w katatoniczne zawieszenie między światami. Kapłani i magowie smoczego świata znów rozpoczęli dyskusje. Najpierw użyli różnych naparów przygotowanych przez medyków, potem zaklęć, a wreszcie dziwnych małych stworzonek, które kasały stopy dziewczyny, od widoku czego zemdliło Deidghe, a Uri po prostu zwymiotowała... Potem wrócili do czarów, wspomaganych przez Pierwotną...

A Likal tylko ziewnęła i przewróciła się na drugi bok.

Wówczas jeden z medyków wymyślił, by dziewczynę ukłuć długim ostrym wrzecionem. Pyri, nie wiedząc, co to takiego, przystał na propozycję. Kiedy jednak służka przyniosła rzeczony przedmiot, a medyk się zamierzył... Cóż, wystarczy rzec, że tyłek owego medyka wzbogacił się o nową dziurę. Inny z uczonych mężów, kompletnie niezrażony tym, co przytrafiło się koledze, uznał, że można by łożę panny opleść specjalnymi cierniami sprowadzonymi z Zamorza. Opleść ciasno, a potem jeszcze zaciągać, żeby ciernie werżnęły się w skórę... Po tym jak ów mędrzec skończył, wyjąc skrępowany cierniami, kolejne pomysły jakoś się nie pojawiły.

Trwali tak więc przy łożu Likal, w całkowitej ciszy, przerywanej tylko ciężkimi krokami drepającego tam i z powrotem Pyriego. Od czasu, kiedy zjedli ostatni posiłek, nikt poza młodzieńcem nawet nie drgnął. Większość stała, kilkoro przycupnęło na ławach. Zmęczona Uri wsparła głowę o ścianę i drzemała u wezłowania uczennicy Pierwotnego, a Deidghe pogratulowała sobie, że wcześniej kazała odprowadzić Lunasa do łóżka. Sama siedziała naprzeciwko śpiącej, coraz bardziej poirytowana i zmęczona. Nadzieja na szybkie rozwiązanie problemu zgasła w smoczycy mniej więcej przy piątym zaklęciu. Skoro bowiem największy mag Itru, wzmacniany magią Uri, nie potrafił wyrwać młodej czarownicy ze snu, szanse, że w ogóle im się powiedzie, były nikłe.

– Wystarczy już, Pyri – przerwała w końcu ciszę. – Nikt już dzisiaj nie wymyśli nic mądrego. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Uri powinna odpocząć, a i Likal nie służy kolejne szarpiące nią zaklęcia.

Smok spojrzał niechętnie na siostrę i przygryzł usta. W głębi duszy wiedział, że Deidghe ma rację, ale nie potrafił się z tym pogodzić. Tak wiele sobie obiecywał po powrocie do domu. Jakby samo tylko miejsce miało magiczną moc uzdrawiania. Teraz więc, po wielu, bardzo wielu próbach, rozczarowanie Pyriego nie miało granic. Podszedł do łóżka Likal i, usiadłszy na jego krawędzi, odsunął łagodnie włosy z twarzy śpiącej. Dziewczyna westchnęła przez sen i uśmiechnęła się z czułością.

– Pyri – westchnęła cichuteńko we śnie – myślisz...

Nie dokończyła i tylko wtuliła policzek w poduszkę. Zrozpaczony mężczyzna popatrzył na siostrę.

– Chcesz z nią zostać? – zapytała łagodnie Deidghe.

Zawahał się, a później, acz niechętnie, pokręcił głową.

– Chcę, ale nie zostanę. Pójdę przejrzeć bibliotekę. Może coś znajdę.

Deidghe potaknęła w milczeniu. Nie chciała okłamywać brata, a wołała mu nie mówić, że jeśli żaden dotychczasowy pomysł nie okazał się skuteczny, to i stare księgi raczej nie pomogą. Nie była gotowa na złamane serce Pyriego.

– Niech Uri zostanie z twoją panną – zaproponowała więc tylko. – Łoże jest spore, a ona wyczerpana i lękliwa. Dobrze jej zrobi czyjaś obecność... Bogowie! Uri lękliwa. Świat się kończy. – Zaśmiała się niewesoło.

Pierwotna zamrugła, słysząc swoje imię i wyprostowała się na ławie. Powiodła półprzymyślnym wzrokiem po obecnych, a kiedy Deidghe powtórzyła propozycję, potaknęła z ociąganiem i po chwili ułożyła się obok podopiecznej Yasy. Najwyraźniej rzeczywiście była straszliwie zmęczona, bo ledwie złożyła głowę na poduszce, zamknęła oczy i zasnęła.

Smoczyca odprawiła obecnych i sama również w końcu wstała.

– Idziesz? – zapytała brata.

– Już... – westchnął, po czym po raz ostatni popatrzył na Likal. – Deidghe...

– Widzę. Nie musisz mi tłumaczyć.

– Ale...

– Yasa ci jej nie odda, wiesz o tym, prawda?

– Ona nie należy do niego.

– Należy. Czujesz to. Oboje wiemy, że czujesz. – Podeszła do brata i położyła mu dłoń na ramieniu. – Pyri, od ponad stu lat Yasa nie... nie kochał nikogo. Nie widziałeś go wtedy. Ja widziałam... Nie chcę, byś cierpiał.

– On jej nie może zmusić...!

– On jej nie będzie zmuszał, Pyri. To Yasa.

– Nie wszystkie kobiety mają taką irracjonalną słabość do Pierwotnego jak ty! – warknął smok, bo po prostu nie potrafił się powstrzymać. Skoro on cierpiał, siostra też powinna.

Osiągnął cel, bo Deidghe cofnęła rękę i zrobiła krok do tyłu.

– Nie, nie wszystkie – odpowiedziała chłodno. Nie kontynuowała, zbyt rozgniewana na brata, że wspomniał jej o czymś, z czego od wieków nie potrafiła się wyleczyć. W milczeniu ruszyła do drzwi. Nie oczekiwała przeprosin. Czasami z Pyriego wychodził prawdziwy smok, a wtedy ranił bez zastanowienia. I nigdy nie przeproszał.

A że nie czytała w myślach brata, nie wiedziała, że zawsze miał wtedy wyrzuty sumienia. Ten raz nie różnił się od innych. Ledwie Deidghe wyszła, Pyri zagryzł usta i pochylił głowę. Dopiero po jakimś czasie wstał i ruszył w ślad za siostrą.

\*

Yasa skrzywił się lekko.

– Nie jestem Tropicielem, Roso. Nie umiem jej namierzyć.

– Myślałam, że Pierwotni... – zawiesiła głos.

Uśmiechnął się chłodno i rozparł na ławie. Przez chwilę patrzył na Zakonną, pozornie obojętnie, w kompletnej ciszy. Rosa już nie czuła jego emocji tak intensywnie jak poprzednio, bo obwarował myśli zakłęciami i nawet Połączenie nie pozwoliło jej w nie wejść. Ona nie potrafiła się tak zabezpieczyć. Wiedziała, że Yasa czyta ją bez najmniejszego trudu. Obiecał tego nie robić, ale jakoś mu nie wierzyła. Dlatego fakt, że nie mogła mu się odwzajemnić, niesłuchanie ją irytował. Była Zakonną po Przemianach, niewiele rzeczy potrafiło doprowadzić ją do złości. Yasa owszem. Kiedy tak siedział, patrząc na nią spod na wpół opuszczonych rzęs, z leniwym uśmiechem błakającym się na ustach... Po raz pierwszy od lat miała wrażenie, że utraciła przewagę, którą zawsze nad nim miała. I tak, to ją drażniło.

– Nie jesteśmy ze sobą związani, Roso. Nie w ten sposób. Mam na myśli Pierwotnych. – Roześmiał się cicho, kiedy zmarszczyła brwi. – Nie mnie i ciebie. Nie potrafię namierzyć Uri. Wiem, że niektórzy myślą inaczej, ale to bzdura.

– Bez Uri nie zwrócimy Likal mocy. Potrzebujemy twojej kuzynki.

– Sądziłem, że nie tęsknisz do jej widoku.

– Nie tęsknię – niemal warknęła. Wstała i podeszła do okna. – Ale Likal jej potrzebuje. Cóż – odwróciła się do maga – skoro ty nie potrafisz, a kurdupel jest cholera wie gdzie, będziemy musieli sięgnąć głębiej.

Usiadła na podłodze, krzyżując nogi, a potem zamknęła oczy i wezwała Agrah Erra. Jak poprzednio nie użyła Nurtu Myśli, chociaż rosnąca irytacja właśnie ten sposób jej podpowiadała. Chętnie porozmawiałaby z oboma mężczyznami swojego życia jednocześnie i powiedziała, co sądzi o ich konspiracji. Zwłaszcza zachowanie Erra mocno ją ubodło. Yasa... to Yasa, po nim nie spodziewała się poszanowania granic, ale Err?

– Jesteś zła? – Elf zjawił się w myślach kochanki szczerze zaskoczony. – Z powodu Pierwotnego?

– Potem – warknęła. Odetchnęła głęboko, żeby uspokoić emocje. – Potrzebuję twojej mocy. Musimy znaleźć Uri. Razem ją ożywiłiśmy, więc może razem zdołamy ją namierzyć.

Agrah Err nie odpowiedział. Czuła jego obecność, tak jak i myśli Yasy. Obaj weszli w jej świadomość, każdy z własnego powodu, a ona nie miała władzy, by któregośkolwiek wyrzucić. Czuła obu z taką samą intensywnością i... z tą samą niechęcią.

– Err... – odezwała się na głos, żeby przepędzić frustrację.

– Jesteś zła. – Chociaż nadal był tylko świadomością, widziała jego zdziwienie.

– Powiedziałam, że potem – przypomniała bezgłośnie. – Przeniesiesz się?

– Nie mogę.

– Err... – powtórzyła w myślach, tym razem nie ukrywając złości.

– I nie ma takiej potrzeby. Kiedy ją ożywił, zakotwiczyłem zakłęcie namierzające. Nie ufałem jej i Pierwotnemu. Chciałem zawsze wiedzieć, gdzie jest i co robi. Na wypadek, gdyby jednak postanowiła użyć swojej mocy.

– I nie zechciałeś mnie o tym poinformować? – warknęła.

– Co się dzieje, Roso? – dopytywał Agrah Err. – Zachowujesz się dziwnie. Nigdy taka nie byłaś.

Zapewne by nie odpowiedziała, gdyby rozmawiali, ale w tych konkretnych okolicznościach, w bezgłośnie wymianie myśli, nie całkiem potrafiła ukryć, co ją trapi.

– Nigdy też nie byłam połączona z Pierwotnym. – Złośliwa odpowiedź wymknęła się Zakonnej mimowolnie. A do niej od razu dołączyła druga: – Może jego powinieneś zapytać, co się ze mną dzieje?

Zapadła cisza. Err wciąż był w umyśle Zakonnej, ale milczał. Czuła jego niepokój prawie tak intensywnie, jak swój gniew. Cholera, miał rację, coś było nie tak. Od wieków nie irytowała się tak szybko.

– Gdzie jest Uri? – zapytała w końcu, już zdecydowanie łagodniejszym tonem.

– W Itru.

– W Itru? – powtórzył głośno Yasa, przestając udawać, że nie bierze udziału w rozmowie kochanków.

Rosa usunęła z myśli króla elfów. Otworzyła oczy, a potem szybko wstała i podeszła do Pierwotnego. Odbarwione tęczęwki kobiety błyszczały lodowato, kiedy pochyliła się nad magiem.

– Lepiej wymyśl, jak cofnąć Połączenie – ostrzegła bardzo, bardzo cicho – albo przestaniemy się lubić.

Nie odpowiedział, ale już się nie uśmiechał. Ona zaś ponownie podeszła do okna. Przez chwilę milczała, obserwując ptaki latające między drzewami na zamkowym dziedzińcu. Barwna parka przemykała między gałęziami, nurkowała ku ziemi, by błyskawicznie poderwać się do koron drzew. Po drodze zbierały drobne patyczki. Tak się w tym zapamiętały, że nie przeszkadzała im nawet pałacowa służba. Raz czy dwa w

ostatniej chwili umknęły przed jakąś dwórką. Kiedy znikwały wśród liści, Rosa mrużyła oczy, by wypatrzyć skrzydlatą parę wijącą gniazdo. Z nieznanых powodów ten widok działał na nią kojąco.

– Nie wpuszczą mnie do Itru – stwierdziła w końcu, nadal nie patrząc na Yasę. – Musimy poprosić złote smoki o zwrot twojej kuzynki.

– Wpuścą cię – zaprzeczył spokojnie. Wstał i podszedł do Zakonnej. Przyglądał się jej intensywnie, ale kobieta nadal ściagała wzrokiem ptaki, kompletnie ignorując obecność maga. Westchnął więc i dodał cicho: – Roso, postaram się zerwać Połączenie. Może Uri... albo kiedy Likal odzyska moc...

Spojrzała chłodno na przyjaciela.

– Zakon nie ma wstępu do Itru. Nie wejdę tam.

– Wejdiesz na zaproszenie złotego smoka – wyjaśnił cicho. Stał tuż obok Zakonnej i jak nigdy dotychczas, chłonał całą gamę gwałtownych uczuć kobiety. Nigdy wcześniej nie doprowadził jej do takiego gniewu. Nie był nawet powodem urazy. Ba!, nie sądził, że ktoś lub coś w ogóle może przywieść zdystansowaną wojowniczkę do takiego wzburzenia. Czy to Połączenie tak zwiększyło jej wrażliwość, czy zawsze była taka, a jedynie on tego nie dostrzegł?

– Wierzysz, że uda ci się przekonać Deidghe, by mnie zaprosiła? – zapytała kpiącym tonem. – Gdyby nie więzy krwi łączące cię z jej synem, nawet ty nie przekroczyłbyś granic smoczego świata.

– Nie będę przekonywał Deidghe. Zaprosił cię jej brat. To on zabrał do Itru Likal, bo tylko tam mogła być bezpieczna. Zależy mu... – zawiesił głos, skrzywił się, ale wreszcie podjął: – Zależy mu na niej, dlatego zgodzi się na wpuszczenie Zakonnej w smocze granice. Nie wiem, co tam robi Uri, ale to ułatwia całą sprawę.

– Brat? – zapytała Rosa z ironicznym uśmiechem. – Pyri jest opiekunem twojej Likal? I zależy mu na niej? Złotemu smokowi z Itru? Biedny Yasa. Już ją straciłeś.

Pierwotny zacisnął zęby, a ciemne oczy rozblęły ponuro. Na jedną krótką chwilę przestał się kontrolować, ale to wystarczyło, by dzięki Połączeniu cała masa wspomnień, myśli i uczuć pomknęła do umysłu Zakonnej. Żrenice w odbarwionych oczach na moment rozszerzyły zaskoczenie, zastąpione po chwili zrozumieniem.

Yasa pojął swój błąd. Odczytał go w przeblęsku myśli Rosy. Pobladł nagle, zacisnął pięści...

– Rosa – szepnął. – Proszę... Jeśli Zakon się dowie...

– Orian? – Pokręciła głową. – Ten Orian?

– Proszę... – powtórzył żarliwie. Sięgnął, żeby złapać ją za rękę, ale kobieta odsunęła się szybko. Zmarszczyła brwi i powoli pokręciła głową. Kiedy chciał podejść, uniosła dłoń, powstrzymując go gestem.

– Nie powinnaś tego wiedzieć. Źle się stało – westchnął, ale posłusznie nie podszedł.  
– Nie chciałem, żebyś musiała wybierać. Wiem, że zawsze będziesz przede wszystkim Zakonną...

– Gdybym była przede wszystkim Zakonną, Aaghart już by nie żył – odparła w końcu całkiem spokojnie. – Nie moja sprawa, kto jest ojcem twojej podopiecznej. W moich oczach to twoja wychowanka. Twoja i Yudherthardere. Nic mi do jej krwi, póki nią nie rządzi. Powinieneś mi zaufać – zakończyła nieco urażonym tonem.

Patrzył na nią długo, w milczeniu. Właściwie teraz, kiedy uniósł magiczne kurtyny, słowa nie były potrzebne, bo dzielili każdą myśl. Zapewne dlatego, kiedy otworzył usta, Rosa nie pozwoliła mu wyartykułować tego, co chciał powiedzieć.

– Czas na nas – oświadczyła. – Do granicy dziesięć dni drogi.

Przez myśli Yasy przemknęły obrazy dziesięciu nocy, tak plastyczne, realne i intensywne, jakby był wspomnieniami. Zakonna zobaczyła je w tej samej chwili, szczególnie po szczególe. Niemal bezbronne, wyglodniałe spojrzenie mężczyzny doprowadziło do tego, że lekki uśmiech zaigrał na jej ustach. Przygryzła wargę, żeby go powstrzymać i pokręciła głową. Przez kilka uderzeń serca Yasa zawisł nad ostatnim z obrazów, chłonąc go niczym tonący powietrze, a potem westchnął:

– Skoro się upierasz...

I otworzył Most.

\*

Uri obudziła się nagle. Otworzyła oczy, ale w kompletnym mroku i tak niczego nie mogła dojrzeć. Serce próbowało wyskoczyć z piersi, tłukąc się jak szalone. Pierwotna odetchnęła głęboko, żeby uspokoić myśli. Powoli, bardzo powoli, serce wracało do normalnego rytmu. Kiedy już się uspokoiła, a wzrok przywykł do ciemności, zaczęła rozróżniać kontury otoczenia. Dojrzała sylwetkę leżącą obok niej i usłyszała cichy, regularny oddech. W końcu pamięć wróciła, a Uri pojęła, gdzie jest. Nie przyniosło jej to jednak ulgi, a przeciwnie, rozczarowanie. Zacisnęła pięści i ponownie zamknęła oczy z nadzieją, że jeśli bardzo się postara, sen wróci. Taki piękny i bardziej rzeczywisty od świata, który ją otaczał. W tamtym śnie wiedziała, kim jest. Pamiętała. Mężczyzna o czarnych oczach trzymał ją w ramionach. Pragnął jej... może nawet kochał. A ona kochała jego. Tak, na pewno kochała. Kochała jego dotyk, jego smak, słoność skóry, słodycz ust. Każda z tych rzeczy była tak samo oczywista we śnie, jak mrok tu, gdzie się obudziła.

Sen jednak nie chciał wrócić, więc tkwiła w ciemności, nieszczęśliwa i rozczarowana. Wreszcie, kompletnie zrezygnowana, uniosła powieki, a później usiadła. Dziecko też

najwyraźniej się obudziło, bo zaczęło się wiercić i wypychało małe stópki i piąsteczki, póki Uri nie położyła dłoni na brzuchu i nie zaśpiewała cicho.

Kołysanka płynęła, łagodna i mięciutka niczym ciepłe kocie futerko. Przywodziła Uri na myśl szczęśliwe i spokojne obrazy z dalekiej przeszłości. Czy się zdarzyły, czy tylko je wyśniła? Nie wiedziała, ale tym razem to nie było ważne. Tylko melodia i słowa. Pojawiły się w głowie, jakby były tam zawsze, a potem spłynęły na język i wargi. Nie potrafiąc zaś trwać w jednym miejscu, opuściły usta Uri i przerwały ciszę. Słodycz i czułość matczynej piosenki kołysała noc i koła nienarodzone dziecko Pierwotnej. Kobieta śpiewała więc dalej, wciąż cichuteńko, by nie budzić nikogo. Nie zauważyła, kiedy do melodii dołączyła magia i splotła się z dźwiękami. Nieświadoma Uri niosła mieszkańcom smoczych jaskiń uroczę senne marzenia. Przenosiła niemal wszystkich do świata ułudy, doskonalszego niż cokolwiek, co dotychczas wyśnili. Tej nocy nikogo nie dręczyły koszmary.

Wciąż śpiewała, kiedy u wejścia do grotty stanął mały Lunas. W przeciwieństwie do reszty smoków, jego kołysanka nie uspiła, a wyrwała ze snu. Przywoływała chłopca tą samą słodyczą, która innych koła. Krew Yasy w żyłach małego smoka kazała dziecku wstać i przyjść do miejsca, z którego płynęła nieśmiertelna pieśń, używana przed wiekami przez czarownice do usypiania dzieci. Nie przywołały go melodia ani słowa, bo tych w odległej grocie po prostu nie słyszał. Wezwwała go moc ojca i przodków. Stał więc i słuchał z tęsknym wyrazem oczu, zbyt dojrzałym jak na tak małego chłopca.

Uri nie przestała śpiewać, chociaż dojrzała syna Deidghe. Nie mogła teraz przerwać, bo magia jej nie pozwalała. Kołysanka żyła już własnym życiem, mocą wielu pokoleń Pierwotnych. Płynęła w mroku, aż wreszcie, jakby zmęczona ciemnością, zaczęła ją rozświetlać. Czerń złamały najpierw smugi szarości, które niczym rozszerzające się, nieregularne wstęgi chygotały na nieistniejącym wietrze. Unosiły się i opadały, lecz nigdy nie dotknęły podłogi. Nie wypływały z ust czarownicy, ale materializowały się tuż przed nią i, musnąwszy śpiącą Likal, frunęły do dziecka. Tam zamierały na moment, by... zniknąć. Z każdą kolejną zaś jaśniały. Zwrotka za zwrotką, wstęgi traciły mroczny odcień i w końcu przez grotę mknęły smugi czystego, ciepłego światła. Niezwykła, magiczna iluminacja sprawniejsza była niż setki pochodni, przez co w pomieszczeniu zrobiło się jasno jak w dzień. I choć piosenka w końcu ucichła, wstęgi wciąż trzepotały, unosząc się wysoko, tuż pod powałą. Długie i wąskie fale żywej jasności. Mrok nie wrócił do grotty.

Uri zamilkła. Przez chwilę siedziała w bezruchu, głaszcząc brzuch powolnymi, uspokajającymi ruchami, chociaż dziecko ukoła magia i już się nie wierciło. Pieszczocie towarzyszył uśmiech i spojrzenie wbite w Lunasa. Chłopiec też się uśmiechnął. Szeroko i radośnie. Wprawdzie Uri niewiele pamiętała ze swojego życia,



ale była niemal pewna, że nie widziała, by ojciec Lunasa był kiedykolwiek tak radosny. Mimo to aż westchnęła, bo chłopczyk wyglądał zupełnie jak mężczyzna z jej snów. Tylko włosy miał jaśniejsze.

Zsunęła się z wysokiego łóżka i podeszła do dziecka. Radość opuściła już malca, bo i nie patrzył już na kuzynkę swojego ojca, ale przekręcił główkę i wbił czarne oczy Pierwotnych w śpiącą dziewczynę. Przyglądał jej się długo, z namysłem, zupełnie jakby wiedział, że Likal potrzebuje pomocy i zastanawiał się, jak ją ratować. Kolejny raz Uri pomyślała, że syn Yasy jest nad wiek dojrzały. Wiedziała wprawdzie, że smocze szczenięta dorastają szybciej niż ludzie, ale i tak ją to zdumiewało. Kucnęła przy chłopcu, a on odwrócił się i wskazał rączką młodziutką czarownicę.

– Likal – oświadczył, poważniejąc. – Boli Likal.

– Zapamiętałeś jej imię. Jesteś taki mądry. – Kobieta pogłaskała go po główce. – Nie wiem, czy cierpi. Teraz już chyba nie. Wcześniej... wcześniej tak, ale teraz już śpi.

– Boli Likal – upierał się chłopczyk. – Chodź! – polecił. Wyciągnął do Pierwotnej rękę, a kiedy ją ujęła, pociągnął oboje w kierunku łóżka.

Uri stanęła przy śpiącej, nie bardzo wiedząc, do czego chłopiec zmierza. Wychowanka Yasy nie wyglądała na cierpiącą. Spała z rozchyłonymi ustami, a pięknej twarzy nie szpecił żaden grymas. Oddychała równomiernie, jakby nie uspiła jej magia, a najzwyczajniejsze zmęczenie.

Lunas tymczasem puścił dłoń Pierwotnej, by wdrapać się na łóżko. Nie było to łatwe, bo ledwie wystawał głową ponad mebel, więc po dwóch nieudanych próbach zmarszczył brwi i spojrzał z wyrzutem na czarownicę. Mroczne oczy Yasy, poważne i chłodne, sprawiły, że Uri poczuła nagle, zupełnie irracjonalne wzruszenie. Uśmiechnęła się więc z czułością, a potem podsadziła chłopca. Malec przysunął się do Likal i przez jakiś czas patrzył na nią z zastanowieniem godnym dorosłego czarodzieja. Zupełnie jakby kalkulował, co i jak powinien uczynić, by ulżyć młodej czarownicy. Zdumiona Uri nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Myśl, czy jej dziecko będzie podobne do półsmoczego Pierwotnego, przemknęła i znikła, bo malec wyciągnął do niej rękę.

– Chodź – rozkazał ponownie.

Kiedy usiadła obok niego, Lunas złapał ją za rękę. Mała łapka zacisnęła się na nadgarstku Pierwotnej z zaskakującą siłą. Zanim jednak kobieta zdążyła zareagować, w grocie nagle ponownie zapadła ciemność. Uri szarpnęła, ale malec trzymał nadspodziewanie silnie. Magicznie. Wbił paluszki w skórę czarownicy i... zaczerpnął. Moc odpłynęła z Pierwotnej z jednym głębokim oddechem Lunasa. Przez uderzenie serca drżała pod opuszkami jego palców, a potem wsunęła się pod skórę. Połączona magia dwojga Pierwotnych spotężniała, wsparta krwią pokoleń złotych smoków z Itru,

a potem wstrząsnęła dzieckiem. Syn Yasy dzielnie trzymał dłoń Uri, gdy czar płynął przez jego ciało. W kompletnym mroku mała sylwetka zaczęła jaśnieć. Coraz mocniej i mocniej...

– Lunas! – Deidghe wpadła do groty z krzykiem. Rzuciła się ratować syna... I stanęła raptownie.

Nie wypuszczając dłoni Uri, chłopiec przytulił się do Likal i pocałował rozchylone wargi śpiącej. Moc przelała blask toczący ciało dziecka w usta dziewczyny. Jasność zamigotała, walcząc z mrokiem, który nie pozwalał obudzić podopiecznej Yasy. Światło to ciemniało, to potężniało. Raz za razem. Szybko, szybciej... W końcu zwielokrotniony czar poderwał Likal z łóżka i uniósł ją aż ku powale. Uderzenie serca za uderzeniem dziewczyna wisiała ponad głowami pozostałej trójki, by ostatecznie bardzo powoli opaść na łóżko. Blask wypłynął z jej ciała, a później rozlał się na całą grotę.

Deidghe podbiegła do syna i złapała go w ramiona.

– Jesteś cały?! Lunas? Jesteś cały? – powtarzała wystraszona.

Malec zmarszczył brwi, najwyraźniej nie rozumiejąc niepokoju matki. Spojrzał na pobladłą Uri, potem znów na Deidghe...

– Likal już nie boli. – Wskazał na dziewczynę, jakby to miało wszystko wyjaśnić. – Mama, nie boli Likal...

Smoczyca niechętnie powiodła wzrokiem za paluszkami syna. Podopieczna Yasy rozglądała się wokoło trochę nieprzytomnie. Usiadła powolutku na posłaniu, przetarła kufakiem zaspane oczy, a potem uśmiechnęła się krzywo.

– Cholera, młody – wycharczała, bo zaschnięte gardło dawało się we znaki. – Jesteś potężniejszy od tatulka. No, jak nic pan Yasa się ucieszy.

## VIII

### Butelka

Płomyk kaganka słabł, aż wreszcie zgasł. W komnacie zapadła kompletna ciemność, ale Sodiemu to nie przeszkadzało. Leżał na szerokim łożu, wyściełanym jedwabiami oraz futrami zwierząt z dalekich krain i wpatrywał się w baldachim nad głową. Krasnoludzkim oczom mrok nie wadził w dojrzeniu skomplikowanych wzorów haftowanych złotą nicią. Nie umknął im najmniejszy nawet szczegół. Długo, całkiem długo Sodi śledził linie, jakby nigdy wcześniej nie widział niczego piękniejszego. Nie dlatego, że tak było, lecz ponieważ próbował zająć czymś myśli, bo sen jakoś nie nadchodził.

Czas w orianowskim świecie płynął w dziwny sposób. Yudherhardere nie wiedział, czy tkwi w nim dzień, czy całe tygodnie. Poczucie rzeczywistości umknęło, a pamięć oszukiwała biednego krasnoluda. Bał się, że jeśli zamknie oczy, obudzi się za kilkanaście lat albo nawet i później. Godziny spędzane wśród trawy z idealnie błękitnym niebem nad głową, ciągnęły się w nieskończoność. Chwilami nie pamiętał, czy oddzielała je noc, czy to wciąż jeden niesłychanie długi dzień. A jeśli pomiędzy leniwymi godzinami owa noc zaistniała, to czy jedna, czy też wiele? Paraliżujący strach łapał krasnoluda w lodowate pęta, serce biło jak oszalone, a zimny pot spływał po plecach. O, tak jak i teraz. Znużony wzrok zsunął się z baldachimu, by nerwowo szukać bliżej nieokreślonego punktu zaczepienia, który ukoi nerwy. Niestety nic, co spotykał na swej drodze, tego ukojenia przynieść nie chciało.

Sodi usiadł na łożu, roztarł wyziębione nagle dłonie, a potem powoli zsunął nogi na podłogę. Skoro i tak zasnąć nie potrafił, leżenie i tępe spozieranie na przecudnej urody materii nad łbem jakoś przestało mu pasować. Podeszedł najpierw do okna, ale za wielobarwnym witrażem panował absolutny mrok, nieprzenikniony nawet dla krasnoludzkich oczu. Co oczywiste Tropiciel nawet nie mruknął, ale Yudherhardere i tak wiedział, że intensywność mroku jest efektem czarów. Jego wzrok mógł ulec tylko wyczarowanej nocy.

Postał tak jeszcze trochę, patrząc w czerni za kolorowymi szybkami, które w tym świetle, a raczej przy jego kompletnym braku, zlały się w jedno, aż wreszcie uznał, że pójdzie poszukać w zamku samotnego miodziku, który ino czeka, żeby strudzonemu

krasróludowi ulżyć w niedoli. Bo przecie nic tak do snu nie ukolysze jak przedni miodzik.

Szedł szerokim ciemnym korytarzem, wsłuchany w nierówny odgłos własnych kroków. Tym razem to one były głównym dźwiękiem w zamku. Kalienowi najwyraźniej nie śniło się nic strasznego, bo nie krzyczał. Dlatego w kompletnej ciemności spowijającej pomieszczenie panowała równie absolutna cisza. W przeciwieństwie jednak do tego, co panowało na zewnątrz, cisza i ciemność wewnątrz orianowskiej siedziby nie były magiczne. Wzrok krasróluda bez trudu pokonywał mrok. Sodi szedł powoli, sprawnie omijając przeszkody. Nie spieszyło mu się, więc idąc, błędził spojrzeniem po bogatych zdobieniach ściennych, płaskorzeźbach i gęsto porozwieszanych arrasach. Zwłaszcza te ostatnie wydawały mu się niezmiernie interesujące. Tkane intensywnie kolorowymi niciami, przetykane złotem i srebrem obrazy przedstawiały sceny z kraińskich legend. Część znał, dawno temu uczył się o nich w szkołach, ale niektóre były mu obce. Stawał więc przy nich i kontemlował.

Nie żeby był jakimś wielbicielem sztuk tkackich. Co to, to nie. Ot, kiedy tak długo wpatrywał się w te tłuściutkie panie i niezbyt urodziwych kawalerów, robił się nad wyraz senny. Nic go tak nie potrafiło wynudzić, jak taka śliczniuchna scenka rodzajowa. Jakby tak jeszcze ową pulchną damę nieco rozdziać... Najwyraźniej jednak artystę tworzącego arrasy nagie kobiety nie rajcowały tak, jak nieszczęsnego krasróluda, gdyż wszystkie odział aż po podwójne podbródki. Sodi westchnął boleściwie, bo choć panny urodą nie grzeszyły, a i tłuszczyku jak na jego gust miały nadto, to ich widok w jakiś dziwny, niepojęty sposób sprawił, że wspomniała mu się naraz Kyta. A że czas w orianowskim świecie płynął w niepojęty sposób, Yudherthardere nie wiedział, czy od rozstania z jego płowowłosą elfką minęło dni kilka czy kilkadziesiąt. Zateśknił więc naraz boleśnie i rozpaczliwie, a żalność taka ścisnęła mu serce, że aż przez chwil kilka ruszyć się nie potrafił. Wreszcie, acz z trudem, oderwał wzrok od tkaniny i ruszył dalej.

Przemierzał opustoszałe korytarze, aż w szparze między drzwiami zobaczył sączące się światło. Stał niepewnie, bo wiedział, że jedyną osobą w tym zamku, która zapewne nie spała, był Orian. A Sodi nie miał pewności, czy akurat jego ma ochotę spotkać. I już miał zamiar ominąć rozświetloną komnatę... już chciał przejść obok, nie zajrzawszy do wnętrza... kompletnie zignorować ciekawość, co to go ogarnęła. Tak, właśnie tak zamierzał i dlatego pchnął drzwi i wszedł do środka.

Orian stał przy otwartym kredensie, tyłem do drzwi. Kiedy usłyszał gościa, powoli odwrócił się i odsłonił Sodiemu cudny widok dziesiątek przeróżnych butelek, poustawianych w równych rzędach. To zaś sprawiło, że na brzydkie lico krasróluda wypłynął rozmarzony, acz nieco tęskny uśmiech. W wyobraźni już otwierał trzecią z

butelek i raczył się ostrą słodyczą przedniej gorzałki. Cóż, zwykle preferował miodzik, no ale przecie tatulek go odpowiednio wychowali, więc wiedział, że i mocniejszy trunek docenić trza umieć.

Myśli Yudherthardere w tak oczywisty sposób rozbłysły na jego twarzy, że chwilowy chłód w obliczu gospodarza złagodniał. Orian docisnął korek w trzymanej butelce, a później spokojnie odstawił ją do kredensu. Na koniec z równym namaszczeniem zamknął go. Dopiero wówczas zwrócił się do Sodiego:

– Nie możecie spać, panie Yudherthardere?

Krasnolud wciąż tęsknie spoglądał na zamkniętą już szafkę, rojąc, jakież to zacne trunki muszą być w niej schowane, więc nie od razu odpowiedział.

– Ano nie – odrzekł w końcu, posmutniawszy. – Liczyłem już stada baranów, co to nie potrafią docenić zacnego miodziku, a i owce na rzeź pod ten miodzik prowadzone... I nic. Może jakby tak kto owego szlachetnego napitku polał, to bym i zasnął łatwiej.

Gospodarz pokiwał głową ze zrozumieniem. Bez słowa wskazał Sodiemu stół i sam podszedł do niego. Yudherthardere zrobił krok we wskazanym kierunku z radością, nieco tylko zabarwioną niepokojem, dostrzegłszy spory bukłaczek i dwa kubki stojące na stole. Niepokój brał się z tego, że kiedy wchodził, ani stołu, ani bukłaczka w izbie nie było. Że jednak dziadulo uczył, że darowanemu kucowi wstyd w zęby zaglądać, to i narzekać nie zamierzał. Usiadł grzecznie, a Orian nalał złocistego płynu do kubków. Sodi sięgnął po naczynie, powąchał zawartość... No, jeśli oceniać po aromacie, to zaciejszy miodzik niełatwo by w Krainie znaleźć.

– To miód z Delghartu – potwierdził domysły czarodziej. – Zapewne was ucieszy, że właśnie zniknął ze stołu mistrza Krasnoludzkiej Rady.

– Rąbnęliście go Echonowi? – Sodi zarechotał i pociągnął potężny łyk. Rzeczywiście, lepszego trunku dawno w ustach nie miał, a jego smak poprawiała jeszcze wizja znienawidzonego mistrza bolejącego nad stratą. – Dobry, panie Orian, zaprawdę dobry. Jakem już wspominał, umiecie ugościć spragnionego krasnoluda – dodał grzecznie z szerokim uśmiechem, który jak nic musiał lekko Oriana wystraszyć. Mimo to mężczyzna dzielnie go odwzajemnił. Sącył trunek powoli, ale widząc, że kubek gościa jest pusty, szybko go uzupełnił. Sodi zaś, jakby ścigał się sam ze sobą, i drugi kubek opróżnił błyskawicznie. Miodzik rozgrzał serce krasnoluda, odwagi przydał, a i umysł jakby usprawnił, bo Yudherthardere rozsiadł się wygodnie i, nie czekając na gospodarza, sam dolał sobie napitku. Tym razem jednak nie wypił go aż tak szybko, a przesuwał kubek w palcach i przyglądał się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie.

– Skoro już se tak gwarzym – zaczął uprzejmie – to i rzeknijcie no mi, panie Orian, jakimże to złego losu chichotem udało się wam taką dobrą kobitę jak Likalowa

mamulka poznać, ha? Jakoś mi się dziwnym zdaje, że z tą całą... ekhm... atencją, co to żeście w magach i Zakonie wzbudzili, z tym całym hałasem, co to wokół waszej osoby się zrobił... No, dziwne by było, jakbyście po Krainie podróżowali, co by se żoneczkę wyrzucił, nie? A że nasza gówniara, a i jej braciszek, jak o czary idzie, sroce spod ogona nie wypadli, to i myślę, że i tak całkiem przypadkiem to żeście tej Likalowej matuli nie przysposobili, co nie?

Orian przestał się uśmiechać. Odstawił miód, ale wciąż przesuwiał palcem po brzegu naczynia. Nie patrzył na Sodiego, ale przez niego, gdzieś daleko, we wspomnienia. Milczał długo, aż gość pomyślał, że nie doczeka się odpowiedzi.

– Całkiem przypadkiem, panie Yudherthardere – odpowiedział wreszcie bardzo cicho. – Nie szukałem żony. Nie szukałem nikogo, chociaż od ponad osiemdziesięciu lat ukrywałem się przed ludźmi i samotność zaczynała mi ciążyć. Niewiele dobrego mnie od innych spotkało, a mimo to... Byłem martwy tak długo, że i Zakon, i magowie zapomnieli o mnie, więc nie bałem się odkrycia. Zdarzały się wszakże dni, gdy tęskniłem tak bardzo, że osiedlałem się w jakiejś małej wiosce, żeby po prostu pobyc wśród myślących istot. Niestety, ludzie zawsze w końcu mnie zawodzili. Zawsze. – Pokręcił głową i spojrzał na Sodiego. – To był jeden z takich właśnie okresów. Znów uciekłem i całe dni spędzałem w lesie, w ciszy... Miałem czas, by myśleć, a i zwierzęta nigdy mnie nie rozczarowały. Wczesnym porankiem dotarłem nad rzekę... Laien zażywała tam kąpieli. Kiedy wyszła... Bogowie wiedzą, że widywałem najpiękniejsze kobiety, gdy należałem do Utera. Czarownice zwykle są przecudne. Widywałem je, a niekiedy nawet więcej, bo Uter dość często sflącał mną długie. Tak więc urodziwe kobiety nie robiły na mnie wrażenia. Kiedy jednak Laien wyszła z wody, a słońce roziskrzyło krople na jej długich jasnych włosach... Do końca życia będę pamiętał ten obraz. Było w niej coś niewinnego, słodkiego i czystego. I nie dlatego, że była piękna, acz była. Likal jest jej wiernym odbiciem, więc wiecie. Od Laien biła dobroć. W każdym jej geście, uśmiechu... W każdej myśli. Tamtego poranka słońce tańczyło na skórze mojej Laien, a ona myślała o chorej kobiecie z wioski. Bała się, że nie zdoła jej pomóc i dzieci chorej zostaną sierotami. – Przygryzł wargę, a Sodi, acz bardzo, bardzo niechętnie, dojrzał w tym grymasie cień podopiecznej i aż się zakrztusił. Kaszlał przez chwilę, więc Orian czekał. Kiedy gość zapanował nad odruchem, czarodziej kontynuował: – Zabrała mi serce z tą samą łatwością, z jaką ja kiedyś odebrałem moc Pierwotnemu. Ale, oczywiście, zrobiła to zupełnie nieświadomie. Poszedłem za nią do wioski, pomogłem przy chorej... Długo zabiegałem o względy kobiety, którą kochałem. Bardzo długo. A ludzie odebrali mi ją ot tak. – Strzelił palcami. – Bez zastanowienia. – Zakończył opowieść i sięgnął po

miód. Dłoń nawet nie drgnęła, kiedy podnosił kubek do ust, ale spojrzenie Złodzieja Magii stwardniało.

Sodi milczał przez chwilę, bo i co miał rzec? Może i nie kochał żadnej kobiety w taki sposób, ale jakby kto mu Likal żywcem spalił, to i kto wie? Może i on wyróżniłby całą wioskę? Może i on nie miałby względu na dzieci i starców? Kto wie? Nie żeby zaraz afektem jakimś Oriana darzył, ale tak jakby ociupinkę go rozumiał.

Mężczyzna pokiwał głową ponuro.

– Wiedzieliście, co? O wiosce Laien? – zapytał.

– Ano. Dali bogowie obaczyć wasze dzieło.

– Wiecie, panie Yudherthardere... – podniósł się, odstawił powoli puste już naczynie, a później zajrzał krasnoludowi w oczy – jakbym tam wrócił, a oni znów by żyli... Znalazłbym sposób, żeby umierali dłużej. W większym bólu. Stałbym i patrzył. I nie żałował.

Złożył tę obietnicę cichym, wypranym z emocji głosem, ale Sodi naraz poczuł, jak trzewia mu się zaciskają ze strachu. Oj, uwierzył czarodziejowi, uwierzył w każde słowo. On również odstawił kubek, chociaż ten do połowy jeszcze był pełen. Jakoś stracił ochotę na echonowski napitek.

Orian usiadł ponownie. Piękna, porcelanowa twarz pozostawała obojętna. W tym momencie, mimo słów, które padły, jak nigdy dotychczas ojciec Likal wyglądał jak owa lalka, co to Sodi widział ją w buduarze królowej Serbithów: śliczna, ale zimna. I jak w przypadku owej lalki, teraz również krasnolud bałby się podejść do czarodzieja.

– Nie musicie się mnie obawiać – obiecał ze spokojem Orian.

– Wiecie, panie Orian, wasza córka to chyba jednak bardziej mamusina – burknął Yudherthardere, bo chociaż rzeczywiście nieco się lękał, to błyskawicznie poczuł irytację, że ktoś mu we łbie siedzi. – Nie zwykła włączyć w myśli bez zaproszenia. A jak Bertho wytrzebiła, do dziś się całkiem nie ogarnęła. Nie wróciłaby tam, coby patrzeć, jak ludziska z bólu wyją.

– Bertho? – zdziwił się czarodziej.

– Ano Bertho. Tym samy zaklęciem, co wy wioskę waszej żony. Jeno popioły ostały. Ot tak. – Strzelił palcami. – Długośmy potem nie mogli dziewczyny docucić. Wisiała nam między światami zupełnie jak teraz. Aż wreszcie pani Rosa kazała Yasie obudzić dzieciaka. No a potem to już elfi król o nią zadbał...

– Elfi? – zainteresował się Orian.

– Ano, elfi. Głównie to jego kombinowanie pannie spokój przywróciło. No i że pana Yasę miłuje... To pewnie też.

Na porcelanowym obliczu Złodzieja Magii na moment odmalowały się gwałtowne emocje. Tylko na moment, ale Sodi i tak zdołał je zobaczyć, więc uśmiechnął się

złośliwie i kontynuował:

– Ano, tak się to nasze dziewczątko w Pierwotnym rozmiłowało, że żał patrzeć było. Jużem myślał, że Yasa to i nie zauważa albo co gorsza się nie przejmie, no ale jak się smocze szczenię pojawiło, to i Yasa naraz zaczął pannie uwagę okazywać. Inne zaprzestał brać do łóżka, a jeno za naszą gówniarą popatrywał.

Orian zacisnął zęby i nie patrząc na krasnoluda, nalał miodu, by wypić jednym haustem.

– Yasa? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Ano, Yasa. Życie by za dziewczuchę oddał. – Sodi nagle spoważniał. – A i ona za niego. Lepiej co byście nie kombinowali jakiej krzywdy mu uczynić, bo by wam gówniara nigdy nie przebaczyła. Siły ni ma. Jak jej przyjdzie wybierać między sobą a nim... Czy między kimkolwiek a nim... Rozumiecie?

Gospodarz nie odpowiedział, ale Sodi był pewien, że i owszem, zrozumiał.

– Taki żem się sterany zrobił tą naszą pogawędką – Yudherthardere ziewnął i podniósł się powoli – że może i czas na nas. Jak byście jeno którąś z tamtych butelczyn – wskazał kredens – do łóżka krasnoludowi darowali, cobym więcej po nocy nie łąził, a i gadaniem was nie trudził.

– Nie trudzicie mnie gadaniem – zaprzeczył Orian. – Nie znam moich dzieci. Zabrano mi możliwość ich poznania. Chętnie będę słuchał opowieści o córce. A w tamtych naczyniach nie ma niczego, co by wam smakowało, wierzcie mi. Za to miód waszego mistrza możecie wziąć. – Uśmiechnął się lekko. – Jutro się postaram o drugi taki bukłaczek.

Sodi, któremu nie trzeba było takich propozycji powtarzać, złapał miód i ruszył do drzwi. Bardzo się przy tym starał na kredens nie patrzeć ani o nim nie myśleć. Jakoś bowiem nie potrafił wierzyć Orianowi, a i kiedy mu czego wzbraniano, bardziej chciał tego skosztować.

\*

Jasność Mostu zgasła, ledwie Yasa stanął na trawie tuż obok Rosy. Stali przed gospodą na granicy z Itru. Nie zdziwiło to Zakonnej. Wiedziała, że Pierwotny nie zdoła otworzyć portalu na smoczej ziemi. Granica między Krainą a Itru była nienaruszalna. Co prawda teraz, gdy krew z krwi Pierwotnego mieszkała po drugiej stronie, będzie mógł wchodzić tam bez zaproszenia, ale co do używania magii... Tego nie była pewna. Yasa najwyraźniej też nie, bo nie próbował zakotwiczyć Mostu w Itru.

Rosa nigdy nie dotarła aż tutaj. Nie było takiej potrzeby, bo Zakon bezwzględnie nie miał wstępu do tamtego świata. Przed wiekami jakiś nadgorliwy Przełożony zapragnął oczyścić Krainę ze smoków, co prawie skończyło się wojną. Na szczęście mediacje



Pierwotnych doprowadziły do zawieszenia broni, ale niechęć do Zakonu pozostała. Dlatego właśnie tego popołudnia Rosa pierwszy raz zobaczyła magiczną granicę. Miejsce, w którym budząca się do życia Kraina dotykała pogrążonego nadal w śniegu Itru. Niesamowite miejsce. Zupełnie jakby patrzyła na zadziwiający obraz. Wokół niej rozbuchala zieleń, dziesiątki wielobarwnego kwiecia, ciepłe promienie tańczące wśród liści na drzewach, a przed nią nieograniczona biel zawieruchy. Wokół popołudnie i słońce wciąż jeszcze dość wysoko, a tam już zmrok i skrawki czarnego nieba między szalejącymi płatkami śniegu. Kobieta zrobiła krok w kierunku granicy i wyciągnęła dłoń...

– Nie! – Yasa pociągnął ją ku sobie, nie pozwalając dotknąć magicznego widoku. – To rani. Może nawet zabić.

– Ponoć mam zaproszenie. – Zmarszczyła brwi.

– Masz, ale nikt nie wchodzi do Itru po zmroku. Wejdziemy jutro, skoro świt.

Spojrzała na niego z zastanowieniem.

– Nie, Roso, nie kłamię, żeby spędzić z tobą noc. – Pokręcił głową zniesmaczony.

– Znowu czytasz mi w myślach?

– Tym razem nie musiałem.

Potaknęła bez słowa, a potem odwróciła się i w milczeniu ruszyła do gospody. Yasa zaś stał i patrzył za nią.

– Jestem z ciebie taka dumna, kuzynie. Skłamałeś bez drgnienia powieki. Cudnie. – Rozpromieniona Uri klasnęła w dłonie, pojawiając się obok Yasy. Pierwotny drgnął gwałtownie, więc czarownica zachichotała, mrużąc oczy. Wiatr rozwiewał rozpuszczone złote loki i igrał w lekkiej, niemal przezrystej sukni, zupełnie jakby kobieta była rzeczywista. Kiedy jednak Yasa wyciągnął dłoń, ułudny obraz Pierwotnej zafalował. – Nie, kochany, nie ma mnie tu. Jestem tam. – Wskazała zawieruchę. – Nie mogłam się wszakże oprzeć, kiedy poczułam cię tak blisko. I zdążyłam w odpowiedniej chwili. Zełgałeś dziewczynie... po mistrzowsku.

– Odzyskałaś moc?

– Skarbie... nigdy jej nie straciłam, prawda? Tylko o niej zapomniałam – posmutniała – bo się o to postarałeś. Ty i ta twoja Zakonna. Zabraliście mi wspomnienia i umieściliście w piekle nieznanego. Nie masz pojęcia, jak to jest... nie pamiętać.

– Prosiłaś o to. Skoro pamięć wróciła, powinnaś wiedzieć, że o to prosiłaś. Czy nie tak właśnie miało być?

– Kłamałam – warknęła Uri. – Doskonale wiesz, że kłamałam. Wiedziałaś już wtedy. Chciałam tylko żyć. No i może jeszcze chciałam ciebie... Tak, ciebie też. To, co zrobiłaś, było okrutne.

Pierwotny wzruszył ramionami.

– Nie jesteś niewinnym dziewczątkiem, Uri. Uznaj to za zasłużoną karę, moja droga.

Patrzyła na niego długo, w milczeniu, kalkulując. Potem zafalowała, przemknęła wokół maga, jakby go chciała obejrzeć ze wszystkich stron. W końcu zaśmiała się gorzko.

– Och, skarbie, nie wiesz, jak bardzo mnie ukarałeś. Zupełnie nie wiesz. Ale to nic, kochany kuzynie, to nic. Postaram się, żebyś zrozumiał... Jutro – zakończyła szeptem i znikła.

\*

Zasypiał już, kiedy Uri wróciła. Wsunęła się pod koc, niemal realna, choć nierzeczywista. Poczul łaskotanie włosów na twarzy i uniósł powieki. Była naga. Oczywiście, że była naga.

– Tak sobie myślę, kochany – zaczęła, przesuwając palcami po odsłoniętej piersi Yasy. Czuł pieśczoć, łagodną niczym muśnięcie pawiego pióra. – Wiesz, tak myślę, czy skoro jesteś połączony z wojowniczką, to będziemy w tym łóżu we troje?

Nie odpowiedział. W świetle dogasającego kaganka włosy Uri mieniły się złotem. Spływały miękkimi kaskadami loków na ramiona, a potem na piersi i w jakiś niepojęty sposób, zamiast okrywać je, odsłaniały, dodatkowo podkreślając doskonałość ciała Pierwotnej. Zapragnął ich dotknąć. Och, wiedział, że to magia. Czy jednak przez to mniej jej pragnął?

– Tęskniłeś za mną, kochany? – Dłoń kobiety muskała brzuch Yasy. Powolne, zmysłowe ruchy, prowadzące na skraj szaleństwa. Mięśnie mężczyzny spięły się, odpowiadając za niego. On zaś wciąż milczał, pozwalając na pieśczoć. Spragniony jej.

Uri pochyliła się i pocałowała zagłębienie między uchem a szyją kochanka.

– Ja tęskniłam – wyszeptała i delikatnie przygryzła skórę mężczyzny. Przez chwilę na przemian ssła i łapała zębami, wsłuchując się w przyspieszające tętno Yasy. – Tęskniłam nawet, kiedy nie pamiętałam twojego imienia. Nie potrafiłam zapomnieć twojego dotyku, wiesz? Koloru oczu, smaku ust i siły palców. Zapomniałam tysiące lat, a ciebie nie mogłam. Kochaj się ze mną, Yaso.

– To tylko ułuda, Uri – wyszeptał i zaraz jęknął, bo dłoń kobiety zamknęła się na nim. Nierealna, a rzeczywista.

– Tylko ułuda, Yaso – potaknęła. Przesunęła dłoń, łagodnie i bardzo, bardzo powoli. – Ale czy przez to mniej prawdziwa? Kochaj się ze mną. Proszę. Nie każ mi używać magii. Niczego tak nie pragnę jak ciebie. Teraz. Weź mnie.

Milczał, a ona patrzyła oczekująco. Nie ponowiła próśb, ale ciemne oczy spoglądały błagalnie. Mogła go zmusić, jednym tylko zaklęciem. Zamiast tego czekała. Czy to namiętne słowa, czy jej dotyk, a może tygodnie bez kobiety... Yasa wsunął dłonie we włosy kochanki i pociągnął ją do siebie. Zamienił ich miejscami, a potem na moment zawisł nad Uri.

– To ułuda – powtórzył.

Uśmiechnęła się drapieźnie. Objęła go udami i przyciągnęła.

– Już, Yaso – ponagliła.

Wszedł w nią mocno, z głębokim westchnieniem. Rozkosz, jaką przy tym odczuł, niemal pozbawiła go sił. To Uri poruszyła się pierwsza. Najpierw powoli, by błyskawicznie przyspieszyć. Dyszała gwałtownie. Jej ciało zacisnęło się wokół Yasy, ale ona nie przestawała. Szybciej i szybciej, wiodła go na granicę szaleństwa. Wbiła paznokcie w ramiona kochanka i pociągnęła, rozdierając skórę do krwi. Ból tylko wzmocnił przyjemność. Yasa stęzał, gdy ekstaza kolejnymi falami szarpała jego ciałem, a potem opadł w miękkość Uri.

– Widzisz, kochany – głos kobiety drżał, a ona nie wypuszczała Yasy z ramion – dobrze nam. Zawsze było nam dobrze.

Pachniała cudownie. Tak, wiedział, że to magia, ale czy to zmieniało jego pożądanie?

– To tylko czary, Uri – wycharczał w końcu, bynajmniej nie próbując się uwolnić.

– Sądzisz, że ona też tak myśli? – Czarownica zachichotała.

Drzwi skrzypnęły, więc Yasa z trudem uniósł głowę. Rosa stała w wejściu.

– A nie mówiłam, kochany, że przez to Połączenie będziemy w łóżku we troje? – zaśmiała się Pierwotna. – Ciekawe, czy jej też było tak dobrze? – zapytała, by, nie czekając odpowiedzi, zniknąć.

\*

Sodi wypił jeszcze pół bukłaczka, nim oddał się we władanie bogom snów. Kiedy zaś zasnął, śniły mu się przedziwne obrazy, z pięknymi kobietami wynurzającymi się z wody i wzywającymi go zachęcającym kiwaniem rączkami. Znaczy w tym znowuż nic dziwnego by nie było. Jeno fakt, że Sodi odmawiał owemu przywoływaniu, tłumacząc, że przecie ma taką jedną cudną elfią pannę, to i jej wiernym chce pozostać... No, to już był dziw nad dziwy. Tak zdumiewający, że jeszcze długo po przebudzeniu Yudherthardere kręcił głową. Ot, darmowej pochędóżki przecie grzech odmawiać. Dziadulo tak prawił, a jak dziadulo prawił, znaczy być musi. Eeech, głupi ten krasnolud. Do Kyty daleko, a urojona pochędóżka lepsza niż żadna.

Tak sobie myślał Sodi przez cały poranek. Potem przyszło przedpołudnie i Yudherthardere przestał dumać o utraconym chędożeniu. W końcu ileż można marzyć

o tym, co przepadło? Dzień, jak zawsze w orianowskim świecie, był piękny. Słoneczko przygrzewało, ptaszki śpiewały, wietrzyk tańczył między listkami drzew. Krasnolud rozglądał się za Kalienem, a skoro go nie spotkał, postanowił pozwiedzać okolicę. Wyszedł więc przed zamek i ruszył przed siebie. Minał potężną starą jabłoń, potem gruszę... i szedł dalej. Ptaszki śpiewały, wietrzyk wiał, a kiedy Sodi dotarł już do końca sadu, kiedy widział już odległe góry, zrobił jeszcze jeden krok...

I znów stał przy starej jabłoni, tuż obok gruszy. Zamrugał zaskoczony, rozejrzał się nerwowo i powtórzył spacer. Znów minął jabłoń, gruszę, przeszedł między drzewami w sadzie... a nie było ich aż tak dużo. Potem zobaczył góry, zrobił krok... i ponownie znalazł się przy jabłoni. Sapnął wystraszony. Raz jeszcze się rozejrzał, po czym ruszył w drugą stronę. Tam, gdzie rosły wysokie sosny, smukłe i piękne. Minał pierwszą, przyspieszył kroku i pobiegł przed siebie, by dotrzeć do miejsca, w którym konary rosły tak blisko, by przecięnięcie się między nimi było problematyczne. Biegł krótko, bo kiedy już mu się zdawało, że las gęstnieje... znów znalazł się u jego wrót.

Stanął, oddychając ciężko. Krasnoludzkie serce waliło jak szalone. Trochę dlatego, że się bidulek zmachał, ale przede wszystkim ze strachu. I nie wystraszył się czarui, który co rusz przenosił go pod zamek, bo przecież i wcześniej wiedział, że orianowskiej posiadłości opuścić łatwo nie będzie. To jednak, że Tropiciel nawet nie smarknął, gdy jego nosiciela zakłęcie przenosiło... O, to bardzo zaniepokoiło Sodiego. Tak bardzo, że aż dłonie mu się spociły, a w ustach tak wyschło, że mus mu było trunku jakiego poszukać, coby suchość ową przegnać.

Zawrócił więc do zamku i to tak szybko, że nikt, kto znał Sodiego Yudherhardere, nie uwierzyłby, że krasnolud może się poruszać w takim tempie. No, może za wyjątkiem mieszkańek jednego czy dwóch miejsc bynajmniej nie z cnoty słynących. Przebiegł Sodi jeden korytarz i już miał ruszyć tym prowadzącym do jego komnaty, kiedy wspomniał pokój wczoraj odwiedzany, a konkretniej kredens, na którego zawartość ledwie dane było mu zerknąć. Ta... ledwie zerknął, ale w głowie wciąż tkwił obraz jednej z butelek, które Orian trzymał w owym zacnym miejscu. Jeśli się nie mylił, a w kwestii zamtuzów i trunków wszelakich Yudherhardere mylił się niezwykle rzadko, w tajemniczej szafce stała gorzałka z „Nalewek szlacheckich” – najsłynniejszej gorzelnii w całej Krainie. Napitek tenże tak wysoką osiągał cenę, że chociaż książęta de Gra Yudherhardere do biednych nie należeli, zwykli nań skąpic. Z tejże przyczyny Sodi rzadko miewał okazję kosztować tej przyjemności. A jeśli ostatni raz dobrze pamiętał, był to trunek znakomicie wyschnięte usta nawilżający.

Rozejrzawszy się niespokojnie, wszedł do komnaty i cichuteńko zamknął za sobą drzwi. Kiedy stanął przy kredensie, wspomniał mu się naraz pradziad. Potężny i siwy Idar de Gra Yudherhardere zapewne sprząby teraz wnusia za podprowadzanie

orianowskiej własności. Zwykły przecież mawiać: „Nie twoje, nie rusz!”. Oj, zmarł Sodi przed oszkloną witrynką, bo tak trochę mu wstyd było zmarłego przodka zawieść. No ale oczy jakoś same wypatrzyły kryształową buteleczkę ze zdobieniami „Nalewek szlacheckich”. Jakoś tak całkiem bez Sodiego wiedzy. To i jak miał kredensu nie otworzyć? A skoro już otworzył, to żal po flaszeczkę nie sięgnąć...

Słońce igrało w rżniętym kryształe i rozdzielało się na dziesiątki barwnych promyków, kiedy Yudherthardere zdjął gorzałkę z półki. Gdy jednak miał już ją otworzyć, coś zupełnie niezrozumiałego kazało mu spojrzeć na inną, mniej zdobną, baryłkowaną butelkę z brązowego szkła, niczym się nie wyróżniającą. Właściwie taką samą jak jeszcze cztery inne, które stały obok niej. Sodi zawahał się, bo z jednej strony serce ciągnęło do wyśmienitej gorzałki, z drugiej zaś...

Odstawił drogi trunek i sięgnął po zwykłą butelkę. Ledwie jej dotknął, Tropiciel warknął, a potem szarpnął krasnoludem. Tylko raz, ale Sodi ledwie zdołał utrzymać szkło w dłoniach.

– Co jest, psia jego mać? – burknął zaskoczony, ale flaszki nie porzucił. Przeciwnie, chociaż Tropiciel nie przestawał skomleć pod skórą, a nawet zaczął lekko drapać, co zwykle wstrzymywało Sodiego przed dalszym jego drażnieniem, tym razem krasnolud zignorował ostrzeżenie. I odkorkował butelkę.

Tropiciel wrzasnął, by zaraz zamilknąć, uciszony wiązany zaklęciem.

Zamiast szlachetnego napitku z butelki wypłynął duch. Przejrzysta postać zafalowała, przetarła oczy i ze zdziwieniem spojrzała na krasnoluda.

– Nie jesteś Orianiem – stwierdził mężczyzna. – Więc ktoś ty?

– Kurwa – sapnął Yudherthardere. Ręce tak mu drżały, że butelka prawie się z nich wysunęła. Złapał ją w ostatnim momencie i mocniej zacisnął palce na szkłe.

– Nietypowe imię. Nawet jak na krasnoluda. Fakt, że poważyles się sięgnąć po własność Oriana też nietypowy jak dla twego gatunku... – Przyjrzał się Sodiemu i dodał: – Bo nie mogę sobie wyobrazić powodu, dla którego mój chłopiec by ci mnie oddał.

– Twój chłopiec?

– Cóż, ja go stworzyłem, więc tak, mój – z dumą oświadczył duch.

– Kuuuurrrwaaa! – jęknął przeciągle Sodi. – Ty jesteś Uter!

Duch Pierwotnego uśmiechnął się, niemal zalotnie, i pochylił w dworskim ukłonie. Sodi zaś pomyślał, że teraz to już jak nic trza mu po tę drogą gorzałę sięgnąć.

# IX

## Spotkania

Likal chodziła po grocie, tam i z powrotem, to szybko, to wolno. Nie mogła się skupić, a wrażenie, że się dusi, rosło z chwili na chwilę. Było ciemno, ciasno i ponuro. Jak to w jaskiniach. Tyle że ona nie przywykła do takich miejsc. Kiedy zasypiała, była w lesie, była potężną czarownicą... Obudziła się w tym ciemnym, ciasnym pomieszczeniu, bezradna jak dziecko. Zupełnie jakby pochowano ją za życia w jakimś grobowcu i nie mogła się z niego wydostać.

Poprosiła, żeby odeszły, więc Deidghe zabrała chłopca o oczach Yasy oraz dziwnie skupioną Uri. I Likal została sama. Powiedziała, że nic jej nie jest... Skłamała. Potrzebowała czasu.

Och, nie żeby nie była świadoma przez te wszystkie dni. Wiedziała, co dzieje się z jej ciałem. Była w tylu miejscach jednocześnie... Zawieszona między światami, zwiedzała je wszystkie. Widziała Pyriego, widziała Sodiego... I pana Yasę też. A teraz musiała to sobie poukładać. Tyle że nie potrafiła. Myśli galopowały. Obrazy przesuwwały się jeden po drugim w niekończącej się gonitwie. Wszystkie naraz i każdy z osobna. Gdyby tylko mogła użyć magii... Gdyby mogła, uciszyłaby to szaleństwo. Poukładała. A tak głowa bolała coraz bardziej. Likal przemierzała więc grotę, zmieniając rytm i natężenie kroków, jakby to miało jakoś pomóc. Musiała się na czymś skupić. Choćby i na ruchu.

– Mogę? – Pyri stanął u wejścia. Czekał z tak wygłodniałym wyrazem oczu, jaki Likal widziała tylko u Yasy, gdy patrzył na Zakonną. Nie potrafiła mu odmówić. Mężczyzna skorzystał z zaproszenia i szybko do niej podszedł. Nie pozwolił się zastanowić, nie zapytał o zgodę. Po prostu objął ją mocno i drżąc jednocześnie, a potem pocałował. To nie był taki pocałunek jak wtedy w gospodzie, nie był słodki, grzeczny i pytający. Tym razem usta Pyriego gwałtowne i namiętne ponaglały. Zmusiły, by błyskawicznie zdecydowała, więc to zrobiła. Objęła go, przywarła doń całym ciałem i oddała pocałunek z ogromu przerażenia, niepewności i dezorientacji. Nie chciała myśleć. Tylko czuć.

Pocałunek się przedłużał i pogłębiał. Nikt tak nie całował Likal. I ona tak nikogo wcześniej nie całowała. Myśli odpłynęły i pozostało tylko nagie, gwałtowne pożądanie...

Właśnie wtedy Pyri z żalnym westchnieniem odsunął ją od siebie. Tylko trochę, ale jak dla Likal i tak za bardzo.

– Nie. Nie – powtórzył, bardziej tłumacząc sobie niż jej. – Tak się bałem, Likal. Tak się bałem... I dlatego. Ale nie tak... Nie możemy... To nie byłoby uczciwe. Jeszcze nie – wyjaśniał chaotycznie, ale Likal i tak zrozumiała. Wciąż wczepiona w ramiona smoka, patrzyła w szmaragdowe oczy, by w końcu potaknąć bez słowa. Nie puściła jednak. I on też nie zamierzał. – Bo kiedy będziesz gotowa, Likal... Będę czekał. Wiesz, będę czekał – wyszeptał namiętnie.

Pokiwała głową, a Pyri ponownie przyciągnął ją do siebie. Słyszała bicie jego serca, szybkie, niespokojne, ale w jakiś magiczny sposób ten dźwięk ukoił jej emocje. Przymknęła powieki i stała tak, wtulona w mocne ciało swojego smoka.

\*

Nie wypuszczając z dłoni butelki, Sodi przyglądał się duchowi Utera. Cóż, nie co dzień widywał Pierwotnego... znaczy martwego Pierwotnego maga. Spotkał już co prawda dwie martwe Pierwotne, z których do ożywienia jednej... a poniekąd nawet obu... przyłożył rękę, no, ale to jednak były kobiety. Teraz oglądał z zaciekawieniem męskiego przedstawiciela rasy i porównywał go z tym, któremu od lat towarzyszył. Cóż, Uter nie przypominał Yasy. Był... zbyt gładki. Zbyt miękki, w taki nieco obrzydliwy sposób.

– Nie podobam ci się? – zapytał zdumiony duch.

– A co tu jest, kurwa, do podobania? Wypindrzyliście się jak cichodajka na spotkanie ze ślepym klientem i się wam zdaje, że każdy z wrażenia portki ściągać będzie? – fuknął krasnolud, bo właśnie sobie przypominał opowieść Oriana. Że zaś wyjątkowo gardził ludźmi, co dzieci wykorzystują, urznąłby duchowi coniebądź... jakby Złodziej Magii się o to wcześniej nie postarał. – Ciekawi mnie ino, jakieście tyle złotych pierścieni na tamten świat wzięli? I po co? No i trochę bym chciał wiedzieć, po cholere pan Orian we flaszkę ducha waszego wetknął... i jak?

– Pierścienie miałem na palcach w chwili śmierci, to i jawię się z nimi. Orian chciał z pełni mojej mocy korzystać, więc musiał ducha przy sobie utrzymać i uznał, że butelka to znakomita zemsta. A jak? Magią, rzecz jasna – odpowiedział jednym tchem Uter. Przekręcił głowę i przyjrzał się Sodiemu, marszcząc brwi. – Wydajesz mi się znajomy... Mieliśmy przyjemność?

– Jakbyście mieć ze mną przyjemność chcieli, wsadziłbym wam rozżarzony gwozdek do pindolka i z lubością czekał, aż się tenże zafajczy – warknął Yudherthardere. – Niestety, pan Orian wysłał was w zaświaty, nimem się urodził.

– Coś mi się zdaje, że Kurwa to nie twoje imię, prawda? – zapytał zniesmaczony Pierwotny. – To jak cię zwą?

– Sodi Yudherthardere – odburknął krasnolud. – Weźcie mi wytłumaczcie, jak to z tą mocą...? Przecie was wytrzebił.

– Yudherthardere? De Gra Yudherthardere?

– Ano.

– Tropiciel znaczy? – Uter cofnął się z obrzydzeniem. – Eeech, już sam fakt, że Stroidar rznął krasnoludkę, był ohydny, ale że bogowie dali im dziecko, a tę abominację obdarzyli mocą... Wstyd i hańba dla całego gatunku. Poznałem to coś w dawnych czasach. Dlatego mi się taki znajomy wydałeś. Z radością stwierdzam, że z pokoleniami ród skarłał i nikt już w was krwi Pierwotnych nie dostrzeże. Sądziłem jednak, że chociaż jesteście tacy... odstręczający, to przynajmniej rozumu wam nie brakuje. Ty zaś zadajesz mi tak dziecinne pytanie... – Pokręcił głową, nie zauważywszy zszokowanej miny Sodiego. – Kiedy Orian odebrał mi moc, umarłem rzecz jasna. Gdy jednak Pierwotny kona, a rytuał nie zostanie odprawiony, część mocy wraca do ducha. Jedynym sposobem, by ten, który magię ukradł, władał jej całością, jest zawładnięcie też duszą. A zakęcie butelkujące, proste i stare jak świat, oddaje ducha we władanie posiadacza butelki.

– Krwi Pierwotnych? – wydukał w końcu Sodi. – Jak to, kurwa, krwi Pierwotnych?

– Rzeczywiście skarłał... – Uter przewrócił oczami. – Toż mówiłem: jesteś w prostej linii potomkiem Stroidara i tej jego... krasnoludzkiej dziwki.

– Uważaj, wywietrzały dzieci chędożco – wyszeptał Sodi – bo może i truchło z ciebie, ale, bogowie świadkami, znajdę ja sposób, coby ci z dupy zrobić gorejący krater... nawet w tym stanie. Lepiej mojej prababki nie obrażaj.

– Skoro tego żądasz.

– A tego, kurwa, żądam! – warknął Yudherthardere. – Łziesz z tym Stroidarem, co nie?

– Dzierżysz butelkę. Nie mogę cię okłamać. – Uter wzruszył ramionami.

Yudherthardere przez chwilę milczał, spoglądając to na zwyczajną flaszkę z brązowego szkła, to na jej mieszkańca. Że zaś, w przeciwieństwie do insynuacji Utera, Sodi był całkiem bystrym krasnoludem, dość szybko połączył kilka faktów. Uznał też, że na rozpamiętywanie rewelacji dotyczących swojego pochodzenia znajdzie czas deczko później, bo przecie zarówno pradziad jak i Pierwotny już bardziej martwi być nie mogą, co nie? Teraz musiał zadbać o przyszłość. Cmoknął głośno, a potem uśmiechnął się krzywo.

– Dobra, panie duszo uwięziona, nie możecie mi zełgać. Pojmuję. A spełnić moje życzenia? Trzy jak w bajce?



Uter znów przewrócił oczami.

– Bajki to bajki, Sodi. Ja muszę spełniać życzenia, jak długo się mojemu panu spodoba.

– No to, kurwa, precudnie! – Sodi zarechotał. – To najsamprzód zróbcie tak, coby Orian tylko te moje myśli czytać mógł, na których czytanie ja mu pozwolić zechcę. Ostatecznie jak już z młodym zaplanujem, jak spieprzyć z tego całego bajzlu, nie chcemy, coby pan Orian mógł nas zatrzymać, nie? Aaaa... i żeby było jasne: tego, com przed chwilą powiedział, też nikomu ci powtórzyć nie wolno. Pojął?

Uter wzniósł oczy ku niebu, a Sodi pomyślał, że wreszcie widzi niejaki podobieństwo między oboma Pierwotnymi.

\*

Deidghe czekała, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Nadzieja i niepokój, towarzyszące jej od ostatniego spotkania z Yasą, nie pozwalały jej rozsądnie myśleć. Czuła kochanka, tuż za granicą Itru. Obudziła ją ta świadomość w środku nocy i nie pozwoliła zasnąć do rana. Teraz więc chodziła po grocie wejścia, miejscu, w którym zjawiali się członkowie rodziny Złotych Smoków. Cóż, od narodzin Lunasa jego ojciec stał się jednym z nich. Rodziną.

Uśmiechnęła się krzywo. Znali się od wieków i równie długo go pragnęła, a wystarczyła jedna noc wspomagana magią i teraz już zawsze będzie częścią jego życia. Dlaczego to jej nie cieszy? Przynajmniej nie tak, jak powinno?

Poczuła przejście, ledwie Yasa przekroczył bariery. Zacisnęła pięści i czekała.

Przez całą noc zastanawiała się, jaką wybrać formę. Gdyby przywitała go jako smok, pokazałaby moc i władzę. Wyznaczyłaby granice. Zapewne tak powinna postąpić. Wchodził na jej ziemię, niech wie, że jest tylko gościem, że to ona ma przewagę, że jest na jej łasce...

Zaśmiała się gorzko i wygładziła nieistniejącą fałdę na szmaragdowej sukni. O tak, przewaga, siła, łaska. A ona i tak czekała jako kobieta. Kochanka Pierwotnego, matka jego syna, od wieków pragnąca mężczyzny, który nieustannie jej się wymykał.

Śnieg zawirował w grocie i opadł, odsłaniając Yasę i towarzyszącą mu kobietę. Deidghe widziała ją pierwszy raz, ale i tak wiedziała, kogo gości. Zakonnej po Przemianach nie można było z nikim pomylić. Kolejny obcy z mocą na ziemi smoków. I tylko jedna osoba mogła go zaprosić.

– Pyriedntestate! – wrzasnęła, zmieniając formę.

\*

– Zabłądziliście, panie Yudherthardere? – Cichy głos za plecami Sodiego uniósł mu włosy na karku. Krasnolud stęzał z przerażenia, kalkulując tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Na szczęście właśnie zakorkował butelkę z duchem Utera i ten nie unosił się już niczym sprane tanie prześcieradło suszone na wietrze. Niestety, wciąż trzymał ją w rękach. Usłyszawszy Oriana, zaczął gwałtownie rozmyślać, czy ten widzi, czy też nie widzi, jak się sprawy mają. I czy Uter wykonał polecenie o krasnoludzkich myślach... Nic to, trza sprawdzić, po kolei. Miękkim, acz szybkim ruchem, latami ćwiczonym w szkołach Krasnoludzkiej Rady, odstawił butelkę i chwycił tę z „Nalewek Szlacheckich”. Dopiero wtedy się odwrócił. Intensywnie przy tym dumął nad jakością owego szlachetnego trunku. Tak, by ino ta myśl dotarła do tatusia Likal.

– Ano niby nie – odburknął w odpowiedzi, z dumą stwierdzając, że głos go nie zawiódł. – Ino zem granice waszego przeszlachetnego królestwa zwiedzać począł i takem się przy tym zmachał, że się mnie gardło przepłukać zachciało. No, a wczoraj zem nie mógł nie zauważyć, co goście nie tylko mnie, ale i ową – podniósł gorzałkę pewnym gestem tuż pod oczy gospodarza – precudną butelczynę. Się nie obrażcie, no ale jak nie sięgnąć po takie cudo? Raz zem tylko kosztował, dawno temu... No to i sprawdzić chciałem, czy renomę gorzelnia utrzymać zdołała.

Uśmiechnął się, jak się mu zdawało niewinnie, że jednak od wieków niewinnością nie grzeszył, pewien efektu nie był. Przez jakiś czas Orian przewiercał go wzrokiem, ewidentnie próbując czytać myśli. W końcu również się uśmiechnął, acz raczej z niesmakiem.

– A tak, rzeczywiście – przytaknął cicho – kiedy wczoraj powiedziałem, że nie ma w kredensie niczego, co by wam smakowało, zapomniałem o tym trunku. Częstujcie się, proszę.

– A wy? Nie posiedzim i pogwarzym jak wczoraj? – zaproponował uprzejmie krasnolud, zaciskając pięści w nadziei, że gospodarz jednak odmówi.

– Kalien na was czeka w ogrodzie – odparł Orian spokojnie. – Nie chcę sprawiać mu zawodu. Ale butelkę weźcie. Rzekłbym na zdrowie, ale takie mocne trunki temu celowi raczej nie służą. Idźcie, proszę. Kiedy mój syn traci cierpliwość, dzieją się straszne rzeczy. Obaj wolelibyśmy tego uniknąć, prawda?

Sodi przytulił kryształową flaszkę z czułością, jakiej żadna z jego zamtuzowych przyjaciółek raczej by się nie doczekała i bez dalszych komentarzy wyszedł z komnaty. Nie odwrócił się, więc nie zobaczył, jak ojciec Likal podchodzi do kredensu i z pietyzmem przesuwając palcami po brązowym szkłe. Nie zobaczył również, że marszczy brwi z zastanowieniem.

Rosa przyglądała się kłótni smoków całkowicie zaskoczona. Rodzeństwo patrzyło na siebie i wymieniało myśli. W milczeniu, za to z iskrami wymykającymi się z potężnych gardzieli i nosów. Pierwszy raz widziała, by rzeczywiście komuś dym szedł z uszu w trakcie kłótni i to ją niemal rozbawiło. Łatwość odczuwania emocji za to mocno zaniepokoiła. Czuła już znużenie gwałtownymi, skrajnymi uczuciami, od których uwolniły ją Przemiany, a które wróciły wraz z zakłębieniem Yasy. Połączenie dawało się jej we znaki bardziej, niż była gotowa przyznać. Tym bardziej też drażniło napięcie między bratem a siostrą, ta dziwna bezdźwięczna burza przetaczająca się przez grotę. Spojrzała na Yasę.

Pierwotny pokręcił głową, a później po prostu się odwrócił i ruszył do wyjścia z grotki. Kłócąc się z bratem Deidghe zareagowała błyskawicznie.

– Gdzie idziesz? – warknęła.

– Poszukać syna. Skoro ty jesteś za bardzo zajęta...

Głuchy pomruk był jedyną odpowiedzią. Potężny złoty gad niczym cień przemknął przez pomieszczenie i zastawił wyjście. Potem pochylił ogromny łeb, a szmaragdowe oczy zająrzyły w mrok myśli Pierwotnego.

– Zobaczysz Lunasa, kiedy ja się na to zgodzę.

Yasa uśmiechnął się chłodno.

– Moja droga, wasza Tradycja jasno mówi, że mam do niego takie samo prawo jak ty. A jeśli staniemy przed Radą i powiemy, jak przyszedł na świat...

Deidghe wyprostowała ogromne ciało. Łuski połyskiwały w świetle pochodni, sprawiając, że wyglądała jak przepiękny posąg z czystego złota. Dumna i doskonała.

– Lunas należy do mnie. Jest smokiem. Rada ci go nie odda. Nie strasz mnie – powiedziała głośno i pewnie. – A ty nie przybyłeś tu dla niego, więc nie udawaj troskliwego tatusia.

– Jestem tu z obu powodów, Deidghe. Tak jak i chłopiec należy do nas obojga.

– I to jego, nie ją chcesz najpierw zobaczyć? – Tym razem smoczyca nie ukrywała gniewu. – Dotychczas jakoś nie było ci spieszo do syna.

– Do ubiegłej zimy nie wiedziałem o jego istnieniu.

– Zostawiłam ci Ziarno! – przyznała ze złością. Usłyszała, że Pyri fuknął wściekle, ale nawet na niego nie spojrzała. A przecież przez cały czas wmawiała bratu, że zapomniała o artefakcie. – A ty nie raczyłeś się pojawić. Przez te wszystkie miesiące... A teraz nagle pukasz do Itru. Z Zakonem u boku! Cholera, z Zakonem?!

Yasa nie zamierzał reagować i czekał, aż smoczyca ochłonie. Za to Pyri i owszem, wreszcie przypomniał sobie o dobrych manierach, więc zmienił formę. Zrobił to tak, jakby oddychał, płynnie i prawie bezdźwięcznie. Zupełnie jakby między obiema postaciami nie było żadnej różnicy. Odetchnął głęboko, a potem podszedł do Rosy, by

złożyć piękny dworski ukłon. Uśmiechał się przy tym szarmancko, nie ukrywając wrażeń, jakie zrobiła na nim piękna wojowniczką.

– Wybacz, pani, mojej siostrze. Ostatnie dni nadszarpnęły jej cierpliwość. Dni i goście. Wie oczywiście, że to ja cię zaprosiłem. Stąd nasza... dyskusja przed chwilą. Kiedy już się uspokoi, przyzna, że jesteś mile widziana.

Długą chwilę Zakonna z przyjemnością przyglądała się przystojnemu chłopcu, czując narastającą irytację Yasy W końcu skinęła głową. Nie zdążyła jednak zabrać głosu, bo do groty wpadła Likal, krzycząc:

– Panie Yasa! Panie Yasa! Bo pan Sodi...!

\*

Gorzałka smakowała, jak Sodi pamiętał. Była mocna i lodowatą słodyczą paliła język. Wziął tylko jeden łyk, żeby zwilżyć wyschnięte strachem usta... no i wspomnieć dawne czasy, kiedy – jeszcze w szkołach będąc – podkradał co lepsze trunki bakałarzowi. Znaczący nie żeby bakałarz w skrzyni chował takie napitki... Co to, to nie, tak dobrze zaś mu szkolni opiekunowie nie płacili. Ale i wtedy, i teraz niejednokrotnie dla gorzałki Sodi skórę ryzykował, to i mu się wspomniało. Dobrze czasy, stare. Kiedyś bakałarz go złapał i woźny wlepił młodemu krasnoludowi dziesięć pasów. Tyle lat minęło, a Sodi wciąż pamiętał, jak tyłek potem bolał. Ano bolał, tyle że Yudherthardere nigdy nie żałował. Przyjemności, której dzięki trunkom zaznał, z niczym porównać się nie dało. No, może z dwiema czy trzema rzeczami.

Uśmiechnął się z rozrzewnieniem i wcisnął kryształową butelkę za pas. Na gorsze chwile, bo coś mu mówiło, że takie nadejdą. Zawsze nadchodziły.

Wyszedł na zamkowy dziedziniec w poszukiwaniu Kaliena. Jeszcze wczoraj podworca nie było, a i zamek wydawał się mniejszy. Tego ranka jednak posiadłość Oriana wzbogaciła się o dwa skrzydła i zamknęła wokół obszernego ogrodu. Dziesiątki kwiatów rozwierało kielichy ku niebu, wielobarwnym dywanem ścieląc magiczną łąkę. Yudherthardere przeklął pod nosem, zastanawiając się, czy jeśli wejdzie pomiędzy kwiecie, Tropiciel nie urwie mu łba. Jednocześnie nie dawała mu spokoju nieznośna myśl, że skądś zna ten ogród. Gdzieś już widział taki układ ścieżek, kwiaty ułożone w takich, a nie innych alejkach. Spacerował już między nimi w realnym świecie. Wspomnienie było oczywiste, a jednakowoż zamazane, co sprawiło, że Sodi stanął, zmarszczył brwi i zaczął przeszukiwać obrazy z pamięci.

Tak zastał go Kalien. Niedostrzeżony podszedł do krasnoluda, a dojrząwszy mars na jego czole, wszedł w myśli.

– Likal – podpowiedział – i koza.

– Kurwa! – Sodi podskoczył nerwowo. – Zdurniałeś, dzieciaku?! Chcesz nauczyciela do przodków wysłać??? Ty weź, nie rób podchodów, jak ja za młodu do jednej panny... Ech, miało dziewczę warkocze... Śniły się mnie te warkocze całymi nocami, aż żem se wydumał, że ją za nie złapię, przyciągnę i buziaka skradnę. – Uśmiechnął się krzywo na owo wspomnienie. – Ech, smarku, jak mnie w gębę przysmarowała, to żem wszystkie zęby zliczył. Jednego po drugim. Do dziś się dziwuję, że mnie ich wypluć nie przyszło. Także wiesz... niczego zniecka robić nie należy. Se tak myślę, że jakbym przyszedł w konkury z jaką błyskotką, może by mnie i tego całusa sama ofiarowała, co nie? Przecie partia ze mnie pierwszej wody. – Wypiął pierś z dumą, ignorując niedowierzający wyraz twarzy u podopiecznego. – To mówisz, że to ogród z Doliny Serbithów? Tam, gdzie Likal z okulawioną kozą na spacerzy chodziła? Czekaj, jak jej to było...? Kozie znaczy się, bo Likal to Likal, nie? Wróżka? Elfka? – Podrapał się po głowie. – A tak! Nimfka. Też, niech mnie rudy osioł cmoknie, imię dla kozy. Ten, co to je wymyślił, w życiu nimfy widzieć nie mógł. A się widywało, dzieciaku. Się widywało. – Rozmarzył się tak bardzo, że zapomniał o obawach i wszedł w kwietne alejki. Tropiciel jednak milczał, a Sodi usiadł na pierwszej ławce. Poklepał miejsce obok siebie, ale nie czekał, aż Kalien usiądzie, tylko mówił dalej: – Jak ci kiedy powiedzą, dzieciaku, że ni ma piękniejszej panny niżli elfka, weź ich wyśmiej. Znaczy nie no... elfki cudne są, wszyscy to wiedzą. No, ale żadnej się nie równać z leśną nimfą. Te to dopiero do łba idą, lepiej niż ta przednia gorzałka. – Odkorkował butelkę. – Chcesz?

Młodzieniec zawahał się. Wreszcie skinął głową, ale kiedy wziął łyk, rozkaszał się, aż łzy pociekły mu z oczu. Krasnolud trzepnął chłopca w plecy.

– Powoli, smarku! To nie byle jaki zajzajer pędzony z kartofli przez bidnego parobka. Daj, pokażę ci. – Pociągnął łyk, pomlaskał, powzdychał, a gdy ostatecznie połknął alkohol, na jego brzydkie oblicze wypłynął błogi uśmiech. – Niech ja więcej miodzikiem gardła nie przepłuczę, lepszego trunku to żem w gębie nie miał. No nic, dzieciaku, gorzałka nie kobita, nie każdemu w smak. – Mrugnął do Kaliena, poklepał go po ramieniu, a potem ponownie wcisnął butelkę za pasek. Przez jakiś czas przyglądał się ogrodowi w milczeniu, co samo w sobie było nie lada zjawiskiem. – Dyc – powiedział w końcu – faktycznie jak ten ogród w Dolinie. Ino tam, w rogu, to taka fikuśna sikawka stała. Woda pryskała aż pod niebo... Kurrrwa – wysapał, bo właśnie w tej chwili, w miejscu, które wskazał, pojawiła się taka fontanna, jaką pamiętał. Stała co prawda daleko, ale był pewien, że zgadzał się każdy zapamiętany przez niego szczegół. Zakłęcie wyjęło obraz ze wspomnień Sodiego i uformowało go natychmiast, używając przy tym tak silnego czaru ochronnego, że Tropiciel nawet nie drgnął. Tak jakby chłopiec absolutnie odruchowo chronił krasnoluda. Nawet Yasa nie zawsze potrafił to

zrobić. Zapewne magia ochronna całej orianowskiej siedziby też była pomocna. Pomimo to Sodi podziwiał efekt z rozdziawionymi ustami. Pobyt u Złodzieja Magii napełniał go nieustającym zdumieniem.

– Ech, smarku – wymamrotał w końcu. – Masz moc, kurwa, masz moc. Nawet twoja siostra... co tam, nawet Yasa... Z taką potęgą mógłbyś pól Krainy do przodków posłać, jakbyś się wkurwił niechcący. Niedobrze – pokręcił głową – oj, niedobrze, bo na razie to ty nie z opanowania żeś zasłynął, co nie?

Chłopiec zassał wargę i powolutku pokręcił głową.

– Ano życie cię nie pieściło. Dyc wiem. A i masz po kim dziedziczyć wieczne wkurwienie, co nie? Ten twój tatulek też nie ostoja cierpliwości. No, ale jak Likal może, to i ty se poradysz. Ni ma co płakać. Nie żeby Likal właściwego nauczyciela... No, ale miała gówniara swoje racje, miała. Nie żeby się mnie one podobały. Bo i nie wiem, jak się do tego twojego uspokajania zabrać. Jakbym wiedział, jak wkurwienie wyciszyć, tobym niejedną raz po gębie nie oberwał, co nie? – Uśmiechnął się krzywo. – A tak to szybciej gębę otworzę albo i po toporek sięgnę, niżli myśl jakowa we łbie mi zaświta. No, całkiem jak tobie. Ino jak ja się wkurwię, to pól świata nie rozpieprzę. Eeech... Nic to, smarku. Rusz dupę, przejdziem się po tym twoim ogrodzie, pogwarzym. Znaczy ja będę gwarzył, a ty słuchał nad podziw zgrabnej melodyi głosu mojego. Kto wie, może i tamta ogoniasta rację miała, więc kiedy mówię, moc jakaś płynie? To i by wyjaśniało, czego tak ci się wszystko ładniutko ucisza, kiedy mnie słuchasz. Albo – przypomniał sobie naraz uterowskie rewelacje, które z lęku przed Orianem przestał rozpamiętywać – to magia mojego prapraszczura? Będę ja musiał o tym z panem Yasą... jak już się zobaczymy. – Westchnął nieco smutno. – Bo wyobraź sobie, smarku... Co jest? – zapytał zaskoczony, bo Kalien nagle pobladł, złapał go za rękę, a palce zacisnął tak mocno, że Sodi, chociaż próbował, nijak nie mógł się uwolnić. – Co się dzieje?

– Orian – wysapał chłopiec. Oddychał gwałtownie, najwyraźniej przerażony.

– Co Orian, kurwa mać? – zdenerwował się Yudherthardere, bo próby wyrwania ręki spełzły na niczym, a strach chłopca błyskawicznie mu się udzielił.

Kalien nie odpowiedział. Naraz zamknął oczy, odetchnął i wyszeptał:

– Likal... Likal pomóż.

Sodi ponownie spróbował wyszarpać rękę. Tylko raz, bo w tym samym momencie przed nimi stanął Orian.

– Rozczarowaliście mnie, panie Yudherthardere – wyszeptał lodowatym tonem. – Bardzo mnie rozczarowaliście.

Likal nie pozwoliła Yasie nacieszyć się swoim widokiem. Szarpnęła rękaw jego kurtki i powtórzyła:

– Pan Sodi! Musimy go ratować!

– Likal?! – Zdumiony, ale i szczęśliwy mag przyskoczył do dziewczyny. – Nie śpisz?

– Przecież że nie. Nieważne, panie Yasa. Orian wie! Wie, że pan Sodi wie! Zabije go! Musimy...

– Uspokój się. – Pierwotny złapał jej dłoń. Widząc zdenerwowanie podopiecznej, a kompletnie nie rozumiejąc jej słów, wsunął się w myśli dziewczyny... I znalazł w umyśle Kaliena. Nawet jeśli połączenie rodzeństwa go zaskoczyło, nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Płynnie przemknął przez kolejne obrazy w głowie brata Likal, by w końcu spojrzeć jego oczyma. – Cholera! – zaklął, wychodząc. – Pyri! Zaproszenie dla Sodiego.

– I Kaliena – dodała Likal, wbijając wzrok w smoka. – Dla mojego brata też.

– Ani się waż! – warknęła Deidghe, stając między nimi. – Dość obcej magii na naszej ziemi.

– Dla Kaliena też! – Likal tupnęła nogą. Podbiegła do Pyriego i pociągnęła go ku Yasie. Kiedy tylko dotknęła ręki zakochanego w niej młodzieńca, ten przestał słuchać siostry. Wściekła smoczyca, wciąż w ciele gada, kłapnęła szczękami tuż przy twarzy brata, ale ten nie zareagował, wpatrzony w pobladłą twarz ukochanej.

– Dla Kaliena też – potaknął.

– Pyriedntestate!

– Rosa, Likal... – zaczął Yasa.

– Ja nie. – Młoda czarownica pokręciła głową ze łzami w oczach. – Ja nie mam mocy.

Pierwotny skinął głową. Błyskawicznie połączyli dłonie, on, Rosa i Pyri, a Yasa ponownie skorzystał z myśli Likal, by wejść w umysł jej brata.

\*

Orian uśmiechał się obojętnie, ale miał coś takiego w spojrzeniu, że Sodi zrozumiał lęk jego syna. Wstyd mu się trochę zrobiło, bo popatrzył na chłopca, szukając u niego pomocy. Ot, wstyd. Przecie Likal prosiła o opiekę nad bratem, a to dzieciak będzie musiał pomagać jemu, krasnoludowi. Normalnie się dziadunio w mogile przewraca, a przed przodkami musi oczami świecić, że taką beksę w rodzie uchował. No, wstyd! A jak se pomyśli, że wśród tych przodków to Stroidar jest...

I tak się Yudherthardere przejął, i dziaduniem, i nagle odkrytym skoligaceniem z Pierwotnymi, że zamiast, jak zamierzał, za plecy młodzieńca się schować, przeciwnie, pociągnął za siebie dzieciaka, a później stanął przed Złodziejem Magii z uniesionym czołem.

– Znaczy, że niby co? – warknął zaczepnie.

– Naprawdę myśleliście, że nie zauważę? Że sięgniecie po moje tajemnice, a ja wam na to pozwolę? Ot tak, bo mój syn ma do was słabość? – Orian wciąż się uśmiechał, a jego głos brzmiał miękko, niemal atłasowo, mimo to Sodi z trudem zapanował nad strachem.

– No – potaknął z krzywym uśmiechem i poczuł prawdziwą dumę. – Nie żebyście durni byli, bo przecie wiem, żeście nie są, ale co tam, trochem liczył, że się nie skapniecie, nie?

Najwyraźniej Orian nie spodziewał się takiej szczerości, bo aż warknął, słysząc odpowiedź. Zrobił krok w kierunku krasnoluda, a pragnienie mordu rozbłysło w niebieskich oczach. Już nie udawał sympatycznego i niegroźnego ojca zatroskanego przyszłością syna. Ledwie jednak drgnął, stężyły dotychczas za plecami Yudherthardere Kalien wyskoczył przed opiekuna. Stał między mężczyznami, drobny, szczupły chłopiec, wyglądający na dużo młodszego, niż był w rzeczywistości.

– Odsuń się, synu – polecił Orian.

– Mój – wykrztusił brat Likal.

– Nie. Jest niebezpieczny. Może mi... nam zaszkodzić. Odsuń się.

– Mój. – Chłopak tupnął nogą, a krasnolud aż sapnął. Złapał chłopca za ramię i próbował odciągnąć. Kalien odwrócił się do niego, uśmiechnął się ciepło, synowsko...

Podniósł prawą dłoń, rozłożył palce, wyszeptał zaklęcie, a Orian zamarł, zamknięty zaklęciem syna.

Podniósł lewą dłoń, zamknął pięść, a potem nagle rozwarł, a wtedy Most rozbłysnął tuż za plecami krasnoluda.

– Idź! – rozkazał młody czarodziej.

Sodi błyskawicznie postąpił ku portalowi. Już prawie stał na jego granicy... Nagle zatrzymał się. Spojrzał na ojca i syna. Dojrzał wściekłość zmieszaną z obietnicą zemsty w porcelanowym obliczu mężczyzny. Zobaczył siłę w drobniutkim młodzieńcu. Wspomniał nieprawdopodobną potęgę, jaką chłopiec włada...

Dlatego złapał Kaliena w pasie i wciągnął do Mostu.



## X

### Klucz

Szerokie korytarze łączące groty królewskich smoków z Itru pogrążone były w półmroku, chociaż do wieczora pozostało jeszcze sporo czasu. Dawno temu, jeszcze za czasów ojca Deidghe, Yasa bywał tu częstym gościem, więc znał rozkład pomieszczeń i teraz, wiedząc, do którego zmierza, szedł pewnie... acz powoli. Zupełnie jakby chciał odwlec to spotkanie, a przecież jeszcze kilkadziesiąt dni wcześniej tak spieszo było mu zobaczyć syna.

Syna.

Wciąż nie przywykł do tej myśli, zapewne dlatego tak się ociągał. Teraz, gdy wystarczyło zrobić tych kilka kroków, żeby zobaczyć krew ze swojej krwi, Pierwotny odczuwał coś na kształt niepokoju...

Cholera, bał się. Kiedyś, między śmiercią Luny a poznaniem Likal, nie czuł lęku. Nie było nikogo, na kim by mu zależało, więc i strach stał się mu kompletnie obcy. Ostatnio stwierdził, że nie kochał też Arthe, bo i nic, co z nią związane, nie przyprawiało go o niepokój. Trwał co prawda przy niespalającym się płomieniu, ale nie ze strachu czy miłości, a z poczucia obowiązku. Nawet spotkanie z Rosą przed laty, chociaż podniecające, było tylko przyjemną odmianą w pozbawionej emocji egzystencji. Dopiero kiedy ocalała go przed bogami poczuł to słodkie drgnienie. A potem, kiedy w jego życie wkroczyła Likal, strach powrócił. Teraz zaś spotęgowała go świadomość, że znów był ojcem...

Śmiech dziecka przerwał jego rozważania. Dotarł na miejsce. Jeszcze tylko jeden krok do oświetlonej groty. Zrobił go i stanął w wejściu, niezdolny, by się ruszyć.

Uri biegła za jasnowłosym malcem, a ten uciekał, zanosząc się śmiechem. Kobieta zwalniała, udając, że dziecko jest dla niej za szybkie, a wtedy Lunas, zatrzymywał się, odwracał i klaskał w dłonie. Żadne nie powiedziało przy tym słowa, więc syn Yasy musiał czytać myśli Pierwotnej, żeby, nie patrząc za siebie, wiedzieć, kiedy ona przystaje.

Zauważyli, że są obserwowani w tej samej chwili i jednocześnie stanęli. Yasa zaś patrzył oniemiały, to na niesłychanie do niego podobnego chłopca, to na kobietę w zaawansowanej ciąży, z duchem której kochał się poprzedniej nocy.

– Dzień dobry, mój drogi – pierwsza przerwała ciszę Uri. Podeszła do Lunasa i wzięła chłopca za rękę, jakby jednak trochę obawiała się gniewu jego ojca i potrzebowała wsparcia. – Gdzie pozostali?

Yasa milczał. Nie odrywał od niej wzroku i kalkulował. Chociaż w sumie nie musiał.

– Ukradłam Smocze Ziarno krasnoludowi, tam w gospodzie – Uri potwierdziła jego obawy. – Tak, to twoje dziecko.

– Dla... – odchrząknął, a potem poprawił się – Dlaczego?

– Chciałam cię zatrzymać. – Wzruszyła ramionami. – Nie sądziłam, że zostawisz mnie z mrokiem zamiast pamięci, że zasnę w twoich ramionach, a obudzę się w pustce. Brzemienna, a bez rodziny.

Chłopiec, jakby zrozumiał słowa Uri, przylgnął do niej i spojrzał na ojca z wyrzutem. Czarne oczy Pierwotnych patrzyły poważnie i tak oskarżająco, że Yasa drgnął odruchowo. Nie zamierzał się tłumaczyć, a jednak powiedział:

– Wiesz, że to nie moja wina.

– Oj, chyba jednak trochę twoja. – Uśmiechnęła się krzywo. – Tam, w łozu, było nas dwoje.

– Ale tylko jedno włożyło pod materace Smocze Ziarno – stwierdził chłodno. – Zawarliśmy układ. Miałaś doprowadzić mnie do... niego – wskazał Lunasa – a w zamian za to usunąłbym ci wspomnienia. Ja tylko zrezygnowałem z twojej części zobowiązania. Nie moja wina, że kłamałaś. – Popatrzył na syna, który wciąż wtulał się w udo kobiety i pokręcił głową. – Nie używaj chłopca przeciwko mnie, Uri. Oboje wiemy, że nie zostawiłbym cię, wiedząc o twoim stanie.

Zmarszczyła brwi, a potem łagodnie odsunęła Lunasa. Pogłaskała go po głowie, mierzwiąc jasne włoski dziecka. Milczała, ale malec czytał jej myśli. Chwycił dłoń kobiety i pociągnął ją do Yasy. Podeszła posłusznie, a kiedy stanęła o krok od Pierwotnego, Lunas puścił jej rękę. Zadarł głowę, żeby spojrzeć w oczy Yasy.

– Daj – polecił i nie czekając na przyzwolenie, chwycił ojca za nadgarstek i położył jego dłoń na brzuchu Uri. Suknia zafalowała pod palcami maga. Yasa gwałtownie wciągnął powietrze, Lunas zaś zachichotał i przeciągnął jego rękę wyżej. Suknia poruszyła się wraz z nią. Chłopiec uśmiechnął się szeroko, pokiwał głową z doświadczeniem starca, a później oświadczył, jakby robił to od zawsze: – Tata.

\*

Śnieg osadzał się na rzęsach Kaliena i wciskał w oczy, ale chłopcu to nie przeszkadzało. Stał na dworze, wśród śnieżycy, z uniesioną głową i oddychał głęboko. W szarości zmierzchu niewiele mógł dostrzec, ale nie opuścił grot, by podziwiać widoki. Wybiegł tak, jak się przeniósł z orianowskiego świata, w cienkiej koszuli, więc

po kilku chwilach wśród zawieruchy drżał już z zimna. To jednak, tak jak i ciężkie mokre płatki roztopiające się i spływające mu po policzkach, wydawało się mniej straszne niż ciasny korytarz smoczej siedziby.

– Zmarzniesz, smarku. – Sodi wyszedł za chłopcem, niosąc gruby koc. Otulił nim Kaliena, a potem spojrzął na Likal, która również pobiegła za bratem. – Pewnie pogwarzyć chcecie, co nie?

Wyjątkowo cicha dziewczyna potaknęła w milczeniu.

– Dzieciak nie lubi zamknięcia – wyjaśnił krasnolud. Poklepał Kaliena po ramieniu i dodał, patrząc na podopieczną: – Ino się nie zasiedźcie, bo wam dupy przemarzną. I trza będzie jednego smoka prosić, coby ci ją, panna, rozgrzał. – Mrugnął szelmowsko, a kiedy Likal pokraśniała, zaśmiał się i zawrócił do wnętrza. Na progu stanął i popatrzył na bliźnięta z obcą mu czułością. Ot, tak zupełnie bez przyczyny łąza się mu w oku zakręciła, kiedy pannę całkiem żywą obaczył. No, a jak się nie posmarkać z afektu, kiedy dzieciaki tak pierwszy raz gadają jedno z drugim? No, jak?

Stał tak i patrzył na dzieci Oriana długi, długi czas, aż w końcu pokiwał głową i odszedł.

Likal spojrziała za siebie, a nie widząc już Sodiego, zapytała cicho:

– Jesteś pewien?

– To... boli... – odpowiedział z trudem Kalien. Roztarł ramiona, jakby dopiero teraz poczuł chłód, a potem opuścił głowę. Milczał, nie znaczy to jednak, że nie mówił. Słowa nie chciały się układać w zdania w jego ustach, ale w myślach płynęły wartkim strumieniem. Dlatego zaprosił siostrę do swego umysłu, by w ten sposób móc jej opowiedzieć o tym, co go dręczyło. Mówił, a ona słuchała. Kiedy zaś na chwilę zamilkł i spojrzął na nią, zobaczył pobladłą buzię Likal i zwarte szczęki. Obrazy, którymi opowiadał, płonęły teraz pod powiekami dziewczyny. Czuła ból brata, jego niewypłakane łzy. Zawahała się... A potem objęła Kaliena. Mocno, jakby nigdy nie chciała go wypuścić. Chłopiec stężał, ale ona nie przestała.

– Tak mi przykro – wyszeptała, głaszcząc plecy brata. – Bardzo, bardzo przykro. Ale teraz masz już mnie. Masz pana Sodiego i pana Yasę. Już nigdy nie będziesz sam.

Mówiła jeszcze, gdy sztywny dotychczas Kalien odwzajemnił uścisk. Najpierw niepewnie, bo ani nie przywykł do otrzymywania czułości, ani wcześniej sam ich nie okazywał. Ledwie kilka uderzeń serca i zamknął Likal w rozpaczliwych objęciach. Zupełnie jakby chciał się z nią stopić, bo troska siostry kołowała niewypowiedziany ból, a jej bliskość działała jak chłodzący okład na rozgorączkowaną duszę. Im dłużej obejmował Likal, tym bardziej wspomnienia się rozmywały. W końcu przestały być świeżą raną, palącą i bolesną. Jedyłą magią zaś było uczucie, jakim obdarzyła go siostra.

– Dobrze – powiedziała w końcu dziewczyna. – Skoro jesteś pewien, poszukajmy Pyriego.

Kalien spojrział na mroczne wejście do jaskini i odruchowo zacisnął palce na ramionach Likal.

– Będziemy tam bezpieczni – uspokajała. – Nikt cię nie skrzywdzi.

Chłopiec pokręcił głową, a kiedy Likal próbowała go pociągnąć do wnętrza siedziby, zaparł się i nawet nie drgnął. Młoda czarownica szarpnęła, ale nie zdołała pokonać brata. Przez chwilę przyglądała mu się, marszcząc brwi.

– Kalien – wyszeptała wreszcie – tam czeka moja rodzina. A skoro moja, to i twoja. Pan Yasa i pan Sodi się tobą zaopiekują. Tak jak mną. – Uśmiechnęła się ciepło i pogłaskała brata po policzku. – Nikt już nigdy cię nie skrzywdzi. Nie ma takiej siły, której pan Yasa z panem Sodim by nie poradzili. A jak nie oni, to jest jeszcze Lunas, jest Uri. Patrz tylko, mnie z ciemności wyciągnęli, a i to nie jeden raz. Posłuchaj moich wspomnień, Kalien. Tyle żem z nimi przeżyła... Nikt tak o mnie nie dbał. A teraz zadbaj i o ciebie. Chodź, braciszku.

Wciąż patrzył niepewnie, ale posłuszny zaproszeniu wszedł w myśli Likal i czytał jej wspomnienia. Jak poprzednio jego przeżycia, tak teraz jej, jawiły się obrazami tuż na granicy jaźni. Tak te straszne, jeszcze sprzed spotkania Pierwotnego, tak bolesne, że Kalien widząc je, zaciskał pięści, jak i te piękne, radosne, które sprawiały, że kąciki ust chłopca drżały w zapowiedzi uśmiechu. Obraz za obrazem, przemykały pod powiekami, by wkrótce nie zostawić żadnego niedopowiedzenia, żadnej tajemnicy. W ten sposób, po kilkunastu uderzeniach serca, oboje znali już swoją przeszłość niemal tak dobrze, jakby spędzili ją razem.

Likal wyswobodziła się z objęć brata i ujawszy jego rękę, pociągnęła ku wejściu do smoczych gawr. Tym razem jedynie się zawahał, zrobił głęboki wdech, a potem pozwolił się prowadzić.

Nie zaszli daleko, bo Pyri czekał na nich w wejściu. Zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością młodej czarownicy poszedł za nią, a nie chcąc przeszkadzać, stanął i z daleka obserwował rodzeństwo. Rozpaczliwie chłonał obraz dziewczyny, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że jest przytomna. Nie cofnął się, kiedy ruszyli w jego kierunku, a kiedy twarz Likal pojaśniała na jego widok, aż przygryzł wargę.

Ot, Uri miała rację. Miłował tę pannę. Miłował jak nikogo wcześniej.

– Pyri! – Dziewczyna puściła dłoń brata i podbiegła do smoka. – Pomożesz nam?

Pytanie! Gdyby zaprażyła gwiazdki z nieba, już frunąłby ku chmurom.

– W czym? – zapytał jednak.

– Bo widzisz, Kalien cierpi. Ja nie mam mocy, nie dam rady, ale on mówi, że Orian mówił, że twój tatko to ponoć zbierał różne artefakty. To i taki jeden miał, taki od

nocnych duszków z Zielonych Pól. Te duszki to ja myślałam, że one wymyślone, że wiesz, że bajdy dla smarków, żeby po nocy z domu nie wyłaziły, albo i lepiej, dla podrosłych panienek, żeby cnoty swojej pilnowały. A tu Kalien mówi, że nie. Że duszki to takie małe elfiki i że są. Wiesz, całkiem jak tamte elfy z magicznego lasu. Te od Złotego Dębu. Ino że te duszki to pyciutkie takie. Zupełnie jak paluszek. O! – Podsunęła mały palec pod nos młodzieńca. Pyri co prawda słuchał, ale ledwie nadał za opowieścią. – Takie maluskie, ale moc mają jak całkiem rosły czarownik. No i ponoć wymyśliły taki artefakt, co to ból myśli potrafi ukoić. I szaleństwu zapobiec. Ponoć też tatulek twój to i z ich księciuniem w konszachty wchodził, no i tamten to mu go przehandlował... – Zatchnęła się, spojrzała głęboko w szmaragdowe oczy Pyriego, a później cichuteńko dokończyła: – To i byśmy go od ciebie mogli wziąć?

Smok zamrugnął, a potem spojrzał na brata Likal. Chłopak stał za siostrą, tak do niej podobny, jakby był odbiciem w magicznym lustrze, które pozmieniało nieco szczegóły, obcięło włosy i zabrało chochlika tak dla Likal charakterystycznego. Reszty jednak owa magia zwierciadła nie tknęła, więc niebieskie oczy patrzące błagalnie czy przygryziona w napięciu warga... zupełnie jak lustrzany obraz młodej czarownicy.

– Pyri?! – Dziewczyna pociągnęła go za rękaw.

– Chcesz figurkę nocnych duszków? – upewnił się, spoglądając na Kaliena. Chłopiec, niewidoczny dla Likal za jej plecami, położył palec na ustach. Wsunął się w myśli smoka z taką samą łatwością, z jaką kiedyś zrobiła to jego siostra, a potem poprosił o przysługę. Pyri zmarszczył brwi i przez jedno czy dwa uderzenia serca dyskutował bezdźwięcznie z nieproszonym gościem swojego umysłu. Nim jednak zdołał coś osiągnąć, siostra owego gościa przerwała ich wymianę myśli.

– Tak! Figurkę! Ona ukoić ból Kaliena. Proszę, Pyri! – Zacisnęła palce na nadgarstku mężczyzny, rozpraszając go w jednej chwili. Jakże bowiem miał myśleć o Kalienie, kiedy Likal go trzymała, a te wielkie jasne oczy zdawały się dotykać samej duszy? – Dasz nam ją? Tylko na trochę. Potem ci oddamy. Kiedy już naprawimy Kaliena.

Smok nie odpowiadał, więc dziewczyna dodała bardzo cicho:

– Gdybym ino mogła czarować... – Pociągnęła nosem, a jej oczy się zaszklily. Opuściła głowę i jedna samotna łza spłynęła po policzku. Wstrząśnięty mężczyzna przez bardzo krótką chwilę śledził jej drogę na skórze, a gdy zadrżała na brodzie, by w końcu spaść, złapał młodą czarownicę i zamknął w ramionach.

– Nie płacz, Likal – sapnął. – Proszę... – Popatrzył na Kaliena, westchnął, a potem oświadczył: – Pożyczę wam artefakt nocnych duszków.

Likal podskoczyła z radości, zarzuciła ramiona na szyję smoka i cmoknęła go szybko w policzek.

– Teraz? – Schwyciła rękę mężczyzny, żeby pociągnąć go do gawry. – Teraz?

Wciąż skupiony na szybkim całusie Pyri nie od razu zareagował, ale chociaż Likal ciągnęła do środka, stał twardo w miejscu. Wreszcie łagodnie powstrzymał jej usiłowania.

– Wolałbym najpierw porozmawiać z Yasą – oświadczył niechętnie. Uchwycił spłoszone spojrzenie Kaliena i pokiwał głową. – Tak bym wolał. Nikt nie używał figurki od setek lat. Nie jestem pewien, jak zadziała.

– Pierwotny... nie... – zająknął się chłopiec. Nie potrafiąc wyartykułować swoich obaw, spojrzał na siostrę, a później na smoka. – Ona chce. Widzisz. A Pierwotny... może...

– Może się nie zgodzić – dokończył Pyri. – Ona też by się nie zgodziła, gdyby wiedziała.

– Co gdybym wiedziała? – zapytała zdeorientowana dziewczyna. – To niebezpieczne dla Kaliena?

Popatrzyli na nią, każdy inaczej, ale obaj z niepokojem, ponownie wymieniając bezgłośnie uwagi.

– Powiedzcie!

– Każda magia jest niebezpieczna – burknął w końcu Pyri. – Czarodzieje wciąż o tym zapominają. Nigdy nie wiadomo, jakie będą konsekwencje, ale zawsze jakieś są.

– Zapomniałam – Likal uśmiechnęła się – jak bardzo nie lubisz magów.

– Nie lubię zabawy mocą – odpowiedział szybko. – I braku odpowiedzialności typowej dla magicznej profesji. Zwłaszcza, kiedy magią para się taki młodziak, jak twój brat. Potęgi artefaktu nigdy nie uruchamiał ktoś tak młody... – Pokręcił głową. – Nie, zdecydowanie bez Pierwotnego nie ruszymy figurki. I nie patrzcie tak na mnie – fuknął, bo błagalne spojrzenie rodzeństwa gryzło mu sumienie. – Nie ustąpię. Poza tym ochrona Yasy się przyda, ot tak, na wszelki wypadek. A kiedy twój opiekun przemyśli, może i się zgodzi. Może i sam by to zaproponował... – Zmarszczył brwi. – Gdyby oczywiście wiedział, że mamy figurkę. Ojciec wygrał ją całkiem niedawno. No i gdyby w ogóle wierzył w jej istnienie. Niewielu wierzy. Zdumiewające, że Orian ci o niej opowiedział... – Ściszył głos, uciekając spojrzeniem. – Zdumiewające, ale i do przemyślenia...

Słuchając dziwnej przemowy smoka, świadoma, że go nie przekona, Likal zacisnęła usta. Stojący za nią Kalien kompletnie nieświadomie powtórzył ten grymas. Pyri zamrugnął zaskoczony, bo chociaż podobieństwo bliźniąt nie było uderzające, w tej właśnie chwili owa dwójka wydała mu się niemal identyczna.

– Skoroś taki uparty – burknęła dziewczyna, przerywając przedłużającą się ciszę – to chodźmy do pana Yasy. Jakoś się mnie wcześniej nie wydawało, co go aż taką atencją darzysz.

Zdawać się mogło, że złośliwa uwaga chybiła celu, bo twarz Pyriego pozostała obojętna, ale gdyby Likal potrafiła w myślach smoka czytać, wiedziałaby, że mocno się musiał starać, żeby jej nie pokazać języka. Niestety, wyjałowiona z magii dziewczyna nie miała już tego daru, a jej brat zbyt był przejęty, i powrotem do wnętrza smoczej siedziby, i konfrontacją z Pierwotnym, by przejmować się smoczymi humorami.

\*

– Połączenie? – zapytała Deidghe zjadliwie, przyglądając się Zakonnej. Zostały same w obszernej grocie wejścia, wśród ścian obitych haftowanymi złotem jedwabiami. Oprócz grot królewskiego rodzeństwa i legowiska ich ojca było to najstrojniejsze miejsce w Itru. Pokolenia smoków dokładały złota, jedwabi i drogocennych kamieni, by je uświetnić. Już pradziad Deidghe, tysiące lat wcześniej, wymyślił, że każdy, kto zechce nawiedzić królewski dwór, powinien stracić dech z zachwytu... i z zazdrości.

Najwyraźniej jednak Zakonna nie straciła tchu. Stała z obojętnym wyrazem twarzy, szczupła i wysoka, w skromnym męskim odzieniu. Powinna wyglądać nieodpowiednio... jak ktoś przytłoczony ogromem luksusu i bogactwa, może zawstydzony, że w lekko ubłoconych wysokich butach stąpa po zamorańskich marmurach, którymi, z jakichś niewytłumaczalnych powodów jeden z przodków Deidghe kazał wyłożyć podłogi w jaskiniach. Tak, powinna być zagubiona i zawstydzona... a nie była. Odwrotnie, mimo niewyszukanego, a nadto i nie całkiem czystego stroju, idealnie pasowała tak do marmurów, jak i jedwabiu.

A to dodatkowo irytowało smoczycę.

W sumie nie miała powodu, by czuć taką niechęć do Kobiety Tradycji. W końcu nigdy wcześniej się nie spotkały, a Rosy nie było jeszcze na świecie, gdy Zakon wypowiedział smokom wojnę. Nie istniała więc przyczyna, dla której smocza pani patrząc na rywalkę, pragnęła zmienić formę i jednym tchnieniem spopielić długonogą wojowniczkę. Ta lodowata furia dręcząca umysł smoczy nie powinna mieć miejsca.

Gdyby nie Yasa.

Wiekami Deidghe marzyła o Pierwotnym, o tym, że któregoś dnia spojrzy na nią w sposób, w jaki nie patrzył na żadną inną... I to będzie cudowny dzień. Pierwszy z nieskończenie wielu, jakie spędziliby ze sobą. Nie wiedziała, jak wyglądałoby takie spojrzenie, ale wierzyła, że będzie cudowne. I było. Tyle że Yasa nie patrzył na Deidghe, a na to dziwne elfie dziecko o odbarwionych oczach. Już to mogło doprowadzić smoczycę do furii. Nie pomógł również fakt, że mimo kilku prób Deidghe nie udało się wejść w myśli Zakonnej. A przecież w smoczym świecie nikt nie powinien się oprzeć jej mocy. Dotychczas tak było i nagle, w jeden dzień, troje gości miało nieprzeniknione umysły. Szlag!

Rosa nie zareagowała na nieukrywaną zaczepkę w głosie gospodyni. Rozejrzała się wokoło, a potem usiadła na ławie pod ścianą i wyciągnawszy długie nogi, spojrzała na Deidghe. Milczała, ale miała taki wyraz twarzy, że smoczyca zacisnęła szczęki i zrobiła krok w jej kierunku. Nie zdążyła jednak w jakikolwiek sposób zaatakować, bo do groty weszli Yasa z synem na rękach i Uri. Wszyscy troje wyglądali przy tym tak zwyczajnie, jakby w gości do królewskich jaskini zawitała ludzka rodzina. Lunas z tym niesłychanym podobieństwem do Pierwotnych wydawał się bardziej synem Uri niż Deidghe, co jego matka zauważyła ze ściśniętym sercem. Nagle całą wściekłość zastąpił żal. Ot, taki trochę bez sensu, bo przecież nawet najwięksi magowie nie potrafili cofnąć czasu. Nie miała szans na taki rodzinny obrazek, na to, by ojciec jej dziecka stał przy niej, kiedy była w błogosławionym stanie. I sama o tym zdecydowała, oszukując go przed laty.

Lunas, jakby wyczuwając nastrój matki, wyciągnął do niej rękę. Uśmiechnęła się i przejęła syna tak naturalnie, jakby nie robiła tego po raz pierwszy. Na krótki moment chłopiec zawisł między rodzicami, wciąż jeszcze obejmując Yasę, ale już wplątany we włosy Deidghe. Jedno, drugie, trzecie uderzenie serca, a malec trzymał oboje, łącząc i mieszając ich moce. W końcu puścił Pierwotnego, by wtulić policzek w ramię matki, ale mężczyzna i tak nie odrywał od niego wzroku.

Ten właśnie moment, tkliwy i słodki, wybrał sobie Sodi, by wrócić do groty. Spojrzał na Yasę, na chłopca, który wyglądał zupełnie jak Pierwotny, a potem powiodł spojrzeniem po trzech towarzyszących im kobietach.

– Eeeech, panie Yasa – wyszczerzył zęby – aż trzy baby na was jednego. No, dyć nie wiem, żałować czy zazdrościć, co nie? I niech ja więcej cystatej Jurty nie pomacam, wszystkie na was chętne. Dyć tak oczysk nie wytrzeszczajcie, dzieciak i tak nic nie pojmuje, bo smark jeszcze, to i se mogę rzeknąć, co i prawda, nie?

– Yudherthardere... – wyręczyła Yasę Rosa, groźnie ścisząc głos.

– Jakem już wiele razy panu Yasie powiadał: wiem jak mnie zwą, nie trza przypominać. – Wzruszył ramionami, a potem przeszedł przez grotę i siadł ciężko naprzeciwko wojowniczkii. – Ale że se tak szepczecie, to zem już prawie zapomniał. Aż się człękowi na serduchu jakoś tak cno robi... Wspomnienia wracają. Ino w nich nijak takiego smrodliwego zakłątka, co to Tropicielem telepie, nie było. Połączenie, co? Nic ino Połączenie. Nie żebym kiedyś miał przyjemność... Się ino czytało w starych księgach. Niezdejmowalny pierwotny czar. – Uśmiechnął się krzywo. – Czego pan Yasa go użyć by chciał to i wiem, ale wam po co? Chyba że od czasu fasolowego klechy poszłicie po rozum do tej niebrzydkiej głowiny i bez przyjaciela mojego najmilejszego życia przyszłego nie widzicie. – Przyjrzał się chłodnemu obliczu Zakonnej, a potem zerknął na Yasę i pokręcił głową. – Ano widzę, że nie. Może i dobrze. Likal nie byłaby



szczęśliwa. I tak ma niemałą konkurencję, co nie? Się wam, panie Yasa, namnożyło. No, nie pogadasz. Synalek niczego sobie, no ale tośmy wiedzieli. Ino o tej waszej powinowatej to jakoś nie. Bo to wasze? Po oczyskach panny w was wlepionych, widzę, że wasze... No i po tym, że mnie wtedy w karczmie Smocze Ziarno podpieprzyła. – Uciekł spojrzeniem przed Pierwotnym, bo jakoś przez tych kilka miesięcy się nie złożyło, coby mu prawdę mógł wyznać. – Takem się zastanawiał, po cholere pannie Ziarno. Znaczy, kiedym wreszcie pojął, że artefaktu ni ma. A to już jakeśmy na powrót na Czarnej Górze stanęli. Dyc nie patrzcie tak. Wtedy i tak już było po sprawie, co nie? Wiem, wiem, trza było wam rzec. No, ale wtedy się wszystko popieprzyło. Likal zaginęła i w ogóle... No nic. Grunt, że idzie ku dobremu. Będziecie mieli dwójkę, tatulek pełną gębą, co nie?

Yasa zgrzytnął zębami, a później westchnął. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, jakoś skomentować przemowę krasnoluda. W końcu jednak pokręcił tylko głową i usiadł obok niego.

– To i jak będzie, panie Yasa? – Sodi, kompletnie niezrażony, zmienił temat. – Gówniara niby żyje, ale mocy już u niej za grosz. Nie trza w myślach czytać, coby widzieć, że szczęśliwa z tym nie jest. Nie minie miesiąc, a elfy uszykują nowy artefakt i po mocy naszej panny ino wspomnienie zostanie. A szkoda. Umiało dziewczę tak pierdolnąć zaklątkiem, że trzy wioski dalej ptactwo nieść się przestawało, a chłopom już my tam wiemy co nijak się podnieść nie mogło. Ano żal. Trzaby nasze dziewczątko poratować.

Mag w milczeniu kiwnął głową.

– Ino nie wiecie jak, co nie? – domyślił się Sodi. – Wasza Zakonna nie poradzi?

– Nie próbowaliśmy jeszcze.

– Zaś, wiecie, Itru to magiczna ziemia, a już tutaj stoi więcej mocy niż w niektórych królestwach przez ostatni wiek. – Krasnolud podrapał się po głowie. – Nie może to być, żeby jakieś gówniane puzderko było potężniejsze od nas.

– Elfy? Puzderko? – zainteresowała się Uri. Dotychczas słuchała z irytacją, dopiero wzmianka o pudełku sprawiła, że potok słów Sodiego nabrał sensu i obudził zainteresowanie Pierwotnej. – Macie artefakt ze Złotego Dębu?

Yasa zacisnął zęby. Nie ufał Uri. Teraz nawet bardziej niż kiedyś. Powinien wiedzieć, że się domyśli i ostrzec Sodiego. Najwyraźniej się starzeje.

– Ano – przytaknął tymczasem krasnolud. – Ino bez klucza, bo jakem go ostatnio użył, to się cholerstwo w artefakt wtopiło. Dlatego nasza panna taka nie całkiem swoja.

– Yudherthardere...

– No czego? Toż to wasza krewniaczka... i mamulka waszego dziedzica, nie? Rodzina, znaczy. A nawet jakby znów chciała podpieprzyć nam własność, to i tak

puzderko jej na nic, nie? I z Itru zdaje się, bez zgody tutejszej pani, ni cholery nie wylezie. A że mocarna z niej czarownica, to i może co wymyśli na tę naszą bolączkę.

Uri uśmiechnęła się, nieco tylko złośliwie, i podeszła do obu mężczyzn. Przez chwilę stała przed Yasą, wyczekująco i w milczeniu, a kiedy z westchnieniem przesunął się, robiąc jej miejsce na ławie, usiadła obok niego. Miejsca było sporo, ale ona bardzo chciała zirytować przyglądającą się im Zakonną, więc przyłgnęła do kuzyna. Była niemal pewna, że jej na to pozwoli i miała rację. Yasa zeszywniał, ale nie odsunął się.

Cóż, w sumie rzeczywiście byli rodziną. Dlatego Uri uznała, że powie im prawdę.

– Pamiętasz, Yaso – położyła delikatnie dłoń na przedramieniu mężczyzny, z przyjemnością dostrzegając rosnącą irytację Rosy – święte księgi Pierwotnych? Te opracowane w skórę... – zawahała się, bo jakoś w tym miejscu nie mogło jej przejść przez usta, że to była smocza skóra. – Leżały zamknięte w skarbcu matki.

– Pamiętam, ale nie wiem...

– Nie czytałeś ich, prawda?

– Isina nie pozwoliła.

– A tak. Do czego innego byłeś jej potrzebny. – Uri prychnęła zjadliwie, acz bardziej pod adresem nieżyjącej matki niż Yasy.

– Dlaczego o tym wspominasz? – Pierwotny postanowił zignorować zaczepkę. Słowa kuzynki bagatelizował znacznie łatwiej niż dotyk smukłych palców, porami których płynęła uwodzicielska moc Uri. Aktywna, mimo smoczej ziemi.

Pierwotna przekrzywiła głowę. O tak, ona też czuła rosnące podniecenie kuzyna. I wściekłość jego byłych kochanek. Obu. Jeszcze trochę, chwila lub dwie... Pozwoli im zaciskać pięści i przygryzać usta z zazdrości. A potem cofnie czar.

Raz, dwa... teraz.

Odsunęła się, a Yasa błyskawicznie odzyskał spokój.

– Uri?

– To były święte księgi. Opisywały stworzenie, dzieje i przepowiadały przyszłość. Matka mówiła, że w nie nie wierzy, ale miała do nich ogromny sentyment. Mnie pozwoliła je czytać. Wiesz, że Pierwotnych stworzyli bogowie?

– Uri...

– Ach tak, jasne, że wiesz. To i pewnie historia powstania artefaktu i powód, dla którego bogowie nauczyli leśne elfy, jak go przygotować i użyć, nie są ci obce?

– Nie są, Uri. Marnujesz nasz czas. – Skinął głową, nie kryjąc już irytacji. Kobieta zachichotała cicho.

– Ale chyba coś ci umknęło, kuzynie. – Ponownie położyła dłoń na ręce Yasy, a on znów stężał. – Artefakt ze Złotego Dębu to dzieło bogów, więc nie potrzeba mieć do

niego klucza. Wystarczy moc bogów. Moc Ciała, Serca, Magii i Czasu. Moc czterech przemian, kochany.

Cofnęła rękę i czekała, aż jej słowa dotrą do wszystkich, a kiedy tak się stało, dodała... ot tak, dla podkreślenia tego, co właśnie wszyscy zrozumieli:

– Twoja Zakonna otworzy wam pudełko ze Złotego Dębu, kochany. Musisz ją tylko ładnie poprosić.

# XI

## Itru

Ciszę, jaka zapadła w grocie, przerwał tupot stóp Likal. Biegła, ciągnąc za sobą brata, a ich kroki odbijały się echem w szerokich korytarzach smoczycy gawr. Pyri szedł za nimi niemal bezgłośnie.

– Panie Yasa! – krzyknęła na wejściu i zatrzymała się nagle. Była co prawda przejęta problemami brata, ale nie aż tak, by nie zauważyć niesłychanego napięcia w pomieszczeniu. Zmarszczyła brwi, powiodła wzrokiem po obecnych i zapytała: – Coś się stało?

Krasnolud popatrzył na Yasę pytająco, ale mag nie zauważył tego, wpatrzony w podopieczną. Dziewczyna też zauważyła spojrzenie opiekuna i zarumieniła się gwałtownie. Opuściła głowę i spoglądała spod opuszczonych powiek. Nijak nie wiedziała, jak się zachować, kiedy pan Yasa patrzył tak... No, prawie tak, jak na Zakonną.

– Dyc'żem myślał – zachichotał Sodi – że trzy baby na was jednego, panie Yasa, to sporo, a tu jeszcze czwarta... znaczy babą bym tego nie nazwał, bo ledwo toto się zaokrągliło tu i ówdzie... Acz, jak se tak patrzę na tego smoczego szczeniaka, to se myślę, panie Yasa, że jemu tych krągłości aż nadto, bo się niebożatko zdecydować nie może, na które najpierw się gapić...

Smok fuknął zawstydzony. Nikt więcej nie zwrócił uwagi na złośliwość krasnoluda, bo wszystkie oczy wpatrzone były w Likal i jej nauczyciela. Nawet mały Lunas przyglądał się im z zadziwiającą powagą.

– Eeeech, panie Yasa. Wam też, zdaje się, wdzięków naszej gówniary starczy, co nie?

– Yudherthardere... przymknijcie się, dobrze? – cicho poleciła Rosa.

– Skoro tak grzecznie prosicie. – Sodi klepnął się w uda, a potem wstał i podszedł do podopiecznej. – Będzie tego gapienia, panna. Z czymś tak prędko do nas biegała, co? Bo przecie nie po to, coby se na pana Yasę miłośnie pokukać.

Likal niechętnie odwróciła głowę, by spojrzeć na drugiego opiekuna, a krasnolud naraz pomyślał, że są jakieś dobre strony tego, że artefakt ją z mocy wytrzebił. Jak nic byłby teraz na czterech łapach biegał albo i gorzej.

– Zaś tak panna nie patrz. Ładniem ino pytał, nie? Boś wpadła tu z krzykiem, przerywając zacną pogawędkę twojego opiekuna z krewniaczką.

Dziewczyna rzuciła okiem na Yasę i wtuloną w niego Pierwotną. Westchnęła, bo przecież będąc w zawieszaniu słyszała, jak Pyri powiedział, czyje dziecko nosi Uri. I nie było jej to miłe. Oj nie.

– Potrzebujemy pomocy – oświadczyła więc chłodniej, niż zamierzała. – Dla Kaliena. A Pyri rzekł, że nie pomoże, jeśli pan Yasa się nie zgodzi. To przyszedłam zapytać. Jakbym moc miała, to i bym sama poradziła, ale nie mam. A Kalien cierpi.

Wszyscy spojrzeli na chudego chłopca stojącego za siostrą. Pochylony, z podkrążonymi oczami, wyglądał na chorego. Nie pomagał zamożny strój, w który odział go ojciec, bo ciemna aksamitna kurtka dodatkowo podkreślała siną bladość skóry. Pozwalał Likal trzymać się za rękę, ale widać było, że każdy mięsień chudego ciała napięty jest do granic możliwości. Nie patrzył na nikogo, wbijając wzrok we własne buty. Kiedy jednak Yasa wstał, Kalien drgnął i cofnął się gwałtownie.

– Nie zrobię ci krzywdy – łagodnie obiecał mag.

Chłopiec spojrział na niego, a Pierwotnego, jak wcześniej młodego smoka, zdumiało niesłychane podobieństwo rodzeństwa. I chociaż nie chciał, poczuł do dzieciaka echo tego niezdefiniowanego uczucia, jakie żywił do wychowanki. Zaskoczony pokręcił głową, a później zwrócił się do Likal:

– Możemy spróbować zakłść uzdrawiających, ale moc twojego brata będzie z nimi walczyła. Nie wiadomo, czy nie narobimy więcej szkód...

– Nie! Nie tak! – Dziewczyna pokręciła głową. – Pyri da figurkę od nocnych duszków i ona uleczy Kaliena!

Yasa zmarszczył brwi, po czym spojrział na młodego smoka.

– Nocnych duszków? – powtórzył sceptycznie.

– Ano – potaknęła dziewczyna.

– Artefakt nocnych duszków nie istnieje.

Pyri uciekł spojrzeniem, ale po chwili wymamrotał:

– No niezupełnie...

– Pyriedntestate! Cholera! – wtrąciła się Deidghe. – Może zostawisz trochę naszych tajemnic nieodkrytych?

– Macie Figurkę Przeniesienia? – zdumiał się Pierwotny. – To nie bajka?

Pyri milczał, więc Yasa przeniósł wzrok na jego siostrę. Smoczyca warknęła cicho i nie odpowiedziała. Odwróciła głowę, udając, że nie ma w grocie niczego bardziej interesującego niż jasne włosy jej syna. Pierwotny czekał. W końcu kobieta wzruszyła ramionami.

– Mamy. Ojciec wygrał w uczciwym zakładzie.

Yasa parsknął cicho.

– Skarbie, wiele można rzec o waszym ojcu, ale w całym swoim bardzo długim życiu nie zrobił nic uczciwego. Zapewne nie wiedział nawet, jak owa uczciwość wygląda, choćby i w teorii. – Uśmiechnął się chłodno. Wrócił do ławy, ale tym razem usiadł tak, że od Uri oddzielał go krasnolud. – Chcesz, Likal, żeby twój brat przeniósł na ciebie swoją moc? Sądzisz, że to go uleczy? Uwolni od koszmarów?

– Co?! – Zaskoczona dziewczyna podniosła głos. Popatrzyła na brata, potem na Pyriego, wreszcie na opiekuna. – Jak to przeniósł?!

– Artefakt nocnych duszków z Zielonych Lasów zwą Figurką Przeniesienia – wytłumaczył spokojnie Yasa. – I jak nazwa wskazuje, służy do przelewania mocy z osoby nią obdarzonej na tego, komu chce ją oddać. Nie wspomnieli ci o tym?

Przez chwilę młoda czarownica trawiła tę informację. Emocje mknęły po ładnej buzi, nieskrywane, a przy tym skrajnie sprzeczne. Złość, nadzieja, żal, oczekiwanie... Ból i szczęście. Każda z nich, przemienne. Yasa przyglądał się jej wraz z innymi w ciszy, a kiedy spojrzała mu w oczy, zapraszając bezgłośnie do swojej świadomości, wszedł tam, by pomóc w rozterkach.

W końcu dziewczyna westchnęła i odwróciła się do brata.

– Nie mogę wziąć twojego daru, Kalien – oświadczyła spokojnie.

– To... nie... dar – wydukał chłopiec.

– Dar. – Złapała go za rękę i jak poprzednio Yasę, zaprosiła brata w głąb umysłu. – To część nas. Ciebie. Mnie. Jak wspomnienie, jak sen. Jak tchnienie. To straszna męka, braciszku, kiedy znika część ciebie. Czujesz? Straszna męka. Nie mogę ci tego zrobić.

Młodzieniec pokręcił głową zrozpaczony.

– Ty... potrzebujesz... Ja nie. Nie chcę. Wszystko, co... złe... wszystko z tego powodu – mówił cicho i bardzo powoli. – A ty umiesz... zapanować... nad ciemnością. Pan Sodi mówił.

Wzruszony rozmową rodzeństwa, a przywołany ostatnim zdaniem Yudherthardere pociągnął głośno nosem. Złapał oskarżycielskie spojrzenia Pierwotnego i Likal, ale wzruszył ramionami.

– No a co? Nie jest tak? – burknął, bo jakoś go tak w gardle drapało, że i głośno, a wyraźnie trudno było mówić. – Ni ma takiego czaru, takiej mocy ni ma, cobyś panna nad nią zapanować nie potrafiła. Jak się leśna dupodajka na nas uwzięła, to co żeś panna zrobiła? No co? Czarne moceś związała i w czar ochronny zmieniła. A jak! Dyc, panna, żadna zła moc by ci nie poradziła. Chuchroś takie, ale i mocarz niepośledni. W tym gówniarz ma rację, ale w tym swoim drugim pomysłu to dupy dał jak nic. Nie trza ci jego mocy. Za mocą pójdą zmory, a i może furia i nieopanowanie. Trza ci twoje własne czarowanie odzyskać. Wtedy wszystko się naprostuje, a i bratu pomożesz. –

Zamilkł i przez jakiś czas patrzył na rodzeństwo. Potem klepnął się w uda, poderwał z ławy i wykrzywił niemal radośnie. – No! To jak już wiemy, co i jak, to do roboty, nie? – Rozejrzał się, ale nikt oprócz niego się nie ruszył. – Coście takie nieruchawe jak stryjenka na marach? Likal trza moc oddać, coby brata poratowała, nie? To niech no które dupę po puzderko ruszy. Chyba że go gdzieś tu trzymacie? – Rozejrzał się wokoło.

Pyri spojrział na siostrę, a ta wzruszyła ramionami. Mały Lunas właśnie zasnął w jej ramionach, usiadła więc, bo dziecko zaczęło jej ciążyć, a że brat nie odrywał od niej wzroku, westchnęła w końcu i powiedziała:

– Artefaktu nie ma w królewskich grotach. Wysłałam go w bezpieczne miejsce. – Nikt nic nie powiedział, ale wyraz twarzy niemal każdego z obecnych wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie dają wiary w prawdziwości słów smoczy. Jakoś nikt nie wierzył, by w Itru było bezpieczniejsze miejsce niż królewskie grotty. Kobieta jednak zignorowała nieukrywany sceptycyzm. Poprawiła śpiącego malca i, nie patrząc na gości, kontynuowała: – Musimy poczekać do jutra, by go tu sprowadzić, bo na zewnątrz zapadł zmrok, a dodatkowo zaczyna się ostatnia tej zimy zamieć. Podróż byłaby zbyt niebezpieczna. Wam zaś dobrze zrobi odpoczynek. – Spojrzała niechętnie na Rosę. – Nie wiadomo, ile potrzeba mocy, żeby otworzyć puzderko. Itruańscy magowie nie poradzili, a nie są to jarmarczni trefnisie. Pójdę zarządzić wieczerzę. – Wstała i rozejrzała się nieporadnie. Zrobiła krok w kierunku brata, ale Yasa uprzedził smoka. Podszedł do Deidghe i przejął od niej Lunasa, jakby robił to zawsze. Chłopiec otworzył na moment oczy, uśmiechnął się nieprzytomnie, a potem wtulił w ojca, zaciskając piąstki na jego jedwabnej koszuli. Zwyczajna scena była tak nowa dla obojga rodziców, że wstrzymali oddech, wpatrzeni w malca.

– Dyc, panna, nie żebym gościnie przemiłej czego odmawiać mógł, ale jednakowoż coś by człek przekąsił – przerwał ciszę krasnolud, bo i jemu się niechciana łezka w oku zakręciła, a przecie głupio tak było smarkać ino dla Yasowego ojcostwa, co nie?

\*

Gościnne grotty w Itru, choć opływające w dostatki, pozostawały jednak grotami. Niemałymi co prawda, ale nadal pozbawionymi okien dziurami w skałach. Ot, ciemno i strasznie, chociaż dziesiątki migocących świec próbowało ową mroczność rozświetlić. Sodi usiadł na szerokim łożu, wyścielonym zaorańskimi jedwabiami i podrapał się nerwowo po udzie. Ot tak, bo przecież nic go w tym akurat miejscu nie swędziało. W inszy dzień pewnikiem radowałyby serce i złotogłowie, i aksamity zwisające ze ścian, a i elegancka wanna, co to ją na żądanie Yudherthardere wniesli słudzy smoczej gospodyni, wypełniona wonną kąpielą, sprawiłaby zapewne przyjemności co niemiara.

Ano w inszy dzień, bo tego konkretnego wieczora to Sodiego bardziej zajmowała myśl o Kalienie zamkniętym w owej dziurze w skale i jego szalonej mocy, nieograniczonej magicznymi ścianami zamku Oriana. Jeśli dzieciak uruchomi magię, a coś Sodiemu mówiło, że raczej itruańskie bariery w tym go nie powstrzymają, cała góra, co to w niej złote smoki siedzibę uczyniły, pieprznie jak nic.

Oj, cholera, a przecie w tejsze górze i on, Sodi Yudherthardere, chciał właśnie głowę na poduszkach złożyć.

Wstał z ciężkim westchnieniem, bo nijak mu było spać, kiedy gdzieś tam jasnowłosy smark mógł się do rozniesienia połowy Itru szykować. Jakby jeszcze panna moc miała, to i by pewnie braciszka zdołała powstrzymać. A tak? No, niby są w tym siedlisku dwa największe żyjące czarodziejstwa, zwłaszcza ta precudna Pierwotna, co to, kiedy na nią biedny krasnolud patrzy, nie dość że przenajmilejszej Kyty zupełnie nie pomni, to sam nie wie, czy o zaciągnięciu w pościel owej panny dumać, czy przeciwnie, o tym, coby jak najdalej od owego cuda się znaleźć. Z jednej bowiem strony, nawet w tym stanie, Uri nie ma sobie równych... z drugiej jednak Sodi wciąż w żywej miał pamięci, jak z nochala posoką broczył, kiedy go Pierwotna czarem potraktowała. Oj, niełatwy wybór. Niełatwy...

Że jednak od dumania nikt jeszcze z nosa nie krwawił, uznał Sodi, że na chwilę lub dwie popuści wodze wyobraźni... Usiadł ponownie i rozmarzył się. Ot tak... bo czemu by nie?

Kiedy jednak owe dwie chwile minęły, Sodi wstał ponownie, by poszukać dwojga największych czarodziejów Krainy i uprzedzić ich o możliwym końcu itruańskich grot.

\*

Za czasów, kiedy Itru władał ojciec Deidghe, Yasie zdarzyło się kilka razy odwiedzać królewskie gawry. Nigdy jednak nie czynił tego zimą. Może więc była to kwestia pory roku, a nie fakt, że dzieci Yha wiodły zupełnie inny tryb życia niż ich ojciec. Bez względu na przyczynę Pierwotny nie przywykł do tej absolutnej ciszy, do wrażenia, że nie tylko w gościnnej grocie, ale i w całym Itru pozostał jedyną żyjącą istotą.

Za dawnych dni królewskie gawry tętniły życiem, muzyką, hałaśliwymi rozmowami, aż po blade świt, śmiechem... i nieograniczonym chędożeniem. W takich warunkach poznał Deidghe i skonsumował tę znajomość w jednej z mrocznych grot, nie bardzo wiedząc, z kim to robi. Dla niego to były pokładziny jak tysiące innych, dla niej początek uczucia, z którym nie poradziła sobie przez następne kilkaset lat. Och, Yasa nie był głupcem, wiedział o emocjach smoczycy. Długo jednak były mu obojętne, a chędożenie... Ten, kto powiedział, że nie ma lepszego kochanka nad smoka, raczej się



nie mylił. Dziewczyna była niesamowita, Yasa zaś wtedy jeszcze nie miał na względzie niczyjego dobra oprócz swojego.

Dawne, złe czasy. Nie lubił o nich myśleć. Nie lubił wspominać tamtego Yasy... sprzed Luny. Kiedy jedyne, czego pragnął, to przyjemność, bez względu na to, czym kosztem.

Odetchnął, rozparł się wśród poduszek i przymknął oczy. Dziwnie działała na niego ta cisza. Budziła wyrzuty sumienia. Trzeba było skorzystać z oferty Sodiego. Przy jego niekończącym się gadaniu wspomnienia raczej nie zdołałyby nabrać ostrości, a Pierwotny zapewne zasnąłby ukołyszany skrzekliwym marudzeniem krasnoluda, nie zaś siedział samotnie w miękkim łóżu, wypatrując na powale jakiegoś znaku, który pomógłby mu ukoić...

– Pożądanie? Ja mogę ukoić twoje pożądanie, skarbie – miękki głos wyszeptał obietnicę wprost w myśli mężczyzny. Smukłe palce przemknęły po jego policzku, a później wzdłuż linii szczęki, by ostatecznie zatrzymać się na brodzie.

Yasa niechętnie otworzył oczy. Uri, odziana w przejrzysty peniuar, przysiadła na brzegu łóżka i patrzyła spod na wpół uniesionych powiek. Spojrzenie i lekko rozchylone w zachęcie wargi sprawiały, że ledwie mógł od nich oderwać wzrok. To jeszcze nie była magia kuzynki, a odzew ciała na niezaspokojone od tygodni pragnienie. Zapewne dlatego ostatecznie zdołał mu się oprzeć. Uśmiechnął się krzywo i powiódł leniwym spojrzeniem po ciele kusicielki.

– Tylko duch, Uri? Nie wolisz przyjść do mnie osobiście? – zapytał cicho.

Pokręciła głową.

– Chwilowo, kochany, sędzę, że taka podobam ci się bardziej. Bo podobam, prawda? – Cofnęła dłoń i odsunęła się lekko, by mógł podziwiać krągłości rysujące się pod jasną materią. Powolutku przesunęła opuszkami po odsłoniętym dekolcie, a później po zarysie piersi. Sutek pod wpływem pieczyoty stężał, napierając na odzienie. Czarownica zaśmiała się cicho, zmysłowo, bo pozornie spokojny mężczyzna zacisnął dłoń. Nawet bez magii wiedziała, jak bardzo w tej chwili Yasa jej pragnie... Nie, nie jej. Pragnie kobiety.

To nieco popsuło jej nastrój. Przestała się pieścić i niespiesznie wspięła się na łóżko obok Yasy.

– Ona nie będzie twoja, kochany – stwierdziła pozbawionym złośliwości tonem. – Przecież wiesz, prawda? Żadna z nich – dodała, odczytując myśli kuzyna. – Likal nie jest dla ciebie. Jest zbyt niewinna. Lepiej zostaw ją tamtemu dzieciakowi. W tobie jest zbyt wiele mroku dla takiego słodkiego kwiatuszka. – Zachichotała gorzko. – Zgasłaby stłamszona ciemnością. A ta druga... Ta druga ma zasady. Możesz ją uwieść, bo Połączenie splotło wasze zmysły, ale to ją złamie. Znienawidzi cię. Zbyt mocno ją... –

Zatchnęła się, nie mogąc zwerbalizować tego jednego słowa. Przygryzła wargi i dopiero po chwili podjęła: – Za bardzo ci na nich zależy, żebyś po którąś sięgnął, kochany. To zraniłoby cię na równi z nimi.

– Od kiedy tak się o mnie troszczysz, Uri?

– Od zawsze, kochany. – Uśmiechnęła się, a potem przemknęła palcami po własnym płaskim brzuchu, który pod wpływem tego dotyku zaokrąglił się na moment. – A teraz szczególnie.

Przez chwilę wbijał wzrok w ponownie płaski brzuch ducha Uri, a potem popatrzył w jej oczy.

– Czego ty chcesz?

– Ciebie. Zawsze tylko ciebie, Yaso – wyszeptała.

Czekał, aż po niego sięgnie. Nie zrobiła tego. Siedziała obok, smutna i tak nieprawdopodobnie zmysłowa, że nawet świadomy, że jest tylko iluzją, pragnął jej dotknąć.

– Więc zrób to, kochany – poprosiła miękko.

Tylko jedna Pierwotna potrafiła nadać iluzji kształtu, skórze jedwabistości, włosom chłodu, ustom ciepła. Tylko jedna Pierwotna potrafiła zwizualizować siebie tak, że kiedy złapał ją za ramię i pociągnął na kolana, naprawdę poczuł ciepło skóry, miękkość pośladków i aksamit warg, na których zamknął usta. Jako zjawą była równie realna, jak inne kobiety w rzeczywistości.

Poczuł jej ciężar, kiedy opadła na jego pierś, i dotyk materiału na nagiej skórze. W milczeniu odgarnął włosy z twarzy Uri i pocałował rozchylone usta. Poddała się z westchnieniem, wychodząc naprzeciw jego pożądaniu. Znała każdą myśl, każde pragnienie... Wiedziała, gdzie, kiedy i jak pieścić. Kiedy jęknąć, kiedy zmilczeć. Kiedy wbijać paznokcie, a kiedy muskać opuszkami.

To była jej moc. Pośród wszystkich innych zaklęć Uri, zaspokajanie pożądania było najpotężniejszą umiejętnością.

\*

Gwałtowna namiętność niesiona Połączeniem wyrwała Rosę ze snu. Pożądanie zarem rozlało się po ciele, spalając każdą rozsądną myśl. Przez chwilę Zakonna nie wiedziała, co się dzieje, tak silne emocje targały jej świadomością. Pragnienie na granicy szaleństwa i echo nieswojej przyjemności pozbawiały rozsądku. Z trudem łapała oddech, niepewna, czy to rozkosz, czy gniew sprawiają, że go traci. Nie szukała odpowiedzi, ale zwinęła się w pościeli, pozwalając, by kolejne fale to ekstazy, to wściekłości, kurczyły mięśnie. Przyjemność i ból, na przemian obezwładniały, osłabiając coraz bardziej.

W końcu, nie mogąc tego dłużej znieść, stoczyła się z łóżka i sięgnęła po srebrny elfi miecz. Ten sam, który przed laty dostała od Agrah Erra. Miecz pokoleń Czarnych Elfów, dar miłości. Rosa zacisnęła zęby i trzymając jedną ręką rękojeść rzeźbioną w runiczne zaklęcia, przesunęła drugą po ostrzu. Krew Zakonnej zabarwiła metal, a zaklęta w nim magia w jednej chwili przyniosła ukojenie. Emocje zgasły niczym odcięte. Pozostała świadomość Połączenia i wypalony pod powiekami obraz Yasy kochającego się z Uri.

Już to widziała, tam w gospodzie. Z nieznanых przyczyn tym razem jednak wszystko było intensywniejsze... bardziej bolesne.

– Cholera! – warknęła. Wzwała buty, zarzuciła na ramiona kozuch i nie wypuszczając miecza z dłoni, wyszła z groty.

Szła szybko przez ciemne korytarze, przyspieszając z każdym krokiem z pewnością człowieka, którego gonią demony, a on wie, że nie zdoła im umknąć, ale tak bardzo tego pragnie, że będzie się starał ze wszystkich sił. To nie tak, że obraz kochanków gonił jej myśli. On wciąż tam tkwił, namiętny i realniejszy niż jakiegokolwiek z jej wspomnień. Płonął i nie pozwalał się ugasić.

– Cholera! – powtórzyła cicho.

Korytarze były kompletnie puste. Przebiegła przez nie i po chwili już stała na dworze. Wichura wepchnęła ją na powrót do środka. Zamieć na zewnątrz nie pozwalała wyjść. Lodowate płatki niczym okruchy szkła cięły prawie do krwi, wbijając się w skórę, oczy i nos. Wiatr i śnieg zapierały dech.

Wiedziała, że nie zdoła wyjść, ale spróbowała, ot tak, tylko po to, by zająć czymś myśli. Raz, drugi, a później trzeci, wpychana z powrotem do smoczyc gawr, próbowała ponownie. Za czwartym podejściem prawie jej się udało, ale kiedy już stała na zewnątrz, przyciśnięta do skał, tracąc świadomość pod wpływem żywiołu, czyjeś ręce pociągnęły ją znowu do wewnątrz.

– Ogłupieliście, kurwa?! – wrzasnął krasnolud, bo dziewczyna szarpnęła, żeby spróbować jeszcze raz. – Ej! Panna!

– Puść!

– No, kurwa, jak nic! – burknął mężczyzna i mocniej zacisnął łapska wokół nadgarstków Zakonnej. I już nie tylko po to, żeby ją powstrzymać od wyjścia, ale żeby też przypadkiem nie machnęła tym żelastwem, co to w rękach trzymała. Mogłaby przecie coś całkiem Sodiemu niezbędnego uciąć, co nie? – Pomiarkujcie się. Złe jakoweś w was wlało, czy jak?

Zrzędlivy głos Sodiiego najwyraźniej w końcu dotarł do Rosy, bo przestała walczyć z krasnoludem. Wzruszyła ramionami i uciekła wzrokiem. Yudherthardere jednak nie puścił... z wiadomej przyczyny.

– Będzie tego, co nie? Mogę pannę puścić, czy zaś będziem siłowanie wyczyniać? Nie, żeby się mnie nie podobało. Wiecie, człek czasem lubi z ładną panną w zapasy iść, a z was całkiem niezła dupa jest. Aż się mnie cieplutko tu i ówdzie porobiło. Ech, się człek rozmarzył... No, ale po tej waszej gębuli to widzę, że na dumaniu się mnie dzisiaj skończy, co nie? – Poluzował uścisk, bo wyraz obrzydzenia na obliczu Zakonnej zastąpił uprzednie nieprzytomne spojrzenie. – Znaczy jak? Wróciliście już do zmysłów, czy dalej mnie trza będzie karku nadstawiać, coby wam dupę ratować?

– Wróciłam – oświadczyła chłodno Rosa. Cofnęła się lekko i zmarszczywszy brwi, przyjrzała krasnoludowi. Milczała długą chwilę. Sodi również nie wyrzekł słowa. Wreszcie Zakonna odetchnęła głęboko i powiedziała: – Dziękuję, Yudherthardere.

– A dyć ni ma za co. Jakem już wspomniał, mnie też całkiem przyjemniutko było. Co was tak przycisło, coby w zamieć leżać?

Rosa nie odpowiedziała. Uniosła tylko brew, a Sodi na ten widok uśmiechnął się szeroko.

– Znaczy nie moja sprawa, co nie? Dobra, jak nie moja, to nie moja. Ino nie wiem, czy mogę pannę tak tu zostawić, to i może poszlibyście ze mną?

– Gdzie?

Sodi westchnął, poważniejąc błyskawicznie.

– Bo wiecie, jakem u Oriana był w... ekhm... gościnie, to smarkowi się nocami taki pierdolnik w tej chudej łepetynie robił, że rozpieprzyłby pół okolicy, jakby go tatulek magicznymi ścianami nie obwarował... – zawiesił głos.

– Boicie się, że tu ścian magicznych brakuje? – domyśliła się Zakonna.

– Ano, tak ociupinkę. Dzieciak ma taką moc, że tu mrugnie, a trzy wioski dalej mury popękają. Jak się rozszaleje, to z nas nawet cienie nie zostaną. Wy to może i nie, ale ja to do tego swojego cienia dość przywiązany jestem. Wolałbym go zachować. No i dzieciaka pana Yasy szkoda. Tyle się chłopina naczekał. – Dojrzał, jak szczęki kobiety zwierają się na wspomnienie Pierwotnego i prawie się uśmiechnął. No... to przynajmniej wiadomo za czyją przyczyną Rosa w śnieżycę wyleźć chciała. Sodi mijał grotę Yasy, to i słyszał, że Pierwotny sam nocy nie spędza. Znać i panna musiała się zwiedzieć. Fakt, że to mogło zimnokrwistą wojowniczkę doprowadzić do takiego stanu, sprawił, że Sodi na moment zapomniał języka w gębie. Niby wiedział, że Połączenie mocne, ale że aż tak...

– Co zamierzacie? – przerwała ciszę Zakonna.

– Ano, nie bardzo wiem... Może postoję przed grotą, pogadam do dzieciaka, zanim mu odbije... Jak to mówią, lepiej gównu omijać, niżli buty z niego myć, co nie?

Rosa pokiwała głową, zgadzając się z wygłoszoną mądrością.

– Pójdę z wami – oświadczyła po krótkim zastanowieniu.

– I dobrze! Zawsze co dwa takie wielkie umysły...

Nie dokończył, bo nagle jaskiniami wstrząsnęło, a niski, wizgliwy wrzask zagłuszył wszystko. Sodi zaś zrozumiał, że trza mu będzie jednak owe buty czyścić.

\*

Wizg to unosił się, to opadał, a towarzyszący mu huk nieustannie przybierał na sile. Ściany grot drżały, z pował sypał się piasek. Przez unoszący się w powietrzu kurz, nienaturalnie gęsty i mroczny, przemykały błyskawice i odbijały się od ścian, rozświetlając na moment korytarze. Sodi parł do przodu, z zadziwiającą sprawnością umykając piorunom. To padał na kolana, to podskakiwał, ale żaden z piekielnie szybkich płomyków nawet go nie musnął.

Rosa zagapiła się tylko raz, na samym początku, gdy krasnolud umknął pierwszemu z piorunów. Była tak zaskoczona, że nieco otyły przecież Yudherthardere potrafi tak szybko paść na ziemię, że jej zajęło to o uderzenie serca za długo. Oberwała w ramię i ból prawie pozbawił ją tchu. Rana zapłonęła i zgasła, ale boleć nie przestało.

Zrobili jeszcze kilka kroków i musieli się zatrzymać, bo kurz zmienił się we mgłę tak gęstą, że paraliżowała ruchy.

Wizg nagle ucichł.

– O, kurwa! – sapnął Sodi, uprzedzony przez Tropicieła. Złapał Rosę za rękę i pociągnął w boczny korytarz. Cisza trwała. Jedno, drugie, trzecie uderzenie serca.

A potem świat ogarnęła pożoga.

Ogień szedł korytarzem jak żywa istota. Od ściany do ściany. Złotokrwisty i wszechmocny. Przesuwał się powoli, z niesamowitym hukiem, który zagłuszał nawet wrzask Kaliena.

– Kurwa! – powtórzył Sodi. Tropicieł drapał wściekle tuż pod jego skórą, więc Yudherthardere ledwie nad nim panował. Ogień nadchodził, a ich otaczały wysokie ściany, żadnej możliwości ucieczki. Stali w pułapce. Krasnolud spojrział na wojowniczkę. Dziewczyna cmoknęła cicho, a potem ruszyła ku zbliżającym się płomieniom.

Sodi już miał ją zatrzymać, kiedy kolejne zakłęcie podrażniło Tropicieła. Potężna, pierwotna magia bogów. Yudherthardere krzyknął z bólu i padł na kolana. Tropicieł szarpał i gryzł, uwięziony w ciasnym umyśle, a jego nosiciel zwinięty na marmurowej podłodze nie przestawał krzyczeć.

Rosa wyszła przed ogień. Złożyła dłonie w znak, a potem wyciągnęła je, intonując zakłęcie.

Ogień zadygotał, zatrzymał się... I ruszył dalej, tylko szybciej. Błyskawicznie zbliżył się do Zakonnej. Powtórzyła zakłęcie, ale i tym razem bezskutecznie. Płomienie już

muskały skórę kobiety. Żar dotykał ciała...

– Rosa! – Yasa złapał wojowniczkę w pasie i pociągnął do tyłu. Nie wypuszczając kobiety z ramion, wsparł jej zakłęcie. Splótł ze swoim, wzmocnił, rozszerzył... W końcu uderzył.

Ogień zachybotał i stanął. Nie zgasł, nie cofnął się, a tylko się zatrzymał. Wciąż płonął, niby magiczny, ale smród spalenizny, jak najbardziej realny, zaczynał się unosić wokoło.

– Yasa, spętanie! – krzyknęła Uri, biegnąc korytarzem. Szło jej to opornie, więc zwalniała co rusz.

Mag odwrócił się, spojrział na nią i bez słowa skinął głową. Wciąż trzymał Rosę w żelaznym uścisku.

– Zaczepnę, dobrze? – zapytał bardzo łagodnie, czując, że dziewczyna próbuje się uwolnić. Nie odpowiedziała, ale przestała się szarpać.

Uri w końcu do nich dotarła i położyła dłoń na ramieniu kuzyna. Wypowiedzieli zakłęcie jednocześnie. Potężne, starożytne, wzmocnione Połączeniem, spreparowane przez dwoje najpotężniejszych magów Krainy zakłęcie spętania, wiążące czarodzieja, odcinające go od magii. Niewielu potrafiło go użyć skutecznie, a jeszcze mniej kiedykolwiek próbowało. Czar przemknął przez itruańskie korytarze, precyzyjnie się przez ogień, by ostatecznie złapać Kaliena i związać jego moc.

Wizg ucichł, a ogień zgasł, jakby go nigdy nie było.

Uri cofnęła dłoń. Przez chwilę przyglądała się splecionej w uścisku parze, a potem pokręciła głową, uśmiechając się smutno.

– Pójdę zobaczyć, co z dzieciakiem – oświadczyła cicho. Ledwie zrobiła pierwszy krok, zatrzymała się obok wstającego powoli krasnoluda i dodała: – Chodźcie ze mną, panie Sodi. Spętanie nie jest przyjemne, a że chłopiec was lubi, to i będzie mu lżej.

Sodi przetarł wielki nos, bez zdziwienia zauważając, że na chustce pozostawił krew. Ot, jakoś przywykł, że kiedy które z rodzeństwa z mocą się rozszaleje, to jemu zaś posokę trza ścierać. Nie rzekł ni słowa, tylko skinął głową i poszedł za czarownicą.

Yasa stał, wciąż obejmując Rosę, aż z korytarza dobiegły ich dźwięki biegnących domowników. Wtedy poluzował uścisk, a Zakonna odsunęła się i nie patrząc mu w oczy, bardzo cicho obiecała:

– Jeśli nie zdejmiesz Połączenia, następnym razem któreś z was uszkodzę.

Odeszła, a Yasa stał wśród osmalonych ścian, zastanawiając się, co właściwie miały znaczyć te słowa.

## XII

### Plany

*Słońce pospołu z wiatrem tańczyło w złotych łuskach smoka, sprawiając, że mieniły się przeróżnymi odcieniami, od jasnego i delikatnego, aż po ciemny blask starego złota. Światło odbijało się pod różnymi kątami, rozświetlając całą postać Pyriego, szybującego na tle błękitnego nieba. Pod nimi, daleko, daleko w dole, rozkwitły wielobarwne łąki, a rozległe pasy wielu odcieni traw przyzywały smoka, by zanurkował wśród nich. Tak to sobie Likal wyobrażała. Pyri mógłby razem z nią spaść w trawy, zmienić się w człowieka, a potem...*

*Nie bardzo wiedziała, jak dokładnie wyglądałoby to potem, ale na samą myśl jej policzki nabierały rumieńców. Zacisnęła więc ramiona na smoczym karku, wtuliła buzię w chłód złotych łusek i pozwoliła, by myśli Pyriego musnęły tę granicę jej jaźni, do której dotychczas go nie wpuszczala. W efekcie owego muśnięcia smok zadrżał, a w wyobraźni czarownicy, złączonej z nim myślami, wyrysował się co prawda nieco niewyraźny, ale i tak dość sugestywny obraz. A że w tej samej chwili pod palcami wyczuła przyspieszające tętno Pyriego, zawstydzona odsunęła ręce...*

*I zsunęła się ze smoczego karku wprost w niekończącą się przepaść.*

*Spadała i spadała, słysząc niesiony wiatrem krzyk Pyriego. Właściwie nawet się nie bała. Wiatr szarpał jej sukienkę i smagał długim warkoczem, a Likal frunęła niczym latawiec...*

*Była latawcem. Jasnym, promiennym latawcem, który dawno temu puszczała z panem Yasą w Dolinie Serbithów. Teraz to ona była tamtą tkaniną, trzymaną na sznurku przez Pierwotnego. Wiatr ją unosił, niby wolną, a po prawdzie złączoną ze swoim mentorem nierozzerwalną więzią. I jakoś jej to nie przeszkadzało. Przez jakiś czas, bo potem Pyri krzyknął głośniejszy, przejmująco, a ona zapragnęła się uwolnić. A jednocześnie wcale tego nie chciała...*

*I krzyk ukochanego i więź z tym drugim... Szarpała się i szarpała, sama nie wiedząc tak do końca, czego pragnie. Jasność dnia przykrył mrok, niebo poczerniało. Nie było już zielonych pól ani kwiatnych łąk, tylko gęsta, ponura szarość. Likal zaś nie frunęła wysoko ponad światem, a tonęła, próbując złapać oddech. Maź wciskała się w usta, w nos, w oczy. Dziewczyna poderwała głowę ostatni raz i krzyknęła. Głośno, rozpaczliwie...*

*I obudziła się.*

*Serce waliło jej jak oszalałe. W grocie było jasno, bo pochodnie wciąż płonęły mocnym światłem, ale dziewczynie, nadal będącej na granicy snu i jawy, zdawało się,*

że mrok wpełza ze wszystkich stron. Cofnęła się gwałtownie, aż poczuła za plecami ścianę, ale wtedy wspomniała ciemność z wyobraźni i ponownie przesunęła się na środek łóżka.

Właśnie wtedy zwabiony krzykiem Pyri wpadł do grotty. Zatrzymał się w progu i wpatrzył w Likal.

– Wszystko dobrze? – zapytał niepewnie.

Dziewczyna podciągnęła kolana pod brodę.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze.

– Mogę wejść?

– Już wszedłeś.

Potaknął, a potem powoli zbliżył się do łóżka. Nie usiadł, ale stał, patrząc na młodą czarownicę. Przez chwilę oboje milczeli, aż Likal, wspomniawszy obraz ze snu, zarumieniła się gwałtownie i sięgnęła po prześcieradło, żeby się okryć.

– Miałaś koszmar?

– Aha.

Zawahał się, ale w końcu usiadł i przyciągnął dziewczynę do siebie. Początkowo sztywna i niechętna, ostatecznie odwzajemniła uścisk. Tak mocno i rozpaczliwie, że aż do bólu wbiła palce w plecy mężczyzny.

– Tonęłam – wymamrotała w koszulę Pyriego. Zaorański jedwab tłumił jej słowa, ale żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Ją uszczęśliwiała jego bliskość, smoka ciepło jej oddechu, który pieścił go mimo koszuli, tuż powyżej piersi. – Strasznie się bałam. Wszystko było... maziaste... – Potarła policzkiem o materię, a potem podniosła głowę, żeby popatrzeć w oczy młodzieńca. – Ładnie pachniesz.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Ty też. – Już nie wbijała palców, ale przesuwała nimi łagodnie po napiętych mięśniach na plecach Pyriego, więc ledwie zebrał myśli, żeby to powiedzieć. Wsunął palce w rozczochrane snem włosy dziewczyny, a kciukiem muskał jej policzek. – Pachniesz jak wiatr, Likal. Pachniesz jak... – Utkwił spojrzenie w ustach młodej czarownicy, patrzył długo i w zachwycie, nie potrafiąc się zdecydować. Z jednej strony spragniony tych warg, z drugiej przekonany, że jeszcze nie jest gotowa...

Likal, co prawda, nie potrafiła chwilowo czytać w myślach, ale akurat teraz nie była jej potrzebna ta umiejętność, bo spojrzenie Pyriego mówiło bez słów. Dojrzała w nim żarliwe pożądanie, a nie znając powodów wahania, podjęła decyzję za smoka. Podniosła się i pocałowała młodzieńca. Nie był to może wyrafinowany ani drapieżny pocałunek, ale żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Dziewczyna zarzuciła ramiona na szyję Pyriego i przyłgnęła doń całym ciałem. Pieszczota nabierała intensywności. Dłonie sunęły po ciele...



Zwolnili jednocześnie, mimo że oddechy wciąż jeszcze się rwały, a krew tętniła w skroniach. Gasili pożogę równie powoli, jak ją rozpalili, a kiedy już ostygła, nadal trwali objęci.

– Bogowie, dziewczyno... – westchnął w końcu smok.

Uśmiechnęła się tkliwie, przytulona do jego torsu.

– Myślisz o mnie, Pyri?

– Od tygodni o nikim innym.

Nie przestawała się uśmiechać, szczęśliwa z takiej odpowiedzi. Pod policzkiem przytulonym do piersi młodzieńca czuła ciepło jego skóry i zwalniające bicie serca. Było jej dobrze, tak dobrze, jak nie było od tygodni. Do pełni szczęścia brakowało tylko tego absolutnego poczucia wolności, jakie czuła tylko raz... I znów zapragnęła poczuć. Zaskoczona, że właśnie ta myśl wpadła jej do głowy po tym dziwnym, strasznym śnie, odsunęła się lekko od smoka. Ledwie to jednak zrobiła, poczuła się opuszczona, więc ponownie przyłgnęła do Pyriego. Właściwie dlaczego tak ją to zdumiało? Czyż pan Yasa nie powtarzał, że należy walczyć z własnymi lękami?

Odetchnęła i ponownie spojrzała w oczy Pyriego.

– Duszę się w zamknięciu – oświadczyła cicho. – Zabierzesz mnie pod chmury?

Zamrugął zaskoczony.

– Chcesz polatać? – upewniał się.

– Aha – potaknęła. – Wiem, że śnieżyca...

– Już się uspokoiło, ale jeszcze nie świta.

– Tym lepiej! – Zachwycona uwolniła się z objęć, by sięgnąć po kozuch. – Popatrzmy na wschód słońca! Nie widziałam nigdy wschodu słońca z grzbietu smoka.

– Mrugnęła zawadiacko. Kiedy nie drgnął, stanęła przed nim i patrząc spod opuszczonych rzęs, wyszeptała: – Proszę, Pyri.

Nie potrafiłby jej odmówić, nawet gdyby chciał. A nie chciał.

– Ubierz się ciepło – polecił, a kiedy podskoczyła z radości, też się uśmiechnął.

Poczekał z przemianą, aż wyjdą na zewnątrz. Śnieżyca rzeczywiście już ustąpiła, a nocne niebo usiane było gwiazdami. Połyskiwały niczym niezliczone krople srebra na czarnym aksamicie, srebrzyste kryształy rozsiane wokół pełnej tafli księżyca. Likal zadarła głowę, a poświata oświetliła jej twarz, czyniąc ją eterycznie piękną. Pyri długo patrzył z zachwytem na dziewczynę, by wreszcie, acz bardzo niechętnie, zmienić formę. Zrobił to jak zwykle bezszelestnie, ale i tak zwrócił uwagę młodej czarownicy. Spojrzała na niego i aż westchnęła.

– Aleś ty ładny.

Zachichotał i musnął dziewczynę nosem. Na moment przytulił ogromny łeb do drobnego ciała Likal, by chłonąć delikatny aromat jaśminu w pełnym rozkwicie i aż

zmrużył oczy z przyjemności, kiedy dziewczyna położyła dłoń na jego łbie, a potem wskoczyła mu na grzbiet. Poderwał się, kiedy tylko poczuł obejmujące kark ramiona i poszybował ku migoczącym kropłom światła. Leciał szybko, doskonały złoty smok rozpięty na mrocznym niebie. Coraz wyżej i wyżej, tak jak tego pragnęła młoda czarownica. Czytał jej myśli, słyszał marzenia i tęsknoty. Dotykem palców płynęły pragnienia i obrazy. Tym razem niczego nie mogła ukryć, ale Pyri tylko muskał myśli, przekonany, że nie wolno mu wykorzystywać chwilowej słabości dziewczyny.

Szybowali ponad zaśnieżonymi polami Itru, ponad lasami pokrytymi białymi czapami, tak wysoko, że drzewa zdawały się Likal jedynie plamami w niekończącej się bieli. Okryta kożuchem, wtulona w gorące ciało smoka, nie czuła zimna. Po tygodniach zawieszenia w końcu była wolna. I szczęśliwa. Zamknęła więc oczy, przylgnęła do złotych łusek z absolutnym poczuciem bezpieczeństwa i całym ciałem chłonęła przyjemność. Nie wiedziała, że połączony z nią Pyri czuje tę samą ekstatyczną radość, że mruży oczy i oddycha powoli, głęboko, ledwie poruszając potężnymi skrzydłami, by nie stracić ni chwili z tego błogostanu.

Obserwujący ich z ziemi Yasa też czuł emocje podopiecznej. Ani odległość, ani mrok nie były dla niego przeszkodą. Widział zachwyt w oczach dziewczyny, czuł przyjemność w dotyku jej palców. Bardzo długo stał przed siedliskiem złotych smoków z Itru, podglądając latającą dwójkę. Słońce zaczęło już różowić horyzont, a Pierwotny wciąż patrzył za nimi. W końcu jednak pochylił głowę i zawrócił do grot.

Pyri zaś zawisł ponad drzewami, a wtulona w niego Likal po raz pierwszy obserwowała wschód słońca na Itruńskim niebie... z grzbietu smoka.

\*

Yasa przemierzał senne korytarze, najpierw bez celu, ot tak, żeby uporać się z myślami, aż uznał, że nie zdoła tego zrobić, a wtedy pomyślał, że skoro i tak nie może spać, a obie kobiety, których pragnie, nie chcą jego obecności, może powinien wybrać jedną z tych, które tego pragną. Ostrzeżony przez Rose, tym razem wybrał Deidghe i to do jej groty wybrał się tuż przed świtem. Nie musiał szukać, ostatecznie był tam wielokrotnie, więc i tym razem trafił bezbłędnie. Zamiast jednak smoczycy w łóżu zastał Lunasa. Malec spał na plecach, z rozrzuconymi ramionami i wyrazem absolutnego szczęścia na niesłychanie podobnym do Yasy obliczu. Mężczyzna zatrzymał się w progu i zagapił.

– O tak, jest podobny do ciebie – powiedziała cicho Deidghe, stając obok kochanka.  
– Za wyjątkiem tego uśmiechu. Chyba nigdy nie widziałam go u ciebie.

Popatrzył na nią bez słowa, a potem wrócił spojrzeniem do syna.

– Co teraz będzie, Yaso? – zapytała spokojnie kobieta.

Znów nie odpowiedział, więc stanęła przed nim, zmuszając, by na nią spojrział. Pokręcił głową i w końcu odrzekł:

– Nie zabiorę ci go.

– Och – machnęła dłonią niemal rozbawiona – tego byłam pewna. Nawet Pierwotny nie próbowałby wojny ze smokami. Nie jesteś szalony. Nie o to pytam.

– A o co?

– One cię nie chcą. Ani ta mała, ani Zakonna. Zwłaszcza Zakonna. I nie zaprzeczaj, widzę, jak na nią patrzysz. Kiedyś – skłamała lekko – wiele bym dała, byś tak patrzył na mnie.

– Kiedyś?

Warknęła głucho, więc podniósł dłoń pojednawczo.

– Masz rację, Deidghe. One mnie nie chcą. A ty chcieć nie powinnaś. Nie będę z tobą. Nie kocham cię.

Sapnęła z bólu, a on ponownie pokręcił głową. Podszedł do łoża i usiadł na jego brzegu, przyglądając się synowi. Przez jakiś czas oboje ze smoczyką milczeli.

– Przepraszam. Nie powinienem – powiedział w końcu Yasa. – Lubię cię, Deidghe. Zawsze cię lubiłem... Może przez chwilę, kiedy się dowiedziałem o Ziarnie, nieco mniej. – Uśmiechnął się. – Nie chcę cię zwodzić. Nie jestem dla ciebie odpowiedni, moja droga.

– A dla kogo jesteś? Dla tej małej czarownicy, którą kocha mój brat?

– Nie, dla niej też nie. Tak jak i on. Nie chcę, by się związała z... ze smokiem.

– On nie jest taki jak ojciec.

– Jeszcze nie. Yh też nie był taki od razu.

– Pyri nigdy nie będzie jak on – warknęła. – Ja go wychowywałam. Nigdy nie będzie podobny do ojca.

– Może, a może będzie. Ludzie czy smoki... wszyscy się zmieniamy, Dei. Wszyscy. Likal zasługuje na najlepsze.

– On jest tym, co najlepsze.

– Dlatego mnie okłamałaś? – zapytał chłodno, patrząc w oczy smoczycy. – Nie wywiozłaś artefaktu, prawda? Nie chciałaś, żeby Likal odzyskała moc. Co ci da jeden dzień?

Uśmiechnęła się zimno.

– Widziałeś ich. Właśnie to dał mi jeden dzień. Tę noc. Gdybym wczoraj oddała ci puzderko, już by was tu nie było. Zabrałbyś ją, a ona by poszła. Kocha cię. Pyriego też, ale do wczoraj nie była tego pewna. Teraz już jest. Poczuleś to, patrząc na nich. Dlatego... jesteś smutny – stwierdziła cicho, ze zdziwieniem.

– Poczulem. Jednak, gdybym poprosił, poszłaby ze mną.

– Gdybyś poprosił. Ale tego nie zrobisz.

Westchnął. Lunas, jakby wyczuł emocje ojca, przesunął się w jego kierunku i, wciąż śpiąc, położył rączkę na dłoni Yasy.

– Nie, nie zrobię – potwierdził Pierwotny bardzo cicho, nie odrywając spojrzenia od syna. – Tu jest bezpieczniejsza. Orian nie zdoła pokonać waszych barier. Kiedy zaś Likal odzyska moc, Złodziej Magii będzie chciał ją zdobyć. Za dużo w niej dobra... jest zbyt naiwna, żeby mu się oparła... Dlatego ją zostawię. – Podniósł wzrok na Deidghe, a jego oczy nagle pociemniały. – Jeśli jednak Pyri ją zrani, jeśli ją w jakikolwiek sposób skrzywdzi... Nic nie zdoła go ocalić, rozumiesz?

Potaknęła bez słowa.

– A my? – zapytała po chwili.

– Będę wracał. Chcę patrzeć, jak Lunas rośnie. Chcę, by mnie znał.

– Yaso...

– To wszystko, co mogę ci dać, Dei.

Pokiwała głową.

– A co z tobą? Spróbujesz z Kobieta Tradycji?

Roześmiał się gorzko.

– Tu, moja droga, bogowie byli sprawiedliwi. Ona nie chce mi dać nawet tyle, ile ja tobie. Nie. Nie spróbuję. Muszę znaleźć sposób, żeby zerwać Połączenie, a potem Rosa pójdzie w swoją stronę.

– A ty?

Milczał przez jakiś czas, zastanawiając się, czy powiedzieć jej prawdę. Nie tylko dlatego, że jej nie ufał, bo nie ufał. Wiedział też, że prawda ją zrani. Dlatego w końcu zdecydował, że powinna ją poznać.

– Na Dalekim Morzu – zaczął cicho, z trudem, gdyż wspomnienie nadal było dość bolesne – jest taka mała wyspa. Setki lat temu zbudowałem tam dom. Miałem do niego zabrać żonę i dziecko... ale przez Isinę nigdy mi się nie udało. To dobre miejsce dla Pierwotnych.

– Weźmiesz Uri...?

– Wezmę tam Uri – przyznał bez emocji.

– Jej też nie kochasz.

Yasa odwrócił się, pogłaskał syna, a potem delikatnie wyswobodził rękę spod malutkich paluszków i wstał. Stanął przed kochanką i popatrzył na nią ze smutkiem.

– Rzecz w tym, Dei, że nie muszę jej kochać. Ona i ja... czujemy tak samo. Żadne z nas nie będzie oczekiwało więcej.

Minął ją w drodze do wyjścia.

– Kiedy wszyscy wstaną, przynieś artefakt. Wystarczy już gierek.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie, świadomy, że złamał serce matce swojego dziecka.

\*

Uri też nie mogła zasnąć. Nie próbowała ponownie wysłać ducha do kuzyna. Utrzymanie takiego czaru w jej stanie było bardzo wyczerpujące. I chociaż miłość z Yasą przynosiła chwilową rozkosz, nieporównywalną z niczym, oprócz realnych pokładzin, raz na noc całkiem wystarczał. W przeciwieństwie jednak do przeżywania tego aktu w rzeczywistości, taki sposób nie przynosił owego słodkiego wyczerpania, prowadzącego do głębokiego, przyjemnego snu. Dlatego, a także przez wciąż kołaczący się po głowie Pierwotnej obraz Yasy spletanego z Zakonną, Uri nie mogła zasnąć.

Nie pomagało również wspomnienie chorej z bólu twarzy Kaliena, do cierpienia którego sama się przyczyniła. Może była to kwestia jej stanu, może robiła się miękka, ale chłopiec wzbudził nie tylko wyrzuty sumienia, lecz także zupełnie niezrozumiałą czułość Pierwotnej. Bogowie! Skoro nie mogła pomóc sobie, może chociaż ulży dzieciakowi? Jeśli jest jakaś boska sprawiedliwość, może jeden dobry uczynek wyrówna kilka złych i ona też dostanie to, czego pragnie? A jeśli nie, przynajmniej się zabawi. Pomaganie, jeśli czynić je odpowiednio, może być zabawne, prawda?

Długo rozmyślała, co i jak zrobić. Przemykała myślami przez puste korytarze, czytała śpiących mieszkańców... musnęła nawet myśli Kaliena, acz niepewnie i powierzchownie, bo chłopiec, chociaż spętany, był zbyt potężnym i niestabilnym czarodziejem, by gmerać mu w głowie. Kiedy już była bliska tego, by się poddać, wpadła we wspomnienia krasnoluda. Pomieszane z sennymi marzeniami, częściowo tak wyraziste, że wołałaby nigdy ich nie zobaczyć, pozwoliły Pierwotnej znaleźć rozwiązanie dla własnego kłopotu.

Trzymając się ich, wstała i pobiegła do groty, w której spał Sodi Yudherthardere. Obudziła go niezbyt delikatnie, a krasnolud otworzywszy oczy, pomyślał, że oto wyśnił mu się ten sen, co to nie śmiał o nim nawet marzyć.

Jakże był nieszczęśliwy, gdy Uri wytłumaczyła mu pomyłkę.

\*

W jaskiniach pośród gór trudno się zorientować, kiedy nadchodzi ranek, gdy więc Yasa otworzył oczy, nie mógł być pewien, że nie obudził się w nocy. Równie dobrze mógł przespać cały dzień, bo poprzednie tygodnie nie należały do najłatwiejszych, a wbrew przekonaniu niektórych, Pierwotni też potrzebowali odpoczynku. Przez chwilę leżał, wpatrzony w powalę. Nie, z całą pewnością nie spał długo, bo wciąż był

zmęczony. Bardzo zmęczony. Czy to była ta starość, o której kiedyś wspomniała Rosa? Dawniej jego siły nie miały granic. Był wiecznie młody...

Pokręcił głową i niechętnie wstał. Chyba rzeczywiście się starzeje, bo roztkliwia się nad sobą jak stara baba. Dość tego. Likał go potrzebuje, Rosa też i Uri... nawet ten dzieciak o oczach Likał. Kiedy indziej odpocznie i poużala się nad sobą.

W jadalni zastał podopieczną. Siedziała sama przy długim stole i uśmiechała się z rozmarzeniem. Widywał już taki wyraz oczu u różnych kobiet, widywał też u niej, ale zawsze kiedy skierowane były na niego. Tym razem to nie on był adresatem jej uczuć, a ta świadomość zraniła go bardziej, niż się spodziewał. Zacisnął zęby, po czym postarał się uśmiechnąć.

– Dzień dobry – przywitał ją.

Twarcz dziewczyny najpierw pojaśniała, by zaraz zarumienić się gwałtownie.

– Dzień dobry, panie Yaso. – Wstała, zrobiła krok w jego kierunku, by zaraz się cofnąć. Przyglądała mu się z mieszaniną zawstydzienia i zachwytu. Nie rozmawiali od tygodni, a przez ten czas wszystko się zmieniło i nie wiedziała, co mu powiedzieć. I jak. Czuli się winni, że jest szczęśliwa... nie z jego powodu. Dlatego umknęła wzrokiem, usiadła, wstała i znów usiadła. – Głodniście? Ponoć Kalien w nocy zakłęciami rzucał i musieliście wszystkich ratować? Podkuchenna mówiła, że ogień szedł przez korytarze jak żywy. A huk był przy tym taki, że myśleli, że cała góra pęka. Strach okrutny, nie? I to wszystko mój braciszek, no kto by pomyślał, co nie? Dobrze, żeście byli... No i Uri że była. Dziw nad dziwy, że do Itru przyszła. I że akurat teraz, kiedy i myśmy tu są. No... dziw. – Zamilkła na chwilę, chyba tylko po to, żeby nabrać oddechu, bo całą przemowę wygłosiła jednym tchem. Zanim jednak zdążyła cokolwiek dodać, Yasa podszedł, poderwał ją z ławy i zamknął w ramionach. Trzymał mocno, jakby się bał, że dziewczyna zechce uciec, ale ona nawet nie drgnęła. Złożyła głowę na piersi opiekuna, zacisnęła palce na jego koszuli i trwała w milczeniu. Jakoś poprzednie obawy minęły, niepewność i zawstydzienie również. Słyszała równe bicie serca Yasy, a dźwięk ten ukoił wszelki niepokój. Odetchnęła głęboko, naraz już całkiem spokojna. Podniosła głowę i spojrzała w ciemne oczy Pierwotnego. – Baliście się? Kiedy spałam, baliście się, prawda?

W odpowiedzi skinął głową. Nie puścił jej, a i ona nie próbowała się uwolnić.

– Widziałam. Strasznie mi was żal było, kiedym tak wisiła między światami – wyszeptwała. – Czulałam... wszystko. Jakby nawet tam, gdzie była, wciąż nas coś łączyło. I smutek wasz czulałam i żal... I strach też. To wszystko takie pomieszane, panie Yasa. Wszystko. – Pokręciła głową i zamilkła.

Pierwotny przyglądał się jej z napięciem, bo nagle zapragnął... bogowie, jakie to dziwne... nagle zapragnął, by tak już zostało. Zdało mu się, że jego objęcia to dobre

miejsce dla Likal, że niczego bardziej nie potrzebuje w życiu, niż móc patrzeć na jasne włosy dziewczyny na swojej piersi. Tego właśnie chciał.

Kiedy zaś uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, musiał naprawdę się wyteńczyć, by nie pocałować rozchylonych warg. Zaskoczyło go to tak mocno, że aż sapnął i żeby przykryć zmieszanie, oświadczył:

– Dawno tak się nie bałem, Likal. – Nie wypuścił jej z ramion, a tylko odsunął się odrobinę. – I nie chcę więcej tak się bać. Dlatego zostaniesz w Itru, póki nie... załatwię problemu Oriana. Nie krzyw się. Itruańskie bariery są nie do przebycia. Nawet dla Złodzieja Magii. Będziesz tu bezpieczna. Tylko tego pragnę – zełgał.

– Nie chcę, byście się z nim mierzyli – oświadczyła dziewczyna. – Chyba że odzyskam moc i pójdę z wami.

– Nie pójdziesz.

– To i wy nie pójdziecie! – Podniosła głos, a potem, zezłoszczona, uwolniła się z objęć Yasy. – Nie pójdziecie i już! Nie możecie! Nie! – Kręciła się nerwowo po całym pomieszczeniu, uciekając spojrzeniem przed opiekunem.

– Likal...

– Nie! Nie!

– Likal... – Zatrzymał ją w pół kroku i odwrócił do siebie. Spojrzała na niego zapłakana i naburmuszona. – Nie możesz całe życie uciekać przed Orianem. Ty nie zdołasz go pokonać, a ktoś musi.

– Nie wy.

– Rosa mi pomoże... Damy sobie radę.

– A jeśli nie? – zapytała wystraszona. – Nie mogę was stracić. Nie mogę...

Poczuł jej pragnienie w tej samej chwili, w której się pojawiło. Pociemniałe oczy, rozchylone wargi, przyspieszające tętno... Bogowie! Niczego nie chciał bardziej, ale Uri miała rację. Likal nie była dla niego. Ta jasność, która ją rozświetlała, zgasłaby w jego mroku. Nie wolno mu było do tego dopuścić. Zamiast więc pozwolić jej, by go pocałowała, przytulił dziewczynę niemal po ojcowsku i wyszeptał:

– Nie stracisz mnie. Nigdy mnie nie stracisz.

Rozpłakała się, mocząc mu koszulę na piersi, już bardziej z żalu nad minioną chwilą niż ze strachu, a Yasa trzymał ją i gładził z czułością po plecach.

Tak zastała ich Uri. Zatrzymała się w progu i rzuciła gniewne spojrzenie Yasie. Pierwotny zignorował tak kuzynkę, jak i idącego za nią Pyriego, choć dojrzał gniew mieniący się na obrzeżach szmaragdowych tęczówek smoka, zwiastujący nagłą przemianę. Trudno było go nie zauważyć, kiedy Pyri fuknął tak wściekle, że mimo ludzkiej postaci dym poszedł mu z nozdrzy. Chłopak zrobił gwałtowny ruch w kierunku maga, ale gdy ten podniósł w końcu wzrok, smok zatrzymał się.

Siostra uczyła go, że nie kopie się leżącego, a to było spojrzenie człowieka ze złamanym sercem.

Zapewne dlatego Pyri zagryzł usta, odetchnął głęboko i już całkiem spokojnie powiedział:

– Dzień dobry.

Likal odskoczyła od opiekuna, jakby jego bliskość nagle zaczęła ją parzyć, a potem opuściła głowę i pociągnęła nosem. Yasa podał jej chusteczkę i skinąwszy smokowi, również się przywitał.

– Gdzie twoja siostra? – zapytał spokojnie.

– Zapewne poszła po artefakt. A gdzie Zakonna?

– Nie wiem. – Yasa wzruszył ramionami, ignorując złośliwość młodzieńca. Usiadł przy stole, a Likal odruchowo zajęła miejsce obok niego, co wywołało w Pyrim kolejny atak zazdrości. Dla zachowania pozorów usiadł naprzeciwko i pochylił głowę, wpatrując się z natężeniem w polakierowane deski stołu, jakby dojrzał na nich jakieś niezwykle interesujące znaki. Uri zawahała się, ale ostatecznie zajęła miejsce obok smoka. Położyła dłoń na jego ramieniu i uspokoiła chłopca zaklęciem. Zamrugął zaskoczony, a ona uśmiechnęła się słodko i nieznacznym gestem wskazała Likal. Wychowanka Yasy wbijała w nią wzrok z taką zazdrością, że gdyby miała moc, śliczną twarz Uri zapewne pokryłyby już ogromne, zropiałe krosty.

Tak, to zdecydowanie poprawiło Pyriemu nastrój. Uśmiechnął się szeroko, nim jednak zdołał skomentować zachowanie ukochanej, do zgromadzonych dołączyła Deidghe.

Wpadła w smoczej postaci, złota i potężna jak jej brat. Rozejrzała się wokoło, kłapnęła wielkimi szczękami, a z paszczy poszedł jej dym...

– Dei? – Yasa poderwał się z ławy.

– Jasna cholera! – Gospodyni zmieniła się, ale w kobiecej postaci wyglądała na równie wściekłą. Oczy ciskały gromy, a z nosa wciąż wydobywały się cieniutkie strużki dymu.

– Okradli mnie! Mnie!!!

– Jak to...?

– Zabrali! Z mojej sypialni!!! Z mojej! W moim domu!

Obaj mężczyźni błyskawicznie zrozumieli to, czego nie powiedziała. Przyskoczyli do smoczycy, na jeden moment zapominając o wzajemnej niechęci. Kobieta przenosiła wzrok z jednego na drugiego, aż w końcu utkwiała go w bracie i z westchnieniem wyjawiała to, co już i tak wiedział:

– Nie mam artefaktu. Ktoś zabrał go w nocy.



Sodi trzymał w drżących dłoniach przekłete puzderko i wyklinał swoją głupotę. Noż durniejszy jest niżli ten jego stary kuc, co to go u Oriana w wyczarowanym świecie ostawili. Wystarczy, że go śliczna panna po nocce odwiedziła, a już mu rozum w wiadomo co zlaźł, co nie? Noż zupełnie jak Doru, kiedy mu się amorów z klaczką pana Yasy zachciało. Klaczka i za duża i chęci ni cholery nie miała, co rusz to kąsała albo i z kopyta traktowała, a ten jak ta ćma do ognia, laźł za nią i próby ponawiał. No i z Sodim też podobnie: Pierwotna kazała artefakt zabrać, to polazł po nocy do smoczej gawry. Posrany był ze strachu, kiedy wielgachną smoczyce w gadziej skórze mijał... oj, posrany. No, ale co trza podpieprzył. A potem do smarka się udał, gdzie już Uri czekała, a i całą rzecz wyłuszczyła raz jeszcze. Dzieciak wciąż zakłębem był spętany, to i pewnie tak mu to czarodziejstwo w dupę dało, że długo nie myślał... i na panny pomysły zaraz przystał. A że chyba rozumu nie miał dużo więcej niżli krasnolud, to nawet kiedy Uri czar spętania zdjęła, dzieciak pomsty nie szukał.

I teraz Sodi, dzierżąc artefakt ze Złotego Dębu, postawił stopę na progu Mostu rozpiętego przez Kaliena. Tropiciel wył i drapał, ale nawet gdyby tego nie robił, krasnolud i tak umierałby ze strachu. Chłopiec za nim przestępował z nogi na nogę i, chrząkając, dawał do zrozumienia, żeby wreszcie wszedł do portalu. Czas uciekał, ktoś mógł wreszcie wejść do groty Kaliena i zobaczyć jaskrawe światło magii. W końcu to itruańska ziemia, nieprzywykła do obcej mocy. Trza wreszcie wejść w to świecące cholerstwo.

Szlag, no, całkiem jak to głupie bożątko, co to je u Oriana zostawili...

– Idźcie – burknął zniecierpliwiony Kalien, a później pchnął Yudherthardere do wnętrza portalu. Otoczony czarem Tropiciel zawył, rozrywając skórę krasnoluda.

– Kuuuurwa!!! – wrzasnął Sodi, walcząc z alter ego w jaśniejącej poświacie Mostu. Kalien wskoczył za nim. Odwrócił się jeszcze, zwabiony hałasem wbiegającej do groty Zakonnej. Zobaczył zaskoczenie w jej oczach, ale kiedy skoczyła w ich kierunku, zamknął portal.

Światło magii zgasło, a Rosa stała pośrodku pustej groty i zastanawiała się, jak powie Yasie, że jego mała czarownica nie odzyska mocy.

## XIII

### Dolina Serbithów

Deszcz zacinał, coraz bardziej tłukąc w szyby. Na zewnątrz zrobiło się mroczniej niż wskazywał na to stary zegar pośrodku sali tronowej. Leonerre pamiętała, jaki ojciec był dumny z tego urzędnika. Tykało głośno i nieregularnie, ale w całej Krainie tylko w Dolinie Serbithów i w pałacu Króla Królów można było znaleźć takie cuda. Wykonały go krasnoludy z Zaziem przed pięcioma wiekami, w czasach, kiedy Dolina była największym królestwem Krainy. Przodek Leonerre kazał ozdobić czasomierz masą drogich kamieni i postawić w komnacie, w której przyjmował ważniejsze delegacje. Tak, aby każdy przybyły mógł docenić nie tylko sztuk rzemieślników, ale przede wszystkim majątek króla. I tak zegar stał w tym samym miejscu przez setki lat, na głównej ścianie sali tronowej, na tej samej, na której przez lata wisiał portret Leonerre.

Portret Grema, który pocięła w napadzie wściekłości, dowiedziawszy o jego zdradzie.

Kochała lodowego chłopca, odkąd dostała go na siódme urodziny. Jak wszystkie poprzednie władczynie Doliny Serbithów, tak i ją wybrany Lodowiec miał chronić przed złymi mocami. Chronić i zabawiać. Takie było przeznaczenie Lodowców. Jak w innych królestwach pieski czy inne pocieszne stworzenia, tak tutaj darowywano przyszłej królowej niewolnika. W przeciwieństwie jednak do innych stworzeń, Lodowiec sprawdzał się również jako kochanek. Żeby zaś szlachetnego rodu nie sprofanowało półlodowe dziecię, w dzieciństwie pozbawiano królewską zabawkę płodności. To dlatego Leonerre zawarła umowę z duchem czarownicy. Zakochana chciała urodzić Gremowi dziecko, więc sprowadziła na Dolinę klątwę, co prawie zniszczyło jej kraj. Wszystko to z miłości do cudownego Grema... A on ją zdradził.

Kiedy dowiedziała się o śmierci Grema, umarła wraz z nim. W jednej chwili jej serce rozpadło się w pył. Zasypiała, budziła się, jadła, oddychała, ale tak po prawdzie nie żyła. Sens znikł. Nawet nadzieja na zemstę, na dzień, w którym spojrzy w gasnące oczy Zakonnej, usłyszy jej ostatnie tchnienie... nawet to powoli umierało.

Aż pewnej nocy wyśniła ten okropny sen. Grema, królową... i dziecko. A potem sen powrócił. I wracał wielokrotnie. Noc po nocy. Wystarczyło, że zamknęła oczy, a Grem krzyczał z rozkoszy, trzymając w ramionach inną. Głos powtarzał prawdę o małym królewiczu, a ból narastał... Nie chciała wierzyć. Nie mogła. Przecież Lodowiec nie

mógł mieć dzieci, prawda? Nie mógł... Ale głos szeptał, sny wracały. I w końcu Leonerre uwierzyła.

Znów żyła. Dla nienawiści, dla gniewu, dla zazdrości... Już nie tylko chciała śmierci Zakonnej. Chciała śmierci ich wszystkich.

\*

Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że Zakonna weszła do jadalni. Deidghe wciąż przemierzała nerwowo grootę, ciskając gromy i przeklinając głośno. Kompletnie załamany Pyri opadł ciężko na ławę i przyglądał się siostrze, jakby samo jej bieganie od ściany do ściany mogło cofnąć czas. Likal siedziała naprzeciwko niego, ale zamiast przejmować się brakiem artefaktu, wbijała wściekle zazdrosne spojrzenie w Uri. Pierwotna bowiem jak na gust dziewczyny zbliżyła się do młodego smoka zdecydowanie za bardzo. Nawet Yasa ledwie spojrział na Rosę, a potem ponownie przeniósł wzrok na krążącą niespokojnie Deidghe.

Zakonna usiadła więc za stołem, obok Likal, i sięgnęła po chleb. Milcząc, przeżuwała niespiesznie. Pozornie nie zwracała uwagi na obecnych, ale ukryte pod na wpół opuszczonymi powiekami oczy śledziły każdy ruch, spojrzenie czy oddech zgromadzonych. Bardzo szybko znalazła odpowiedź na jedno z nurtujących ją pytań, ale to bynajmniej jej nie zaskoczyło. Ostatecznie Uri nie starała się tej informacji ukryć. Zdumiewające, że Yasa jeszcze tego nie zauważył...

– I żeby, cholera, kiedy spałam?! – złościła się dalej Deidghe. – Kiedy spałam!!! Kto się mógł poważić? Kto? Do mojej gawry!!! – Rozejrzała się i nagle stanęła. Zmarszczyła brwi i przez jakiś czas przyglądała się każdemu z obecnych. W końcu zapytała wyjątkowo spokojnie: – Gdzie jest dzieciak Oriana? I krasnolud?

Nikt nie odpowiedział, ale wszyscy rozejrzeli się, szukając wymienionych przez smoczykę gości. Likal poblądła, zacisnęła palce na stole i już miała poderwać się i zakrzyknąć w obronie brata, gdy Yasa łagodnie położył dłoń na jej ramieniu, a potem w milczeniu nakazał ciszę.

– Yudherthardere? – zdumiała się smoczyca i usiadła obok brata. – Po nim bym się nie spodziewała...

– Niewielu pamięta, że Sodi, zanim został podnóżkiem serbithowskiej królowej, był jednym z najsprawniejszych szpiegów Rady Krasnoludzkiej – przypomniał chłodno Yasa. – Jeśli zaś zrobił to, o co go podejrzewasz, musiał mieć ku temu powody.

– Powody?! – fuknęła wściekle. – Pewnie dzieciak mu w głowie namieszał. Moc toto ma chyba nawet większą niż ty! Pewnie tylko po to zjawił się w Itru, żeby Orian mógł zdobyć magię zabraną młodej.

– Nieprawda! – Likal poderwała się z ławy, ignorując Yasę. – Mój brat uciekł od... Oriana. Nie wróciłby tam! Nie oddałby mu mojej magii. Nie skrzywdziłby mnie! Nie! Panie Yasa! Niech jej pan powie, panie Yasa – zakończyła, pochlipując już.

Pierwotny rzucił smoczy wściekłe spojrzenie, a potem przygarnął podopieczną. To zaś wywołało głuchoe warknięcie ze strony Pyriego. Chłopak podniósł się. Siostra szarpnęła go za ramię, próbując posadzić z powrotem...

– Och, na litość bogów! – Uri przewróciła oczami i podniosła głos. – Ta tragedia, jak z kiego widowiska, przestaje być zabawna. – Poczekała, aż wszyscy, łącznie z zapłakaną Likal popatrzą na nią i kontynuowała: – Krasnolud ukradł artefakt i razem z młodym zabrał go do Złodzieja Magii. Nie! – Podniosła rękę, kręcąc głową, bo Likal już otwierała usta. – Nie zrobili tego, żeby komukolwiek dokuczyć. Właściwie... właściwie zrobili to dla dobra większości obecnych. – Uśmiechnęła się krzywo i zamilkła. Ot tak, dla lepszego efektu. I w jego oczekiwaniu, podobnie jak Rosa, zaczęła skubać pajdę chleba. W przeciwieństwie do Zakonnej jednak nie udawała, że nie interesuje jej reakcja, przeciwnie, powiodła rozbawionym wzrokiem po wpatrzonych w siebie twarzach.

– Skąd wiesz? – warknęła Deidghe.

– Cóż... – oblizwała palce, z przyjemnością dostrzegając rosnące napięcie Yasy – sama go do ciebie wysłałam.

– CO?!

– To był mój pomysł – sprecyzowała, nie odrywając wzroku od kuzyna. Mag wpatrywał się w nią ze zmarszczonymi brwiami. Czują chłodne macki jego umysłu, próbujące przerwać narzucone przez nią bariery, by odczytać to, czego dać mu odczytać nie zamierzała. Uśmiechnęła się słodko i zapytała: – Pamiętasz, Yaso, Igrille? Na pewno pamiętasz. Matka płacała tobą długi u niej zaciągnięte. Z tego zaś, co pamiętam, lubiła grywać w karty, niestety zwykle bez powodzenia. Och, skarbie, nie marszcz się. Ta twoja śliczna wychowanica z całą pewnością wie, że nie ślubowałeś czystości.

– Uri!

– Wiesz, co lubię w tym twoim krasnoludzie? Jego powiedzonka. Niegłupi z niego knypek. Pozwól więc, że zacytuję: wiem, jak mnie zwać, nie trzeba mi przypominać. – Zaśmiała się perliście. – Igrilla miała wiele darów. Część z urodzenia, część wygrała, oszukując innych Pierwotnych. Cóż, nie każdy miał na podorędziu śliczniutkiego chłopca, by nim płacać zobowiązania... – Uniosła dłoń pojednawczo, bo wzrok Yasy zaczął ciskać gromy. – Tak, rozumiem, do rzeczy. Zapewne nie wiesz na przykład, bo to było długo przed twym przyjściem na świat, że Igrilla była jedyną czarownicą, której udało się rozerwać Połączenie. Mój stryj chciał, by go pragnęła tak mocno, jak on ją...

Ale to już inna historia... Grunt, że zerwała nierozzerwalne zaklęcie. To samo, które tak dręczy twoją Zakonną. Nikt inny nigdy tego nie dokonał.

Rosa przestała udawać, że nie jest zainteresowana przemową czarownicy i skupiła na niej całą uwagę. Uri przestała się uśmiechać, pokiwała głową i przyznała:

– Nie pomogę wam przy Połączeniu. Ani ja, ani nikt z nas. No... może Lunas, kiedy już dorośnie, bo jego splątane smocze i Pierwotne magie zdają się nie mieć granic. Tyle jednak nie chcecie czekać, prawda?

– Chcesz mi powiedzieć – odezwał się chłodno Pierwotny – że wysłałaś chłopca i Yudherthardere z ryzykowną misją do świata Złodzieja Magii... Właściwie po co? Orian wytrzebił z mocy Igrillę sto lat temu. Przecież chyba nie liczysz na to, że teraz podzieli się z synem tym czarem w zamian za artefakt, którego nie potrafi otworzyć?

– Och, nie! Nie sądzę, by w ogóle posiadał tę moc. – Zaśmiała się ponownie. Sięgnęła po puchar z miodem, ale w pół drogi do ust wspomniała, że w jej stanie pić raczej nie należy i odstawiła naczynie.

– Więc po co? I jak udało ci się namówić rozsądnego krasnoluda, żeby ryzykował życie? Magią?

Zmrużyła oczy.

– Nie używam magii na Tropiciele – burknęła gniewnie. – Lubię knypka, jak wspomniałam. Nie jest tak wdzięczny jak jego przodek, ale serce na pewno ma po Stroidarze. Ukradł artefakt dla Kaliena. Kocha tego dzieciaka, zupełnie jak jego siostrę. Nie może patrzeć, jak chłopiec cierpi. No i boi się, że w końcu braciszek twojej podopiecznej zabije kogoś, kogo kocha... albo i sobie zrobi nieodwracalną krzywdę. Dlatego właśnie Yudherthardere zgodził się ukraść artefakt. Z własnej woli byście go nie oddali.

– Wciąż nie rozumiem po co? – drążył Pierwotny.

– Ech, skarbie, wiem, że nie rozumiesz. – Mrugnęła złośliwie. – Czytanie moich myśli nigdy nie było twoją silną stroną, a teraz, dodatkowo, chroni mnie ono. – Położyła dłoń na brzuchu z tkliwością. – Widzisz, dawno, dawno temu, kiedy byłeś jeszcze zbyt młody, by spłacać długi mojej matki, raz jeden przegrawszy z Igrillą, oddała jej moc leczenia magicznego opętania. To powinno pomóc na dolegliwości Kaliena.

– Zapewne – potaknął Yasa – gdyby Igrilla żyła i zechciała się ową mocą podzielić.

Uri uśmiechnęła się słodko, chociaż ciemne oczy połyskiwały chłodno.

– Skarbie, byłeś tak zajęty wszystkimi kobietami w tych jaskiniach, że nie zainteresowałeś się przygodami naszego krasnoluda. A trzeba było, bo widział cuda nie z tej ziemi. Słyszałeś na przykład o zaklęciu butelkującym?

\*

Od chwili, w której Yorhowie przekroczyli granicę Doliny Serbithów, nie przestawało padać. Właściwie nie można było tego nazwać deszczem, była to raczej szalejąca nawałnica. I to niebędąca dziełem natury, bo kiedy wjeżdżali królewskim traktem w las oddzielający dwa sąsiadujące królestwa, w Turghe było słonecznie, a nad lasem rozciągały się niezmierzone połacie czystego błękitnego nieba. Nic nie wskazywało na załamanie pogody.

Yorhowie Zakonnej uchodzili za barbarzyńców. Nosili się jak barbarzyńcy, nie golili, nie czesali... i niemal nikt nie widział, by ze sobą czy z Kobiętą Tradycji rozmawiali. Zapewne dlatego każdy, kto spotykał na swej drodze najsłynniejszą wojowniczkę Krainy wraz z przybocznymi, sądził, że towarzyszą jej dla ochrony, będąc tylko niezbyt rozumnymi narzędziami do walki. I to walki niezbyt finezyjnej, bo przy ich rozmiarach taka nie wydawała się realna. Ot, rębajłowie i tyle. Była to o tyle oczywista, co myląca wizja, bo Yorhowie, podobnie jak Lodowe Dzieci, byli katalizatorami magii. Nie tylko walczyli u boku Rosy, lecz także wzmacniali jej moc. Przede wszystkim jednak stanowili idealnych towarzyszy, którym ufała bezgranicznie i z którymi bez względu na odległość łączyła ją nieustanna więź. Mogła patrzeć ich oczami, a nawet przemawiać ustami. Cały czas byli świadomi jej obecności.

Tak jak i mrocznych czarów, które zapanowały nad Doliną Serbithów. To zaklęcia kształtujące pogodę odpowiadały za wicher, przez którą parły dwa potężne wierzchowce niosące przybocznych Zakonnej. Te same zaklęcia rozrywały niebo seriami błyskawic i strumieniami deszczu. Mroczna moc unosiła włosy na karkach mężczyzn, a przemoczone odzienie kleiło się do ciała, więc spinali wierzchowce, by jak najszybciej dotrzeć pod jakiś dach. Nie bardzo przy tym wierzyli, że ów dach ochroni ich przed nieprzyjemnym odczuwaniem rzucanych zaklęć.

Na horyzoncie zamajaczył ogromny cień serbithowskich fortyfikacji. Pioruny uderzały w dwie wysokie wieże, krzesząc ogień i sypiąc skry. Przez chwilę, krótszą niż uderzenie serca, mury jaśniały, niczym w pożodze, by zaraz ponownie pograżyć się w ciemności, a potem zapłonąć na nowo. Magiczna burza kumulowała moc nad zamkiem, by z wściekłością tłuc w kamienne ściany, płonąć i gasnąć, wciąż od nowa.

Wojowie wstrzymali konie, spojrzeli na siebie, porozumiewając się bez słów, a potem zapukali do umysłu Kobiety Tradycji.

\*

Jak na magiczne miejsce przystało, poranek po nocnej śnieżycy w Itru był już całkiem wiosenny. Słońce świeciło mocno, topiąc grube czapy śniegu pokrywające drzewa.

Biały puch zniknął błyskawicznie, więc i pierwsze płaty zieleni wystawiały żdźbła ku niebu. Rosa patrzyła na nie, wsparta o skały, ale ich nie widziała. W tej chwili spoglądała oczami Yorhów na mury zamku Leonerre i rozmawiała ze swoimi wojami w absolutnej ciszy.

Yasa stał kilka kroków od Zakonnej, świadomy tego, co się z nią dzieje. Gdyby mocno się skupił, dzięki Połączeniu zobaczyłby to, co ona, usłyszał jej myśli... A potem zapewne poczuł jej gniew. Dlatego tego nie zrobił. Nie chodziło o uszanowanie prywatności, a właśnie o gniew. O lodowate spojrzenie, dystans i złość. Stał więc tylko w wejściu do grot, wsparty jak Zakonna o skały i czekał, nie mogąc przestać patrzeć na profil wojowniczkę.

– Ufasz jej? – zapytała nagle Rosa i odwróciła się do Pierwotnego. Nie podeszła, a jedynie odwróciła się tak, by go widzieć. – Ufasz Uri?

– Nie – odparł bez wahania.

– Cholera – zakląła. – Liczyłam na to, że nie kłamie.

– Nie kłamie – potwierdził. – Nie tym razem. Igrilla miała zwyczaj oszukiwać w kartach. Wielu Pierwotnych przegrało swoje dary. Była wyjątkową suką.

– Sypiałeś z nią.

– Sypiałem – przytaknął niechętnie. – Tak jak powiedziała Uri. Splącałem długi Isiny.

Było coś takiego w jego głosie, że spojrzenie Rosy złagodniało. Zapragnęła go objąć. Tak bardzo, że aż pokręciła głową. Irracjonalna chęć nie minęła, więc kobieta na wszelki wypadek wciąż stała kilka kroków od byłego kochanka.

– Straszna ta twoja rodzina, Yaso – oświadczyła w końcu.

– Nie byliśmy wzorem dla Krainy, fakt.

– Ano nie. Sądzisz, że duch Pierwotnej może rozerwać Połączenie?

– Nie wiem. Za życia miała taką moc. Zapomniałem... Nie – poprawił się – nie pomyślałem o tym, bo wiedziałem, że Orian ją zabił. Nie wiem też, czy Uri w to wierzy. Na pewno jednak wierzy, że Igrilla uleczy Kalię. Tego jestem pewien. Uri potrafi kłamać jak nikt inny, ale czasami... czasami... – westchnął – jej oczy mówią prawdę. Wiem, co myślisz, ale Uri bywa... dobra. I nigdy nie skrzywdziłaby dziecka. A w Kalię widzi dziecko. Biedne, umęczone dziecko. Skoro więc wysłała ich do Oriana, uwierzyła w szansę uzdrowienia.

– Likal i Yudherhardere też w to uwierzyli.

– Likal... – zawahał się – jest łatwowierna, ale skoro Sodi poszedł za chłopcem, zaufał Uri. Nie jej magii. Wiem, że sugerowałem coś innego, ale Yudherhardere nie jest głupcem. I ma Tropiciele. Nie zdołałaby go omamić.

– Może więc potrafi też rozerwać Połączenie.

– Jeśli przeżyje, zdobędzie właściwą butelkę i zdoła wrócić. To cholernie dużo jeśli, Roso. Orian... Nie wiesz, jaki jest Złodziej Magii. Nie ma zasad, nie ma uczuć, nie zna granic. Liczy się tylko ze sobą. To naprawdę zły człowiek.

– Coś jak Isina?

Uśmiechnął się ponuro.

– Coś jak Isina – potaknął. – Całkiem możliwe, że nawet gorszy, bo silniejszy. Głównie za sprawą Igrilli. Do dzisiaj zdumiewa mnie fakt, że zdołał ją pokonać. W tamtych czasach była chyba najpotężniejszą z nas.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Zamilkli oboje i przez chwilę przyglądali się sobie, czując to samo, ze zdwojoną mocą Połączenia.

– Yudherthardere wie? – przerwała ciszę Zakonna.

– Uczono go o Złodzieju Magii i był jego gościem, więc raczej tak.

– A mimo to wrócił do orianowskiego świata?

– Uczucia sprawiają, że robimy głupie rzeczy, Roso.

Zacisnęła usta, a on nie kontynuował. Znów przez jakiś czas milczeli. Topniejący śnieg migotał w słońcu, które z chwili na chwilę odsłaniało coraz większe połacie zieleni. W magicznym świecie smoków wiosna nie przychodziła stopniowo, ale gwałtem zastępowała zimę.

– Możemy mu jakoś pomóc? – zapytała Rosa, obserwując maciupenką główkę żółtego kwiatu, który właśnie przebił jeszcze przed chwilą zamrażającą ziemię i już zaczynał rozwijać płatki.

– Orian stworzył świat na wzór Itru – odparł mag, nie odrywając wzroku od profilu kobiety. – Nie wejdziemy bez zaproszenia.

– A on nas raczej nie zaprosi.

Yasa nie odpowiedział, bo właśnie przyszło mu do głowy, że jeśli Orian wraz z mocą Pierwotnych zdobył również ich wiedzę, to może chce zaprosić Rosę. Może tego bardzo chce. Jeśli nawet Zakonna zrozumiała jego obawy, nie skomentowała ich. Westchnęła, a potem podeszła do Pierwotnego.

– Skoro i tak nie możemy nic zrobić i pozostaje nam czekanie, przenieś mnie do Doliny Serbithów – poprosiła cicho. – Zdaje się, że Leonerę niczego nie nauczyła umowa z Isiną i znów dogadała się z jakimś czarodziejem. Czarna magia szaleje nad zamkiem. Yorhowie potrzebują wsparcia. Im przydam się bardziej niż tobie.

Nie odparł, acz zamierzał, że nikomu nie przyda się bardziej niż jemu. Nie musiał. Ona i tak usłyszała, czego nie powiedział.

– Yaso...

– Pójdę z tobą – przerwał jej szybko.

– Powinieneś zostać. Kiedy Yudherthardere wróci...



– Poczeka na nas. Jeśli tam, w Dolinie, pojawił się potężny mag, sama możesz nie dać rady. Ja też przydam się bardziej tam niż tu.

Nie dyskutowała, bo w sumie miał rację.

– A co z...? – Machnęła ręką w kierunku grot.

– Są tu bezpieczni. – Przymknął oczy na chwilę, by wysłać myśli do kuzynki, a potem do Deidghe. – Uri mnie wezwie, jeśli będzie potrzeba, a Dei dopilnuje, by nikt więcej nie opuścił Itru.

Nie spodobało jej się to, ale Yasa już otwierał portal. Most rozjarzył się tuż przed nimi, ogromny i oślepiający. Pierwotny wyciągnął rękę do Rosy, a ona zawahała się, by w końcu zamknąć dłoń na jego palcach i pozwolić się wprowadzić w światło.

\*

Wyszli z portalu w kompletną ciemność. Szalejąca burza właśnie ucichła i zapanował mrok. Yorhowie czekali lekko pochyleni w siodłach, więc ledwie Most zgasł, zeskoczyli z wierzchowców. Nie podeszli jednak do Rosy. Patrzyli przed siebie, w czerń zamku i w jedyne okno, w którym chybotąło samotne światło. Reszta okolicy pogrążona była w nienaturalnej nocy. Nie trzeba było Tropicieła, by wyczuć zakłęcie. Absolutna cisza, nierzeczywista i niemal bolesna, połączona z mrokiem okolicy, nie pozostawiała wątpliwości, że Leonerre znów wezwała czarodzieja do Doliny Serbithów.

Rosa pokręciła głową nad głupotą królowej. Puściła rękę maga, by podejść do swoich wojów. W tej samej chwili mrok rozdarła pierwsza błyskawica. Uderzyła tuż pod kopyta jednego z yorhowskich wierzchowców. Koń szarpnął, wyrwał się panu i oszalały pogalopował przed siebie. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, seria kolejnych błyskawic uderzyła tuż przed nimi. Jeden po drugim, pioruny trafiały w ziemię, coraz bliżej stojących. Drugi z wierzchowców, rżąc głośno, poszedł w ślady pierwszego. Yorhowie skoczyli przed Zakonną, tworząc w ten sposób żywy mur. Cofnęli się, ale gromy szły za nimi, niesłychanie szybko...

– Rosa, osłona! – wrzasnął Yasa, żeby przekrzywić burzę. Rzucił się ku dziewczynie. Złapał ją za rękę i wykrzyczał zakłęcie. Moc Pierwotnego, wsparta przez Zakonną po Przemianach, rozpięła niewidzialną tarczę. Kolejna błyskawica rozerwała ciemność. Przemknęła przez mrok i trzasnęła w magiczną osłonę. Zamiast jednak trafić w czwórkę przybyłych, rozczepiła się na setki nitkowatych błysków. I zgasła.

Kolejne pioruny trafiały w tarczę, jakby rzucane z wściekłością, raz za razem, równie bezskutecznie. Przez jakiś czas Yasa pozwalał na to, by mrużąc oczy, w skupieniu, rozglądać się, kiedy kolejne uderzenia wstrząsały okoliczną murawą. Szukał źródła magii. Niestety nie mając Sodiego, nie był wystarczająco skuteczny.

– Nie widzę źródła – wykrzyczał do Rosy.

Kiwnęła głową. Nie patrząc na wojowników, wydała im bezgłośnie polecenie. Położyli ręce na jej ramionach, wzmacniając magię Zakonnej i Yasy. Pierwotny poczuł przyspieszające bicie serca Kobiety Tradycji, usłyszał niewypowiedziany szept mocy... a potem uśmiechnął się chłodno. Zupełnie jak Rosa.

– Cisza – powiedział spokojnie.

Czar spłynął z palców i musnął otaczającą ich barierę. Miętko, łagodnie, pieszczotliwie, niemal jak miłosne tchnienie. Przepłynął przez niewidzialną tarczę i zwielokrotniony uderzył w zakłęcie kształtujące pogodę. Huk zatrzęsł okolicą. Jasność rozpekła niebo i błyskawicznie, w złoto krwistych płomieniach spaliła zagarniającą go ciemność. Nie minęło kilka uderzeń serca, a mrok pożerający Dolinę Serbithów, zastąpiło ciepłe wiosenne słońce.

– Już? – zapytała Rosa.

– Nie – zaprzeczył. Strzelił palcami, usuwając niewidoczną tarczę. – Ale powinno wystarczyć, żebyśmy dotarli do zamku.

Skinęła głową, jednak zamiast ruszyć, stała i patrzyła na siedzibę Leonerre.

– Rosa, nie mamy za dużo czasu – przypomniał Yasa.

– To było zakłęcie kształtujące pogodę, prawda? – zapytała. – Ale wzmocnione.

– Powiązane z emocjami – przytaknął. – Zakładam, że z emocjami pani Doliny. Najwyraźniej Leonerre nie jest zbyt szczęśliwa.

Spojrzała na niego.

– Ten rodzaj powiązania raczej nie jest dziełem pośledniego czarodzieja?

– Nie, nie jest.

– Cholera. – Odetchnęła głęboko i dodała: – Dobrze, Yaso. Chodźmy.

Nie czekając, pobiegła w kierunku zamku. Przez jedno uderzenie serca Yasa stał i patrzył za nią. Tylko jedno.

\*

W kompletnej ciszy pustego zamku skrzywienie ciężkiej bramy brzmiało jak kolejny grzmot. Zupełnie jakby czar nie został uspioony przez Pierwotnego. Stojąca przy oknie, w odległym skrzydle, Leonerre również go usłyszała. Zwarła usta, zacisnęła pięści i odwróciła się powoli. Nie, nie bała się. Odkąd uwierzyła w zdradę Grema, nie bała się niczego. Ktoś, kto nie ma serca, nie czuje lęku.

Rozejrzała się, na moment zapominając, że wszyscy ją opuścili. W przeciwieństwie do niej, pozostali mieszkańcy zamku czuli strach. Uciekli, kiedy pierwszy raz uderzył piorun, tuż po tym, jak wróciła z wyprawy do Syrelle z młodym Zakonnym. On zresztą też się bał. Czuł w niej mrok, ale był zbyt młody, zbyt słaby i zbyt... uległy, by

stanąć przeciwko niej. Przed miesiącami, kiedy poprosiła Zakon o przedstawiciela, złościła się, otrzymawszy ledwie błogosławionego chłopca. Kiedy jednak zawarła przymierze z mocą... Tak, wtedy rozumiała, że bogowie albo demony zrobili to dla niej. Młodzieniec był zdecydowanie łatwiejszy do zmanipulowania... gdyby musiała go zmanipulować. Oczywiście nie musiała. Wyczuł lodowego bękarta, kiedy tylko go dotknął.

Wtedy, dopiero wtedy, serce Lonerre pękło. Wtedy zawarła przymierze. Wtedy poczuła moc gniewu. Wtedy.

Oczywiście wiedziała, upominając się o dziecko, że jeśli sny są prawdziwe, skazuje go na śmierć. Jego i jego matkę – sukę. I niech zdychają! Wszyscy niech zdychają! Królowa, bękart, Zakonna... Chciałaby stać tam i patrzeć, ale musiała wrócić. Przymierze wymagało, by wróciła.

Razem z nią wróciła furia. I pioruny. Służba zamkowa czmychnęła w przerażeniu. Wszyscy uciekli, zostawiając ją z mocą i wściekłością. Samą ze swoim bólem. I błyskawicami.

Brama zaskrzypiała rozdzierająco, a Leonerre zacisnęła pięści. Nadchodziła Zakonna z tym swoim magicznym kochankiem. Jakoś ocalała przed gniewem Zakonu i Króla Królów. Przed gniewem królowej Doliny Serbithów nic jej nie ocali.

\*

Szli opuszczonymi korytarzami, a w ciszy słyhać było tylko odgłosy ich kroków. Przez rozwarte drzwi komnat i spore okna w holu do środka wpadało jasne popołudniowe słońce. W jego świetle nieścierany od tygodni kurz tańczył przy każdym ruchu gości. Zatęchły zapach niewietrzonych od dawna pomieszczeń drażnił nozdrza, a nienaturalna cisza unosiła włosy. Zamek wydawał się wymarły.

Rosa spojrzała na Yasę, a on na nią. Oboje czuli zło sączące się ścianami. Idący za nimi Yorhowie najwyraźniej również, bo chociaż pozornie spokojni, nerwowo omiatali wzrokiem wszystkie zakamarki. Wyjęli z pochew potężne miecze i trzymali je w gotowości. Krok za krokiem...

Śmiertelnie ostry ogień, cieniutki i oślepiający, chybił o włos. Trafił w ścianę, tuż obok Rosy. Kolejny już nadlatywał... W ostatniej chwili Zakonna odskoczyła i błyskawica znów ją minęła. Następny śmignął, osmalając jej włosy, a kilka kosmyków spadło na marmurową podłogę.

– Uważaj! – krzyknął Yasa, kiedy jeden za drugim płomienie leciały ku Rosie. Rzucił się do niej, pchnął ją na ziemię i przykrył sobą.

– Giń, suko!!! – Leonerre szła korytarzem, a z wyciągniętych dłoni, z oczu, z ust, z całego szczupłego, niewysokiego ciała wyrwały się błyskawice. Trafiły obu Yorhów,

spychając ich ze schodów. Cięty powietrze i wbijały się w ściany, podłogi, a w końcu w Yasę osłaniającego Zakonną. Syknął głośno z bólu. Wymienili z Rosą spojrzenia.

– Na trzy – szepnął.

– Raz, dwa... – zaczęła.

Na trzy poderwali się oboje. Yasa zasłonił Zakonną, a ta wyrwała zza pleców oba srebrne ostrza.

– Uspokój się, Leonerre! – krzyknął mag.

Nie posłuchała. Uderzyła ponownie. Skumulowany płomień trafił Yasę z niesamowitą siłą i odrzucił go od wojowniczkę. Rosa zobaczyła, jak Pierwotny pada na ścianę z czerniejącą plamą na piersi... jak zamyka oczy i nieprzytomny osuwa się na podłogę.

A potem ogarnęła ją wściekłość. I zaatakowała.

Błyskawice mknęły, ale odrzucała je magicznymi ostrzami. Jedną, drugą, trzecią... Miecze furgotały z oszałamiającą prędkością. Srebro połyskiwało w burzowym świetle, a Rosa biegła. Szybka. Szybsza niż wiatr... Cięła tylko raz. Precyzyjnie i śmiertelnie. Trysnęła krew. Oczy Leonerre rozszerzyło zdumienie. Przez dwa, może trzy uderzenia serca stała, patrząc gasnącym spojrzeniem w twarz przeciwniczki. W końcu padła na kolana, a kiedy jej głowa dotknęła podłogi, już nie żyła.

– Yaso! – Zakonna podbiegła do maga. Uklękła. Wyciągnęła dłoń i zawahała się. Serce biło jej jak szalone. Nie, nie po walce. Nie ze złości... Ze strachu. Z tak okrutnego strachu, że brakowało jej tchu. – Yaso! Nie waż się! Nie wolno ci! Yaso! – Sięgnęła po jego rękę, czując, że jej własna drży. – Yaso!

Powieki maga zadrżały i uniosły się.

– Wiem – wyszeptał – należę do ciebie, co?

– Cholera, Yaso! – Szarpnęła go, mocniej niż zamierzała. – Nie strasz mnie tak!

Uśmiechnął się ponuro. Kaszlnął, krzywiąc się przy tym boleśnie, a później podniósł z trudem na łokciu i zerknął za Rosę.

– Yudherthardere będzie ci wdzięczny – zauważył, widząc martwą Leonerre. – Acz teraz to już nam chyba niczego nie powie. – Przeniósł wzrok ponownie na Zakonną i zmarszczył brwi. – Roso?

Kłęcząca, z napięciem przesuwając wzrokiem po jego ciele. Wciąż trzymała rękę na jego ramieniu, ale już nie zaciskała palców. Gdzieś na schodach Yorhowie gramolili się hałaśliwie, Rosa jednak nawet nie zerknęła w tamtym kierunku.

– Roso? – powtórzył łagodnie Yasa, czytając jej myśli.

– Cholera – sapnęła kobieta.

Pocałowała go rozpaczliwie, z całego strachu, który wciąż rozgrzewał jej żyły. Zacisnęła dłoń na poczerńiałej jedwabnej koszuli i wpiła się w rozchylone wargi

Pierwotnego. Mocno, brutalnie, zachłannie. Ogień pożądania pochłonął ich w jednej chwili. Nie myślała, nie chciała myśleć... Czuła. Jego pożądanie, własne pożądanie. Wszystko się mieszało. Świat przestał istnieć, pozostał tylko smak i dotyk. Rozbierali się nieporadnie, ledwie oddychając i rwąc odzienie, by jak najszybciej dostać się do nagiej skóry...

Gdyby Yasa nie zaklął Połączenia...

Gdyby Rosa nie wystraszyła się, że straciła Pierwotnego...

Gdyby Yorhowie nie oddalili się, by nie patrzeć na miłość tych dwojga...

Ktoś zapewne zauważyłby nadchodzący mrok, nim ten pochłonął kochanków.

## XIV

### Artefakt

Sodi nie bał się tak bardzo od... no, niech on więcej Kyty cacuszek do łapy nie weźmie... a fakt, że może się zdarzyć, że już nie weźmie... chyba nigdy nie bał się aż tak, jak w chwili, w której ponownie spojrział w czyste, błękitne oczy Złodzieja Magii. Znaczący taki był wystrachany, że nie miał nawet odwagi popuścić, kiedy za magicznym Mostem zobaczył Oriana.

– Panie Yudherthardere – spojrzenie mężczyzny pozostało chłodne – jaka zdumiewająca niespodzianka.

Kalien bez wahania stanął między ojcem i krasnoludem.

– Mój – oświadczył całkiem spokojnie.

– Mówiłem ci...

– Jest mój. Nie tkniesz go – podkreślił z ostrzegawczą nutą w głosie. Wypowiadał słowa tak wyraźnie, że Orian zmarszczył brwi i przyjrzał się synowi. Coś się w nim zmieniło. Nie emanował już niepokojem czy wściekłą furią, nad którą ledwie panował. Stał przed ojcem z uniesioną głową, pewny siebie i... o tak, świadomy tego, jak bardzo jest niebezpieczny. Wcześniej był jak dziesiątki iskier zamkniętych w kuli z cienkiej błony, gotowych w każdej chwili wyrwać się na wolność, by pogrążyć świat w pożodze. Wydawał się wtedy Orielowi groźny, bo Złodziej Magii musiał użyć ogromnej mocy, by okiełznać potęgę syna. Teraz Kalien panował nad nią sam. Nie było już cienkiej błony, a solidna skrzynia, do której tylko on miał klucz. I teraz był stokroć bardziej niebezpieczny.

Jako ojciec Orian był dumny. Jednocześnie zastanawiał się, jak do cholery młody zdołał się aż tak zmienić w tak krótkim czasie?

Chłopiec przyglądał mu się z uporem i z jakimś takim skupieniem, o jakie Orian nigdy by go nie podejrzewał... Gdzieś, w zakamarkach pamięci, kojarzyło mu się takie spojrzenie. Znał je... dawno temu.

– Kalien... – spróbował.

– Jest mój.

– Dobrze już, synu, dobrze. Zatrzymaj sobie krasnoluda – westchnął niechętnie. – Acz kucyk byłby rozsądniejszą zabawką. Mniej kłapie ozorem i nie sięga po to, co nie jego. – Zmrużył oczy, wbijając wzrok w Yudherthardere. – Wiedz tylko, że jakby

kucyk drugi raz na moją rzecz się połasił, dłużej bym się zastanawiał nad zrobieniem mu krzywdy... Ostatecznie to tylko głupie niebożątko... w przeciwieństwie do obecnych.

Sodi pobladł nieco, ale trzymał się dzielnie. Zrobił tylko jeden krok do tyłu, a zerknąwszy za siebie z bólem stwierdził, że Most już nie płonie. Ot, smutek. Nie żeby rzeczka, co to za jego plecami tak śliczniutko szemrała, oczu nie cieszyła, ale coś miał pewność, że jakby w nią wlaźł, w Itru nie wylezie. Oj nie.

– Weźcie, panie Orian, nie straszcie – burknął, udając odważniejszego, niż był w rzeczywistości. No, ale skoro i tak spieprzyć nie było gdzie, co innego mu pozostało? Rozejrzał się za jakim siedziskiem, bo udawanie odwagi lepiej by mu wychodziło, jakby tak se klapnąć mógł, coby nikt nie zobaczył, że mu kolana dygocą. No, ale za nim rzeka, a przed ino Złodziej Magii, kawał trawy, a potem zamek. Nigdzie choćby zydelka. Cholera. Pokręcił głową i kontynuował: – Człek się za wami stęsknił okrutnie, a i dary wam niesie... No, mamusia was nie uczyła, że jak gość w dom, to i bogowie, te lepsze, miłośniejsze, progi nawiedzają?

Orian zmarszczył brwi, kiedy Sodi wspomniał o darach. Popatrzył na syna, a potem ponownie na krasnoluda, ale nic nie powiedział.

– Znaczy nie uczyła, co nie? – mówił dalej Sodi, uspokajając się z chwili na chwilę. Najwyraźniej odziedziczone po nieznanych syrenich przodkach struny głosowe i na niego działały kojąco. – A dyć, mnie też nie matula, a dziadulo takie nauki dawał. Znakomity z niego był bakałarz. Aż dziw, że na życie nie mądrością, a szpiegowaniem dla Rady Krasnoludzkiej zarabiał. Do dzisiaj w Radzie Idara de Gra Yudherthardere wspominają z największą atencją. Może i nie dziw, bo i w tej profesji mądrości potrzeba, co nie? No i jakby zamiast szpiegowaniem nauk wykładaniem na życie zarobić próbował, pewnie by tyle do opowiedzenia wnukom nie miał. Że o tych wszystkich pannach, co mu łożnicę wygrzewały, mowy by być nie mogło. Ot, bakałarzom to królewny ino się roić mogą, co nie? – Uśmiechnął się krzywo, już całkiem uspokojony. – To jak będzie, panie Orian? Zaprosicie na jakie pieczyste? Bo jakieśmy ze smoczej krainy spieprzali, czasu nie było, coby co przekąsić. Patrzcie ino na tego chudzińkę. Ledwie toto na nogach stoi... Nie, smarku? – Trzepnął chłopca lekko w ramię. – A rzeknij no tatulkowi, żeś głodny. Przecie widać, że tak. Trza cię, lichoto jedna, podtuczyć, cobyś ciała nabrał. Przecie takiej drobiny to żadna panna do łoża nie zechce. Jakbyś się do rzeczy zabrał, to przy tych kościach ino w skórę obciągniętych, pokaleczyłbyś pannę w miłowaniu... no jak nic. – Uśmiechnął się szeroko, zachwycony sam sobą. – To idziem jeść, nie?

Zapadła cisza, bo Orianowi jakoś niespieszno było odpowiadać. Przyglądał się krasnoludowi, marszcząc brwi. Od dłuższego czasu próbował wejść w krasnoludzki

umysł, ale wciąż bezskutecznie. Nie znając zaś zamysłów Sodiego, nie bardzo wiedział, czego ma oczekiwać. A to wyjątkowo go drażniło. I trochę przerażało, bo skoro jego moc nie potrafiła pokonać barier narzuconych przez, jak sądził, Kaliena, chłopak był potężniejszy niż Orian wcześniej podejrzewał.

– Panie Orian? – zaniepokoił się Sodi.

– Co to za dary? – zapytał w końcu mężczyzna.

\*

Likal nie mogła usiedzieć w miejscu. Chodziła od ściany do ściany, zatrzymywała się i ruszała od nowa. I znów, i znów. Bała się. To nie tak, że nie bała się tak nigdy wcześniej. Dawno, dawno temu, zanim Yasa i Sodi wzięli ją pod swoje skrzydła, bywało, że bała się dużo bardziej. No, ale wtedy bała się o siebie, a teraz była przerażona z powodu innych. Nie potrafiła rozsądnie myśleć, kiedy pan Sodi i Kalien... kiedy pan Yasa... Świadomość, że oni tam, gdzieś daleko, a ona tutaj i nie może nijak im pomóc, rozrywała duszę Likal. W końcu, zmęczona straszliwymi wizjami, postanowiła wyjść.

Wybiegła na dwór, a potem, ledwie jej stopy dotknęły traw, soczyście zielonych, mimo że poprzedniego dnia okrywał je śnieg, stanęła nagle. Ciepło wiosennego słońca musnęło uniesioną twarz dziewczyny. Zamknęła oczy i pozwalała mu rozgrzewać wychłodzone zimnym powietrzem grot policzki. Światło i temperatura nie złagodziły niepokoju, nie przyniosły ukojenia. Mimo to stała z zamkniętymi oczyma i uniesioną głową. Czekała. Sama nie wiedziała na co. Czy na powrót tych, o których się bała, czy na ciszę w sercu, czy na...

– Likal?

Czy na Pyriego?

Patrzył na nią, kiedy uniosła powieki. Poważny i trochę smutny. Na chwilę pożałowała, że nie potrafi wejrzeć mu w umysł. Wtedy wszystko byłoby łatwiejsze.

– Nic im nie będzie – zapewnił smok. Cóż, on nie miał teraz problemu z czytaniem jej myśli. – Nie, nie czytam cię – zaprzeczył, chociaż Likal wciąż milczała. – Nie muszę, żeby wiedzieć, o czym myślisz.

Pokiwała głową trochę bez przekonania. Przez jakiś czas stali w milczeniu, obok siebie, każde świadome obecności drugiego, aż wreszcie chłopak westchnął ponuro. Z wahaniem położył rękę na ramieniu młodej czarownicy i cicho zaproponował:

– Mogę polecieć za Yasą. Znajdę go...

– Nie – oświadczyła gwałtownie, zaciskając palce na jego ramieniu. – Nie chcę, żebyś też... Nie!

– Likal...



Pokręciła głową.

– Zostań ze mną, Pyri. Zabierz mnie w to piękne miejsce, tam daleko, nad jezioro, w trawy – wyszeptała błagalnie. – W nocy wydawało się takie rozległe. Chcę zobaczyć je za dnia.

Zmarszczył brwi, ale gdy próbował perswadować, dziewczyna przyłgnęła do niego, objęła mocno, rozpaczliwie, jakby to mogło go powstrzymać od ruszenia za jej opiekunem. Nie potrafił z nią walczyć, gdy była tak blisko.

– Dobrze. – Zamknął ją w objęciach i pocałował czubek jasnowłosej głowy. – Ale musisz mnie puścić. Tak nie polecimy.

– Nie chcę – wymruczała z twarzą wtuloną w koszulę. – Dobrze mi tutaj. – Poruszyła palcami, czując pod nimi zwierające się mięśnie smoka. Uśmiechnęła się nieznacznie, a potem podniosła głowę. Szmaragdowe oczy Pyriego pociemniały, serce przyspieszyło. – Tak sobie myślę, Pyri... – szepnęła, pieszczotliwie przesuwając palcami po jego plecach. – Tak sobie myślę...

Nie zdołała dokończyć, bo mężczyzna zamknął jej usta pocałunkiem.

Słońce topiło śnieg wokoło, a oni stali, spleceni niczym jedno ciało, zamknięci w pieszczocie. Oddechy się rwały, serca tłukły w piersiach...

– Już, Pyri – wyszeptała nagle dziewczyna i odsunęła się od ukochanego.

Pozbawiony jej bliskości, nagle opuszczony Pyri jęknął. Zamrugał, a potem sięgnął ponownie po Likal.

– Już – powtórzyła, odsuwając się szybko.

Krew wciąż tętniła mu w skroniach, a serce zdawało się rozsadzać pierś. Pożądanie płonęło, gdy zmieniał formę. Tańczyło pod skórą gorące i gwałtowne, by – kiedy młoda czarownica wskoczyła na smoczy kark i otoczyła go ramionami, wtulając w złote łuski rozpalone policzki – nabrać słodkich, tkliwych nut.

Wzbili się ku bezchmurnemu niebu. Złoty smok rozprostował ogromne skrzydła i poruszył nimi powoli, majestatycznie. Słyszał bicie serca wtulonej w niego dziewczyny. Czuł zachwyty, spływający przez jej skórę, przez złote łuski, prosto do jego myśli. Oddech Likal pieścił jego kark, przyspieszał tętno... Pyri zmrużył oczy i odetchnął głęboko.

A potem, całkiem bez zastanowienia, pomyślał:

– *Kocham cię, Likal.*

\*

Puzderko było niewielkie i nie różniło się niczym od tysięcy sprzedawanych na miejskich targowiskach Krainy. Z pociemniałego drewna, z wyrżniętymi wokół wieczka runami w starożytnym elfim języku, które współcześnie niewielu potrafiłoby

odczytać, i z dużym ciemnoczerwonym kamieniem zdobiącym wierzch. Kamień wydawał się martwy, bo nawet kiedy Orian uniósł artefakt ku niebu, chcąc zobaczyć, jak promienie słońca przemykają przez pociemniałą czerwień, rubin pozostał matowy. Zupełnie jakby coś pozbawiło go życia. A przecież Orian pamiętał, jak jarzył się światłem, kiedy Ferion go dotykał. Dziesiątki odcieni purpury tańczyło wtedy wokół kamienia. Teraz zaś pozostawał mroczny, jak duża kropla zaschniętej krwi. Martwy bez klucza, bez możliwości zaczerpnięcia z niego mocy. Złodziej Magii trzymał go w dłoniach i nie czuł nic. A przecież wewnątrz drzemała spętana magia Likal, najpotężniejsza siła, z jaką zrodził się człowiek. Widział, jak artefakt ją połknął. Stał wtedy na drugim końcu Mostu, patrzył i nic nie mógł zrobić. Teraz zaś trzymał skrzyneczkę w dłoniach i jak uprzednio, był bezsilny. Mimo mocy, którą zabrał pięciu najpotężniejszym Pierwotnym, mimo syna, którego potęga może nawet przewyższała jego... Nie potrafił otworzyć artefaktu.

– Na co mi ta skrzyneczka? – zapytał więc poiryutowany. – Klucz przepadł.

Sodi wzruszył ramionami, a potem wyciągnął rękę.

– Nie chcecie, to dajcie z powrotem.

Orian zmrużył oczy, wbił je w krasnoluda, by znów upewnić się, że nie zdoła go odczytać. Coś było w spojrzeniu tego mężczyzny, w jego głosie, w sposobie, w jaki sięgnął po artefakt... Cholera!

– To jak będzie? – burknął ponagłajaco Sodi. – Bo jakem mówił, głodniemy ze smarkiem, więc jak puzderka nie chcecie, a i jeść dać nie chcecie, to będziem się zbierać, nie smarku?

Kalien nawet nie drgnął, obserwując z napięciem obu mężczyzn.

Orian nie oddał artefaktu. Trzymał go mocno w jednej ręce, ale drugą zrobił niewielki ruch i na polanie przed zamkiem pojawił się suto zastawiony stół. Sodi zawahał się na moment, ale najwyraźniej rzeczywiście był głodny, bo zaraz klapnął ciężko i złapał pieczyste w łapę. Wgryzł się w mięso, a potem uśmiechnął błogo.

– No, panie Orian – wysapał pomiędzy kęsami – nie wiem, komuście tym razem zacny posiłek podpieprzyli, ale, no niech ja więcej pannie żadnej nie dogodzę... Dobrze! Siadaj, smarku, i jedz! Lepszego pieczystego to byś nawet na stole Króla Królów nie posmakował. No, dalej! Trza cię trochę podtuczyć, boś marniejszy niż ta nasza gówniara, jakeśmy ją pierwszy raz spotkali.

Chłopiec zawahał się, ale po chwili posłusznie usiadł obok krasnoluda. Sodi podał mu spory kawał mięsa, a kiedy dzieciak nie zareagował, trzepnął go w ramię, zmuszając tym samym, by rozpoczął posiłek. A potem czekał, aż kawałek trafił do ust brata Likal. Dopiero wtedy kiwnął głową zadowolony i uśmiechnął się, a przynajmniej

tak mu się wydawało. Orian wzdrygnął się, widząc grymas gościa. Zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu, nie wypuszczając artefaktu z rąk.

– Powiedzcie mi, panie Yudherthardere... – zaczął pozornie obojętnie. – Jak wam się udało poprzednio artefakt otworzyć?

Sodi przełknął głośno i sięgnął po następny kawałek.

– No, dyć kluczem – odrzekł spokojnie. – Ale klucza już ni ma. Się wziął i wtopił w artefakt.

– Wiem – niemal warknął Orian. – Widziałem. Pytam o to, skąd wzięliście klucz.

– Aaaa, o to... – sapnął krasnolud, wciskając kolejny kawałek pieczystego do ust. – Znaczy, wiecie, jak mnie wasz synek uśpił, a wasza córuchna ze snów wyszarpała, to zem się z kluczem w kabzie obudził. Jak nic czary jakoweś, czy coś. Dyć nie wiem. Grunt, że klucz był. No, ale już ni ma. – Westchnął boleśnie. – Jakeście widzieli, wzięło go i zassało. I już go ni ma. Jak i mocy gówniary. No, ale wyście wielki czarownik, to i może jakoś się wam wieczko puzderka uchylić uda? – Wytarł dłonie w chustę i spojrzał na Złodzieja. – Tak se dumaliśmy ze smarkiem, żeście ojciec przecie, to i gówniarę miłujecie. Nie ukrzywdzilibyście dziewczuchy, co nie? Jak puzderko otworzycie, nie będziecie sami z mocy brali, a Likal oddacie. Takeśmy dumali, nie, smarku?

Chłopiec zawahał się, a potem pokiwał głową, nie patrząc na żadnego z mężczyzn. Orian tymczasem nie odrywał wzroku od Sodiego. Długo, bardzo długo patrzył, szukając oznak kłamstwa w krasnoludzkiej twarzy, a nie znalazłszy, przeniósł wzrok na artefakt. Gładził powoli ścianki pudełeczka. Pamiętał każdy jego szczegół, każdą rysę i zagłębienie. Dzięki temu kawałkowi magicznego dębu był tym, kim był. Chociaż więc nie widział go od stulecia, nie pomyliłby z niczym innym.

– Moc Likal należy do Likal – powiedział cicho. – Nie zabierałem magii tym, którzy na nią zasłużyli, a moja córka zasłużyła z całą pewnością. Gdybym wiedział sto lat temu, co się stanie, nie oddałbym artefaktu Ferionowi. Wtedy jednak byłem przekonany, że to... co mam, już mi wystarczy i że pudełko może wrócić do elfów. Bez klucza było przecież bezużyteczne. A klucz został ze mną. – Wcisnął przedmiot do przytroczonej w pasie sakiewki i nie patrząc na syna, dodał: – A potem spłonął z Laien. Dlatego, chociaż nie wiem, jak udało się wam to otworzyć, z całą pewnością spróbuję się tego dowiedzieć – zakończył zimną obietnicą.

I, jak to miał w zwyczaju, zniknął.

\*

Woda muskała brzeg łagodnymi, niespiesznymi falami. Wiatr ucichł, więc i powierzchnia jeziora pozostawała prawie gładka. Marszczyły ją rzadkie podmuchy,

sprawiając, że promienie popołudniowego słońca skrzyły się prawie jak drogocenne kamienie. Przy brzegach nie pozostało nawet wspomnienie zimy. Pośród soczyście zielonych źdźbeł trawy gęsto kwitły wielobarwne kwiaty, a ptaki śpiewały w koronach drzew.

Likal leżała wtulona w Pyriego i przyglądała się zachwycona okolicy. Świat pachniał cudem, jak nigdy wcześniej. Cokolwiek miało się wydarzyć, jedno zdanie smoka zmieniło wszystko. Zdjęło z serca troski i smutki. Och, pamiętała, że Yasa, Kalien i Sodi... ale teraz jakoś była pewna, że wszystko będzie dobrze.

Głośny świergot wyrwał ją z zamyślenia. Ptak zakrzyczał, najwyraźniej czując obecność smoka, więc dziewczyna uśmiechnęła się nieco i wtuliła policzek w pierś Pyriego. Serce młodzieńca biło równomiernie, a skóra była ciepła i niespodziewanie miękka. Zupełnie jak jedwab...

– Zostaniesz ze mną, Likal? – Pyri objął dziewczynę i przesunął ją na siebie, pieścił dłoń jej plecy, powolnymi długimi muśnięciami, bardziej tkliwymi niż zmysłowymi. – Kiedy już odzyskasz moc? Zostaniesz?

Nie odpowiedziała, ale podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Likal? – zapytał ponownie, bardzo cicho.

– Zostanę – odpowiedziała. – Gdzie miałabym pójść? Pan Yasa... pewnie zaopiekuje się Uri. On bardzo chciał dzieci. Nie mogę iść z nimi. Z panem Sodim... On chyba woli Kaliena, bo może go zagadać. Nie ma konkurencji. – Uśmiechnęła się nieszczercze.

– Więc zostaniesz ze mną, bo nie masz dokąd pójść – smutno stwierdził Pyri.

Dziewczyna przez kilka uderzeń serca patrzyła mu w oczy, by w końcu go pocałować. Mocno, zachęcająco. Błyskawicznie oddał pocałunek, a potem szybko zamienił ich miejscami. Pocałunek się przedłużał, podniecenie wzrastało. Serce Likal biło jak szalone, palce szukały nagiej skóry młodzieńca. Czuła napięte węzły mięśni, ściągające się pod wpływem pieśczoły, mocne twarde ciało napierające w miejscach, w których nikt jej nigdy nie dotykał... Był taki duży i piękny. Prawdziwy smok.

– Pyri – wyszeptała. – Pyri!

Odsunął się zaniepokojony.

– Zrobiłem ci krzywdę?

Przygryzła wargę. Szmaragdowe oczy mężczyzny pociemniały, a usta rozchyliło pożądanie. Nigdy wcześniej nie wydawał się tak doskonały.

– Likal?

– Nie zrobiłeś mi krzywdy – powiedziała, kładąc dłoń na jego policzku. – Nie zostanę z tobą, Pyri, bo nie mam dokąd pójść. Zostanę, bo chcę. – Kiedy twarz Pyriego

pojaśniała, Likal ponownie do niego przyłgnęła i wyszeptała mu do ucha: – Jestem już gotowa, wiesz?

Minęły ze dwa uderzenia serca, nim zrozumiał...

\*

Noc przyszła niespodziewanie. Zamiast długiego popołudnia, a potem powolnego zmierzchu, słońce zgasło nagle i zapadł zmrok. Tym razem Sodi nie spał w osobnej komnacie, ale usiadł w kącie kalienowskiej izby i czekał. Łatwo nie było, bo spacerujący nerwowym krokiem chłopiec nie pozwalał poukładać myśli. No i szarpiący strach też tego nie ułatwiał. Udawanie odważnego to nie to samo, co bycie takim. Oj nie. Znaczący krew dziadula wciąż niby krążyła w żyłach Sodiego, to i wstyd by był, żeby na ten przykład wnuk jego w kącie zasiadł i posmarkał się z przerażenia, co nie? A i myśl, że tatulek Idara między Pierwotnymi w zaświatach zasiada, też ciuteńkę pomagała. No, ale to, co zaplanowali ze smarkiem i Pierwotną, lodowatą obręczą ścisłało Yudhertharderskie serducho. No, przecie i o siebie się bał, i o smarka... a i o gówniarę. Jak się im co stanie, to artefakt, co to w niego Pierwotna wzmocnienie zakłęta, zostanie u Oriana i Likal już nigdy mocy nie odzyska.

I jeszcze przy tym nawet pogadać nie mógł, bo przecie Złodziej Magii mógł słuchać. A takie siedzenie na dupie z zamkniętą gębą przewracało krasnoludzkimi flakami. Tylko wzdychać można było, głośno i rozpaczliwie, co chwilami zmieniało rytm marszu chłopca, ale tylko na moment. Ani razu go nie zatrzymało. Dzieciak stawiał długie, szybkie kroki. Kilka w jedną, kilka w drugą stronę, od ściany do ściany. Sodi śledził jego ruchy w ciszy, która męczyła go na równi z dręczącym go strachem.

Kalien zatrzymał się nagle i popatrzył na Sodiego. Krasnolud pokręcił łepetyną i podniósł się powoli.

– Już? – zapytał cicho.

– Już – potaknął chłopiec.

Pierwszy z komnaty wyszedł Kalien, Yudherthardere zaraz za nim. Nie dlatego, że się bał, chociaż bał się jak rzadko, ale to chłopiec utrzymywał aktywne zakłęcie. Pomimo osłony Tropicielec drapał skórę krasnoluda, drażniony czarem usypiającym. Nie wrywał się, bo Kalien potrafił jednocześnie usypiać swojego ojca i panować nad alter ego krasnoluda. Moc dzieciaka wciąż zdumiewała Sodiego. Nawet teraz. No i dumanie nad potęgą brata gówniary odrywało od wizji Oriana rozszarpującego biednego krasnoluda na strzępy.

Komnata, w której Sodi zawierał znajomość z Uterem, była otwarta i oczywiście pusta. Yudherthardere odetchnął z ulgą, bo jakoś cały czas był pewien, że kiedy tylko przekroczą jej próg, zobaczą Złodzieja Magii albo jakiegoś straszliwego demona, który

zeżre jakąś bardzo dla krasnoluda istotną część jego ciała. Tymczasem Orian nie zaklął komnaty.

Krasnolud rzucił się do kredensu, złapał drzwiczki... I zawył rozpaczliwie. Odskoczył, rozcierając rękę. Ból zmałał, acz wciąż trwał.

– Kurwa – burknął, kiedy chłopiec przyskoczył do niego. – Nie macaj witrynki. Zdaje się, że twój tatulek zadbał, cobyśmy jednakowoż butelek nie zabrali. Zaklątkiem jakowymś obwarował. Boli jak jasna cholera... Dyc mówię, nie macaj! – wrzasnął, bo chłopiec mimo ostrzeżeń sięgnął do drzwiczek kredensu. Chciał go odciągnąć, ale Kalien umknął szybko i dotknął kredensu. Pod szczupłymi palcami drewno rozjarzyło białe intensywne światło, by po krótkiej chwili nabrać ciepłych barw. Blask rozlewał się, łącząc witrynę z młodym czarodziejem. Światło falowało, to intensywniejac na drewnie, to na skórze chłopca. W końcu zamarło na drzwiczkach, rozbłysło i zasyczało, by z cichym trzaskiem otworzyć kredens.

Yudherthardere przez chwilę w kompletnej ciszy podziwiał dzieło podopiecznego.

– Kuuuurwa – westchnął nabożnie, bo jakoś nic mądrzejszego do głowy mu nie przyszło, a później błyskawicznie sięgnął po butelki. Pięć baryłkowatych, brązowych naczyń, niczym nie różniących się od setek innych, jakie widział w życiu, poustawianych na najwyższej półce. Bez etykiet czy chociażby znaczka na korku. Sodi wepchnął je bezceremonialnie do sakwy, którą wcześniej przygotował, a potem popatrzył na chłopca.

– No, smarku, najłatwiejsze za nami. To tak, jakbyśmy pędzili na złamanie karku do najzacniejszego lupanaru i najpiękniejszej dziewczki, co to może sama klientów wybierać. Już żeśmy zdążyli przed zamknięciem bram miasta. Już pukamy do drzwi owego przecudnego miejsca... Teraz nam ino zostaje pannę przekonać, żeśmy są godni jej wdzięków zaznać.

Chłopiec, acz niegłupi, patrzył na nauczyciela, kompletnie nie rozumiejąc, o co też mu może chodzić. Yudherthadere westchnął ciężko i przetłumaczył:

– Idziem do twojego tatulka po artefakt. Chociaż, powiem ci, smarku, całkiem mnie to nie w smak. Ino Likal, cholera, szkoda, no – zakończył cicho.

– Będzie dobrze – pocieszył go chłopiec. – Uri...

– Znaczy wiem, że Pierwotna tchnęła w artefakt wzmocnienie i w ogóle. I że jakby nie puzderko, byśmy tatulka nie uśpili, więc trza go było zabrać... No, ale jak se teraz dumam, że trza doń pójść i puzderko mu może i spod poduchy wyszarpać, to mnie nogi miękną i tyle. Nic to. Jak mus, to mus. Idziem.

Dotarli do sypialni Oriana w milczeniu. Kalien wciąż utrzymywał czar uśpienia, wzmocniony artefaktem zaklętym przez Uri, więc Tropiciel nadal jedynie warczał. Im bliżej zaś było komnaty, tym chłopiec bardziej skupiał się na zaklęciu, a mniej na

utrzymywaniu w ryzach Tropicielea. Spadło to na barki krasnoluda, więc Sodi dotarł na miejsce z zaciętym wyrazem twarzy, wystraszony i zły.

Chłopiec pchnął drzwi, a Yudherthardere wstrzymał oddech. Nic się nie stało. Weszli więc cichutko w półmrok komnaty. Płomyk kaganka przy łóżku Oriana drgnął leciutko, a cienie na twarzy śpiącego wydłużyły się, wyostrając jego rysy. Sodi zatrzymał się gwałtownie, bo wydało mu się naraz, że powieki mężczyzny drgnęły. Stał i wbijał wzrok w leżącego, bojąc się choćby drgnąć czy odezwać, żeby ostrzec Kaliena.

Chłopiec w tym czasie albo nie był świadomy niepokoju krasnoluda, albo go zignorował, bo podszedł do ojca. Na małej szafce, tuż przy łożu, leżała skrzyneczka, po którą przyszli. Zanim jednak Kalien po nią sięgnął, przez chwilę przyglądał się śpiącemu. Nie dlatego że, tak jak Sodi, bał się go. Orian, przerażający dla tak wielu, jemu wydawał się nieszkodliwy. Może nie był dobry, czuły czy opiekuńczy, chociaż rzeczywiście tygodniami starał się pomóc synowi. Coś ich jednak łączyło. I to coś kazało chłopcu zatrzymać się przy łóżku Oriana i patrzeć na niego. W pewien sposób było to przecież pożegnanie, prawda? Starał się więc zapamiętać rysy twarzy, kształt oczu i ust...

W końcu odetchnął, przygryzł usta i sięgnął po artefakt. Przemknął po nim palcami, przez chwilę ważył w dłoniach, a później odwrócił się i ruszył do wyjścia. Kiedy mijał krasnoluda, klepnął go w ramię, bo Sodi wciąż stał jak zaczarowany.

– *Chodźcie* – wszedł w myśli opiekuna, żeby nie obudzić ojca, a kiedy Yudherthardere nie zareagował od razu, chłopiec wcisnął mu w dłoń artefakt i pociągnął lekko. Krasnolud pokiwał głową, odwrócił się...

– Tak szybko mnie opuszczacie? – Cichy, dziwnie miękki głos Oriana zatrzymał obu w pół kroku. Do drzwi było niedaleko, ale w tej sytuacji to niczego nie zmieniało. – I to bez pożegnania?

Spojrzeli na niego. Stał przy łóżku z obojętnym wyrazem twarzy, pozornie spokojny, ale w jego oczach połyskiwał taki mrok, że Sodi odruchowo pociągnął Kaliena za siebie.

– Znaczą budzić nie chcielim, nie? – burknął, udając, że ręce nie trzęsą mu się jak w gorączce. – Ale już nie śpicie... To żegnajcie. Zasedzielim się, trza wracać. Kalien...

– Nie sądzę. Za długo żeście przebywali w towarzystwie Pierwotnego. Każdemu z nich wydaje się, że jest najsprytniejszy – wyszeptał Orian i błyskawicznie sformułował zaklęcie.

Tropiciel zawył rozpaczliwie. Sodi krzyknął. Kula mocy pędziła ku niemu. Oślepiająca, biała i gorąca. Nie potrafił się ruszyć. Nie mógł nawet drgnąć. Spętany bólem i zaklęciem czekał na śmierć. Ogień prawie smażył mu twarz, gdy...

Kalien pchnął krasnoluda.

– Nie!!! – krzyknął Orian.

Kula trzasnęła chłopca. Ból na moment pozbawił go tchu. Nim jednak nadeszła ciemność, zdążył wyszeptać „Likal”... i otworzyć Most.

\*

Szept brata wyrwał Likal z drzemki. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Ciepło skóry kochanka grzało mimo chłodu nadchodzącego wieczoru. Słońce chowało się za horyzontem, odbijając się czerwienią i złotem w nieruchomej tafli jeziora. Gdzieś daleko zaśpiewał ptak, ukryty wśród gałęzi drzew otaczających łąkę. Cisza, spokój... I przerażenie. Zacisnęła pięści. Obejmujący dziewczynę Pyri obudził się, kiedy tylko drgnęła i przyciągnął do siebie w obronnym geście.

– Co się dzieje? – zapytał łagodnie.

– Nie wiem – wyszeptała.

W tym samym momencie tuż przed nimi rozjarzył się Most. Pyri poderwał się, zasłaniając Likal, gotów jej bronić za wszelką cenę. Kiedy jednak z jasności wyskoczył Sodi, ciągnąc nieprzytomnego chłopca, skoczył im na pomoc.

– Kalien! – wrzasnęła dziewczyna i również przyskoczyła do brata. W drodze spojrzała na wciąż jarzący się portal. Po drugiej stronie Orian wbijał przerażone spojrzenie w syna. Niemal czuła ból ojca, jego namacalną rozpacz. Nie mógł przekroczyć progów Itru, więc tylko patrzył, dopóki, ledwie chwilę później, portal nie zgasł.

– Kalien... – Likal uklękła przy chłopcu, gładząc z czułością jego policzki. – Kalien, nie opuszczaj mnie. Kalien...

Rzęsy młodego czarodzieja zadrżały, a potem uniosły się z trudem.

– Artefakt, Likal... – wycharczał. Przeniósł wzrok za siostrę, potem na krasnoluda i uśmiechnął się z trudem. – Daj jej...

Sodi smarknął głośno. Wciąż trzymał skrzyneczkę w dłoniach, a wcale o tym nie pamiętał. Taka straszna żalność go ogarnęła. Taka straszna, że zdało mu się naraz, że tchu mu braknie i padnie tu, obok dzieciaka.

– Daj – powtórzył cichuteńko Kalien, więc Sodi posłusznie wyciągnął rękę z puzderkiem do wychowawcy. Chłopiec uśmiechnął się raz jeszcze, a później zamknął oczy.

Przez jedno uderzenie serca Likal klęczała przy bracie, trzymając w dłoniach magiczne puzderko, i nie czuła nic. Absolutnie nic.

A potem nadszedł gniew. I ból.

Oba uczucia tak straszne i splątane, że nie mogła ich rozdzielić, czy odróżnić. Krzyknęła. Rozpaczliwie i przejmująco. Wizg unosił się i opadał, aż brakło jej tchu.



Zacisnęła palce na dębowej skrzyneczce. Nie czuła, kiedy runy werżnęły się w skórę. Nie widziała, gdy rubin pod tą skórą rozbłysnął oślepiającym światłem. Nie widziała i nie czuła nic. Tylko gniew. I ból.

– O kuuuurwa – wyszeptał Sodi.

Zawiasy w artefakcie skrzypnęły cicho. Rubin świecił niczym słońce. Moc Likal wyrwała się z magicznego przedmiotu, a ten rozpadł się na drobne kawałki i rozsypał u stóp dziewczyny. Magia zaś otoczyła swoją panią. Poderwała ją ku niebu. Rozkrzyżowała ramiona dziewczyny, a potem wbiła się w nią. W ciało, w usta, w oczy. W każdą cząstkę opuszczonej czarownicy. Jaskrawe światło rozbłysło i zgasło.

Likal zawisła kilka kroków nad ziemią. Wiatr rozwiewał jej włosy i osuszał łzy, kiedy dziewczyna już własną magią opuściła się na trawę, tuż obok brata.

– Kalien? – Położyła ręce na piersi brata i wyszeptała zaklęcie. Stare, pierwotne zaklęcie Yasy zatańczyło, skrząc się w powietrzu, by zaraz wbić się w ziemię tuż przy nieprzytomnym Kalienie, a potem wyskoczyć z niej po drugiej stronie chłopca, opasać jego i dotykające go dłonie siostry, i ponownie wbić w podłoże. Zupełnie jakby magiczna nić obszywała leżącego, wiążąc go tak z młodą czarownicą, jak i z itruańską ziemią. Raz za razem, aż otoczył ich połyskliwy kokon. Dziewczyna odetchnęła powoli i poleciała: – Nie umarłeś. Jeszcze nie, braciszku. Wracaj!

Czar szarpnął Kalieniem raz i drugi, ale Likal nie puściła. Przywołała w myślach Pyriego, a kiedy smok położył ręce na jej ramionach, wzmacniając, ponownie wypowiedziała zaklęcie. Już głośniejszym, nakazującym. Światło przemknęło z jej palców, by przez odzienie i skórę chłopca dotrzeć do jego wnętrza, znaleźć umykającą moc i ją uchwycić. Przez niesłychanie długą chwilę świeżo odzyskana magia Likal splatała się z gasnącymi czarami jej brata. W końcu światło rozdarło skórę, rozbłysło gejzerem blasku, a potem ponownie wbiło się w ciało Kaliena, wprost do serca, które przed chwilą stanęło. I zmusiło je do pracy.

## XV

### Smoczątko

Chociaż Yasa był pewien, że otworzył oczy, wciąż otaczała go czerń. Absolutna i wszechobecna. Razem z ciszą sprawiała, że nie był pewien, czy to jeszcze rzeczywistość, czy może tylko śnił, zamknięty w jakimś straszliwym koszmarze. Uderzenie serca wcześniej dotykał skóry Rosy, jedwabiu rozpiętego na twardych węzłach mięśni. Tak jak pamiętał, chłód i ciepło jednocześnie. Miętkość i skała zarazem. Pragnął jej już tak długo, że wspomnienia i marzenia zlały się w jedno. Czy więc rzeczywiście była tak doskonała, czy tylko ją sobie taką wyśnił? Właśnie miał się tego dowiedzieć... Głośny i szybki oddech upragnionej kobiety pieścił mu twarz, a potem szyję...

I wtedy zapadł mrok. I cisza.

Jakby ktoś nagle odciął jego jaźń od wszystkich zmysłów. Jedno cięcie i wszystko wokoło znikło. Smak Rosy, jej zapach, ciepło skóry, twardość i miękkość... wszystko. Nie stracił świadomości, cały czas wiedział, że znalazł się w pustce. Po chwilowej dezorientacji próbował użyć magii, by wyjść z mroku. Bezskutecznie. Ta część jego myśli i wspomnień, która odpowiadała za czary, odmówiła naraz współpracy. Jakby to, co pogrążyło go w pustce, odcięło również moc.

A Pierwotnego moc nie zawodziła nigdy.

– Rosa? – próbował przywołać Kobietę Tradycji. Ostatecznie trwali w Połączeniu, powinien ją czuć, móc usłyszeć. Nie usłyszał. Nie usłyszał nawet własnego pytania. Wiedział, że otworzył usta, a z nich powinien wydobyć się dźwięk...

Cisza. Kompletna, straszliwa i wszechobecna.

– Rosa! – tym razem krzyknął, ale wciąż bez powodzenia.

Nie będzie się bał. Nie będzie...

Spróbował wstać, jednak wtedy właśnie zrozumiał, że nie tylko nie słyszy i nie widzi... Nie czuł. Realny świat, ciężar ciała, chłód czy żar, wszystko znikło wraz z nadejściem pustki. Panika z wolna wsuwała się w pogrążony w ciemności umysł maga. Był już bardzo blisko, by się jej poddać, gdy gdzieś z zakamarków wspomnień wyłonił się najpierw rozmyty, niewyraźny, ale w niezwykle sposób znajomy obraz. Z każdym uderzeniem serca obraz nabierał ostrości, by w końcu stać się wyraźnym wspomnieniem.

– Och, maleńki, miałam nadzieję, że dłużej ci to zajmie. – Ciemność zachichotała. – Liczyłam na jakieś gwałtowne przerażenie, słyszalne tylko dla mnie krzyki przerażenia, może nawet jęki... No i rozpaczliwe próby wyjścia z zaklęcia. Takie, wiesz, nieskoordynowane machanie rękami, drapanie, kopanie...

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, Igrillo.

– Nieprawda, maleńki, wcale nie jest ci przykro. No ale i ja nie jestem rozczarowana. To milutkie, że wciąż mnie pamiętasz. Ile to już lat od ostatniego razu? Dwieście, trzysta?

– Za mało.

– Ranisz mnie, słodkości. A byłam prawie pewna, że twoja pani nauczyła cię, jak należy traktować kobiety, z którymi się sypia. Kiedyś byłeś miłszy.

– Kiedyś nie zamykałaś mnie w Pustce.

– Fakt. Kiedyś wolałam cię w cielesnej formie. No, ale wtedy i ja byłam... ekhm... cielesniejsza. Od jakiegoś czasu niestety to się zmieniło. – Westchnienie na moment rozjaśniło ciemność, poszarzając kontury nieistniejącej sylwetki Pierwotnej. I chociaż Yasa wiedział, że to, co wydaje mu się, że widzi, jest tak naprawdę imaginacją, niechętnie wspominał jedną czy dwie noce sprzed wieków. Wspomnienie było tak przyjemne, że błyskawicznie zrozumiał, iż to nie jego reminiscencja, a coś, co Igrilla wepchnęła w jego myśli.

– Złoszczę cię? – zapytała ciemność z nadzieją.

– Nudzisz – oświadczył, bardzo starając się zabrzmieć przekonująco. – Może przejdziemy do sedna? Mam ciekawsze rzeczy do robienia...

– Chędożenie z tą wytrzebioną z uczuć abominacją nazywasz ciekawszym? – Nie widział tego, ale nagle poczuł silne, prawie brutalne emocje ducha Pierwotnej. Wściekłość falowała mimo mroku, wyczuwalna i gorąca. – To coś... pomyłka bogów... Jak możesz tego pragnąć?

– Mogę.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Kiedy Isina oszalała na twoim punkcie, mówiłam jej, że to ją zgubi, ale ona tylko wzruszała ramionami. Wiesz, dlaczego spłacała tobą swoje długi? Chciała, żebym zrozumiała jej opętanie. – Głos czarownicy zmiękł, kiedy wspomniała krewną. – Była taka... słodko naiwna. Ta jej... miłość – fuknęła z lekkim obrzydzeniem – wreszcie ją zniszczyła, a ja nigdy jej nie rozumiałam. Nie pojmowałam fascynacji tobą, Yaso. Dla mnie jesteś taki sam jak inni.

– A mówisz mi to...?

– Och, maleńki, bo wiesz... – Znów zachichotała. – Potrzebuję tej twojej abominacji. Gdybyś nie zaklął Połączenia, nie mogłabym nawet marzyć, że zdołam nad nią

zapanować. Byłaby odporna na moje czary. Nie ma mocy nad Zakonną po Przemianach... Pamiętasz, jak starszyzna to powtarzała? Nie ma mocy... – Mrok zafalował, na moment stając się złocistymi oczami rozjarzonymi wesołością. – No, chyba, że jakiś Pierwotny zwiąże ją z sobą. Ileż ja się musiałam napracować, żeby do tego doszło. Ileż napracować. Ilu stworzeniom wyszeptać tajemnice. Ile końców związać ze sobą. Ale ostatecznie mam tam, gdzie chciałam, i ciebie, i Zakonną.

– Co z nią zrobiłaś? – Głos Yasy stwardniał gwałtownie.

– Och, na razie, niestety, nic. Jest oporna. Nie znosi Pustki tak dobrze jak ty, ale na ból nie reaguje. Nieważne, jak głęboko wgryza się w jej umysł.

– Igrillo – ostrzegł mag – może i jesteś martwa, ale znajdę sposób, żeby cię skrzywdzić.

– Szczerze wątpię, maleńki. Nikt nie opuścił Pustki bez mojej zgody. To moja wrodzona moc. Została ze mną, mimo... – zawiesiła na moment głos, jakby nie potrafiła powiedzieć słowa śmierć. – Odcina od zmysłów, mnie pozostawiając władzę nad nimi. Ale nie martw się, Yaso, pozwolę ci poczuć tę... ją. A raczej jej pozwolę poczuć ciebie. Twój ból. Zobaczymy, jak bardzo będzie odporna na twoje cierpienie, skoro własne jej nie wzrusza.

– Dlaczego?

– Och, z wielu różnych powodów, maleńki. Po pierwsze, bo mam teraz mało rozrywek, a kiedy będziesz wył z bólu... To będzie przednia zabawa. Poza tym potrzebuję mocnego ciała i klucza do artefaktu. Jedno i drugie dałaby mi ta twoja Zakonna, ale nie chce. Walczy, a nawet w Połączeniu jest za silna, żeby nad nią zapanować.

– Po co ci klucz i ciało?

– Moje zżarły robaki, czyżbyś nie pamiętał? – Ciemność cmoknęła gniewnie. – A kości leżą pod stosem kamieni, tysiące wiosek stąd. Żadna strata. Było brzydkie... W tych ostatnich latach było już koszmarnie szpetne. Nie wiesz, bo i skąd, zamknęłaś się w tej swojej samotni... Uter obłożył mnie klątwą i zaczęłam się starzeć. Nic nie mogłam poradzić. Żaden powstrzymywacz nie działał. Zdechłabym wreszcie, stara, szpetna i niechciana... Dogadałam się więc z tym jego chłoptasiem. Pomogłam z butelkowaniem... – Na kilka chwil zapadła cisza, a potem Igrilla kontynuowała, chłodnym, wypranym z emocji głosem: – Pokazałam mu, jak wyssać moc i jak ją przejąć. W zamian za to miał znaleźć młodą, silną i piękną kobietę, obdarzoną, by ciało zdołało utrzymać moją moc. Wsunęłabym się w tamto ciało, jak kiedyś ty we mnie. – Zachichotała z porównania. – Dwadzieścia, może trzydzieści lat, a potem poszukałabym innego. Nie byłoby to idealne, ale lepsze niż pomarszczona i obwisła skóra... Wszystko zaplanowałam, skurwiel był jednak sprytniejszy. Znalazł kobietę... i

zapraǳnął jej. Ożenił się, zrobił dzieci. Och, przyjąłabym nawet i taką powłokę. W sumie przynajmniej po dwudziestu latach nie musiałabym szukać, bo weszłabym w młodziutką, ładniutką córcię Oriana. – Parsknęła, gdyż Yasa mimo Pustki i bezcielesności szarpnął się gwałtownie. Tak mocno, że na chwilę, krótszą niż mgnienie, Pustka zachybotała, a on dojrzał ściany otaczającego go korytarza w serbithowskim zamku. Zaraz jednak mrok ponownie wszystko pochłoniął. – Jeszcze cię nie dotknęłam, maleńki, a już zabołało, prawda? Wyobraź sobie, co czułam ja. Oszukana przez... człowieka! Wyssana z mocy, zawieszona między światami. – Uderzyła błyskawicznie. Mocny, brutalny cios pozbawił Yasę tchu i rozświetlił pustkę oślepiającym blaskiem. – Och, maleńki, ależ byłam wściekła! Taka wściekła, że zmarnowałam tę okazję. – Kolejne uderzenie i dziesiątki drobnych, a piekielnie ostrych ząbków wbiło się w skórę maga. Wielogłowy niewidzialny stwór wgryzł się w mięśnie, a potem szarpnął... – Tak, wiem, to było głupie, ale bez artefaktu, bez klucza, nie mogłam przejść ciała, a skoro Orian mnie zdradził, zasłużył na karę. Nie męcz się, maleńki. Zbieraj siły, bo zaraz naprawdę zabołi – poleciła niemal z czułością. – Ale, oczywiście, dobrze się domyślasz: tak, to dzięki mnie dzieciaki Złodzieja Magii są sierotami. Upiekłam jego kobietę. Wyszeptałam wieśniakom, co mają zrobić. A później stałam w płomieniach i czekałam, aż się dokona. Zupełnie jak teraz – zakończyła szeptem.

A potem sprawiła, że naprawdę zabołało...

\*

Pięć takich samych brunatnych butelek stało na dużym drewnianym stole. Słońce igrało na powierzchni szkła, a potem gasło, próbując przez nie przeniknąć. Zupełnie, jakby coś we wnętrzu naczyń pochłaniało światło.

Zgromadzeni na polanie przed wejściem do grot wpatrywali się w milczeniu w to niesamowite zjawisko. Nawet Sodi, zwykle nie potrafiący utrzymać języka na wodzy, tym razem zwarł wargi i nie powiedział ni słowa. Zerkał ino ukradkiem to na Kaliena, to na jego siostrę. Wiele przecież w nie tak znowu krótkim życiu widział, a i przy panu Yasie nie były to rzeczy zwyczajne, ale powrotowi z martwych to jeszcze nie świadcował. No i Likal! Jak ona tym puzderkiem porządziła! Całkiem bez niczyjej pomocy se go otwarła. I dzieciakiem potrząsnęła. Oż, niech Sodiemu oczy i bielmem zajdą, coby i Kyty, co to do niej tak tęskni, że i o żadnej innej dziewczce myśleć mu się nie chce... no, co to by i Kyty więcej zobaczyć nie zdołał, cuda! Noż, cholera, cuda, jak nic.

Patrzył więc Yudherthardere to na stół przed smocze groty wyciągnięty, bo się Kalien strachał w góry wchodzić, to na butelki, to na wychowanicę, to na jej brata... i jakoś

mu się tak zrobiło... no jakoś tak... Eeeech, nijak wypowiedzieć nie potrafił.

– Potraficie je rozróżnić? – przerwała w końcu ciszę Uri. Oderwała wzrok od brązowego szkła i spojrzała na krasnoluda. – Mówiliście, że w jednej jest duch Utera. Potraficie wskazać w której?

– No – potaknął niechętnie wyrwany z rozmyślań Sodi. – Jak do ręki weźmiecie, to się o tu, na korku, takie fikuśne godełko jawi. Na każdej inne. Trza się ino dobrze przyjrzeć. A wam to po co?

Uri podeszła do stołu, a potem brała do rąk butelkę po butelce i przyglądała się korkom. Przy czwartej skrzywiła się z obrzydzeniem. Przez dłuższy czas ważyła w dłoni naczynie, zaciskając na nim palce, aż pobielaty. Nawet nie czytając w myślach Pierwotnej, wszyscy obecni wiedzieli, że ledwie panuje nad chęcią rzucenia butelką o skały. Najwyraźniej jej uczucia względem czarodzieja, którego ducha uwięziono w naczyniu, nie należały do najcieplejszych.

– Ale wiecie, że jak pierdolniecie flaszeczką, to ino ducha uwolnicie? Wiecie, co nie? – upewniał się Yudherthardere, minimalnie zaniepokojony wściekłą nienawiścią płonąca w wzroku kuzynki Yasy.

– A myślicie, że co mnie od tego powstrzymuje? – warknęła. – Skurwiel byłby wolny. Nie zrobię mu tak dobrze. Próbuję sobie przypomnieć, jak wysłać ducha w niebyt... – Spojrzała na spłoszonego krasnoluda, który właśnie w owej chwili wspomniał, że jakby ciuteńkę przyłożył łapsko do takiego jej matki wysłania, i machnęła ręką. – Spokojnie, Yudherthardere. Nie będziemy do Jaskini Pierwotnych ciągnąć butelki ani skurwiela ożywiać. Wiem, że na moją nieodżałowaną rodzicielkę zmarnowaliście ostatnie magiczne monety. Jakiegoś innego sposobu nam potrzeba.

– Poczekamy na pana Yasę – oświadczyła spokojnie Likal. – Razem wymyślimy, co z butelkami zrobić.

Uri zacisnęła usta, ale zmilczała. Świeżo odzyskana moc Likal tańczyła pod skórą dziewczyny. Potężniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Pierwotna czuła ją, osłoniętą, by nie ranić Tropicieła, więc ze zdumienia przygryzła wargę. Już sam fakt, że mała sama odzyskała magię, że otworzyła nieotwieralny artefakt, już to było szokujące, a to, że potrafiła użyć czarów mimo itruańskich zapór... ba! zaczerpnąć z nich, by uzdrowić brata, to zupełnie nie mieściło się w głowie. Taka potęga przekraczała możliwości wszystkich znanych Uri magów, a i tych, o których tylko słyszała. Skoro zaś dziewczyna potrafiła takie cuda, nie należało z nią dyskutować. Pierwotna odstawiła więc butelkę, a potem ciężko opadła na ławę przy stole, bo długie stanie było dla niej coraz bardziej męczące.

– Skoro tak chcecie – burknęła – czekajmy.

Likal skinęła głową, ale zamiast usiąść jak czarownica, zmrużyła oczy i zapatrzyła się daleko przed siebie, w ciemniejący na horyzoncie las. Nie widziała go jednak. Od chwili, w której Kalien otworzył oczy, czuła niepokój. Nie rozumiała go, ale czuła. A jedyną osobą, o którą w tym momencie mogła się bać, był Yasa. Nie wyczuwała go od chwili, gdy się przebudziła w Itru, ale wtedy nie miała mocy. Teraz, kiedy magia wróciła, nieobecność Pierwotnego w jej podświadomości niemal przerażała dziewczynę. Tłumaczyła sobie, że to ograniczenia smoczego świata, ale to jakoś nie pomagało. Opuściła więc powieki, odetchnęła głęboko, a później przemknęła przez itruańskie bariery, by poszukać swojego nauczyciela.

Liczyła na to, że ledwie wyjdzie poza granice Itru, poczuje subtelną obecność Pierwotnego, tak jak zawsze, odkąd przed laty Sodi użył kamieni. Cichuteńki pomruk mocy, najpierw tuż pod powiekami, a potem słodkim ciepłem łaskoczący skórę od wewnątrz. Ale świadomość opuściła smocze królestwo, a Yasa się nie pojawił. Nawet wspomnienie czy choćby i muśnięcie. Nic. Zamknęła więc oczy i skupiła się mocniej. Wysłała myśli do Doliny Serbithów, ale i tam nie wyczuła Yasy. Wyszepiała więc w myślach jego imię. Nie odpowiedział.

– Likal? – zapytał zaniepokojony Pyri, bo dziewczyna pobladła gwałtownie, a z przygryzionej wargi spłynął wąski strumyczek krwi.

Młoda czarownica nie zareagowała, nie otworzyła też oczu, lecz odetchnęła głęboko, a potem splotła palce w znak wzmocnienia. Uwolnione od ciała myśli przemykały pustymi korytarzami zamku Serbithów. Wzmocnione czarem sunęły jak gończe psy przez las. Szukały.

Aż uderzyły w lodowatą czerń, a Likal krzyknęła z bólu i otworzyła oczy.

– Co się stało?! – Pyri złapał dziewczynę za ramię. Wyrwała się. Patrzyła wokoło jak przerażone dzikie zwierzątko w klatce. Kiedy smok zrobił krok w jej kierunku, zamrugowała gwałtownie, jakby się obudziła, a potem przyłgnęła do niego. Objął ją mocno, kompletnie nie rozumiejąc, co się dzieje, bo teraz, kiedy magia Likal wróciła, jej myśli znów były dla niego niedostępne.

– Zobacz – wyszeptała w tym samym momencie. Uniosła głowę, stanęła na palcach i pocałowała go lekko, zapraszając do swojego umysłu.

Zobaczył, poczuł i aż sapnął. Nie wypuścił Likal z ramion tylko dlatego, że go mocno trzymała.

Obserwująca ich Uri weszła w smoczy umysł bez trudu. W myśli podopiecznej Yasy nawet nie próbowała, ale bariery Pyriego nie były dla niej problemem. Weszła, zobaczyła i jak chłopak, sapnęła głośno.

– Co jest? – zaniepokoiła się Deidghe.

– Yasa jest w Pustce.

– Co?!

Uri pokiwała głową.

– Idziesz ze mną? – Spojrzała na smoczycę.

– Cholera.

– Aha. Idziesz?

– On się wścieknie, że cię puściłam. Może się zastanowisz? W twoim stanie to nie najlepszy pomysł. Zabiorę któregoś z moich magów...

– Przechodziliście kiedyś przez Pustkę? – spokojnie zapytała Pierwotna. – Potraficie ją zapełnić?

– Cholera – powtórzyła Deidghe. – Pójdę z tobą. Tylko my, bo Yudherthardere – zerknęła na krasnoluda – przy takiej magii będzie tylko zawadą, Pyri musi zostać, bo któreś z nas musi opiekować się Itru, a dzieciaki... – zawiesiła głos, a potem szybko zapytała: – Wystarczy?

– Nie wiem. Musi.

Likal odsunęła się od Pyriego.

– Idę z wami.

– Nie. Ma. Szans. – Deidghe zaakcentowała każde słowo. – Pyri cię przypilnuje.

Dziewczyna zerknęła przepaszająco na smoka.

– Nie zdoła mnie powstrzymać – oświadczyła spokojnie.

Deidghe westchnęła, po czym pokręciła głową.

– Pewnie nie. Nie teraz, kiedy odzyskałaś magię, a mój głupiutki braciszek przestaje myśleć, gdy tylko na niego spojrzysz. Dlatego proszę, żebyś ty pomyślała. Granice Itru są nie do przejścia, ale tam, w Krainie, Orian tylko czeka. Nie mamy czasu, żeby z nim walczyć. Yasa nie ma czasu. Musicie więc tu zostać, i ty, i twój brat. Nie możesz ryzykować, bo ryzykowałabyś nie tylko waszym życiem, ale i Yasy. Rozumiesz?

Naburmuszona Likal kręciła głową, zagryzając wargi i nie wydawała się rozumieć. Słyszała smoczycę, ale nie chciała jej słuchać.

– Ale... – zaczęła.

– Cholera, Likal, nie mamy czasu – warknęła Uri. Kiedy jednak młoda czarownica spojrzała na nią żałośnie, dodała łagodniej: – Ja też go kocham, mała. Obiecuję, że jeśli sobie nie poradzę, ściągnę cię.

Dziewczyna milczała, więc Pierwotna podeszła do niej i obiecała bez słów:

– *To Yasa, mała. Yasa. Nic mu nie będzie.*

Później spojrzała na smoczycę i wyciągnęła do niej rękę.

– Itru jest twoje, Pyri – oświadczyła Deidghe i, nie patrząc na brata, podała dłoń Uri. Most rozbłysnął, kiedy ich palce się spotkały, i zgasł, kiedy tylko weń wkroczyły.



\*

Ból wwiercał się w umysł, nie pozwalał zebrać myśli ani użyć magii. Lodowate pazury rozdzierały świadomość, a potem sięgały do serca. To zaś dygotało rozpaczliwie, przyspieszając aż po szaleństwo... Niewyobrażalne cierpienie, przedłużane aż po granice śmierci, bliskie jej, a jednocześnie na tyle dalekie, by torturowany nie skonał, powoli uśmiercało myśli Yasy. Nie krzyczał tylko dlatego, że nie miał już na to sił.

Rosa czuła ból Pierwotnego mocniej niż uprzednio własny. Tamto mogła znieść bez trudu... Może z zaciśniętymi zębami i palcami wbijającymi się w ciało. To jednak... Paraliżowało ją i odcinało od Przemian. Nie mogła zablokować czaru, nie potrafiła go nawet stłumić. Od lat odporna na magię, cierpiąca podwójnie, świadoma, że nie tylko nie może pomóc przyjacielowi, lecz także musi przyglądać się jego męce, czuć ją wzmocnioną Połączeniem.

Cisza i ciemność Pustki sprawiły, że wszystkie zmysły Zakonnej skupiły się w jednym miejscu, tym, które odpowiadało za uczucia. Żadna tortura w realnym świecie nie mogłaby się równać z tą w odcięciu od niego. Żadna...

Rosa złapała tę myśl i zakotwiczyła w niej resztki świadomości. Kimkolwiek był ten, który zamknął ją i Yasę w Pustce, zrobił to właśnie dlatego, by musieli skupić się na bólu i pozbawieni innych bodźców samoczynnie zwiększali kaźń.

Kimkolwiek był... nie znał Rosy.

– Yaso... – wyszeptwała. Wiedziała, że jej nie usłyszysz, bo cisza Pustki mu na to nie pozwoli. Ona sama też się nie słyszała. Chciała jednak na ten krótki moment oderwać świadomość od cierpienia przyjaciela. Kiedy zrobiła to z powodzeniem, powtórzyła: – Yaso, Yaso, Yaaaaasoooo... – W końcu udało się zebrać myśli. Imię Pierwotnego odciągnęło je od zaklęcia i pozwoliło przywołać Przemianę. Poczwała ją mimo Pustki i nieustającej męki tak swojej, jak i Yasy. Przemiana Magii, dar bogów, wywalczony przed laty, skrobał na granicy umysłu, związany splątaniem zaklęć Połączenia i Pustki, zbyt osłabiony, by osłonić Zakonną.

– Wybacz, Yaso – przeprosiła, ale nie zawahała się. Żadne z nich nie miało czasu na jej wyrzuty sumienia. Chociaż więc ryzyko było duże, zebrała siły i sięgnęła przez Pustkę, by zaczerpnąć mocy Pierwotnego. Na uderzenie serca ból stał się nieznośny, ale Rosa nie cofnęła dłoni. Przez ciemność, przez ciszę, przebiła czar i wreszcie poczuła pod palcami gładką skórę kochanka. Gorącą i mokrą od potu. Przycisnęła do niej dłoń i powoli, wysączyła to, czego potrzebowała.

Pierwotna moc wzmocniła Rosę, by jak zawsze żaden czar nie miał władzy nad Zakonną po Przemianach. Pustka przegrała, mrok opadł, a ciszę wypełnił świszczący oddech konającego maga.

\*

– Przestań tak dreptać, panna, bo dziurę wychodzisz w itruańskiej trawie – burknął Sodi, podążając wzrokiem za Likal. – No i się siostra tego twojego... smoczego przydupasa wkurwi co nieco. Nieładnie to tak trawkę deptać, kiedy ledwie na słoneczko ździebelka wyciągnęła, co nie?

Dziewczyna nie zareagowała. Chodziła tam i z powrotem wzdłuż stołu, na którym stały brązowe butelki. Co rusz zerkała na nie, a potem to na brata, to na kochanka. Na Sodiego w ogóle nie zwracała uwagi, chociaż to on właśnie głośno wzdychał, sapał i w ogóle robił najwięcej hałasu spośród obecnych.

– Stójże, panna, do ciężkiej cholery, bo człek łbem za tobą nadążyć nie może! Dreptaniem ani panu Yasie, ani tamtym nie pomożesz, a ino zmęczysz nożyska i jakby trza było jednak na pomoc lecieć, sił ci zbraknie.

Likal spojrzała niechętnie na Sodiego, ale zwolniła.

– To inne siły – odrzekła bez przekonania.

– Taaa, inne. Wiemy już, żeś siłami pół dnia kogoś tam darzyła, to i teraz byś coś pooszczędzała, nie?

Czarownica splonęła krwistym rumieńcem i zatrzymała się w pół kroku.

– A skąd...? – Przygryzła usta.

– Toż macie, jedno i drugie, te mecyje na gębulach wymalowane. – Cmoknął radośnie, a złośliwie Sodi. – Oj, Yasie się to nie spodoba. No, ale jak to mówią, jak mu się miodzić w łapki pchał, a docenić nie potrafił, to się tera inny delektować nim może. Nie, panie smok?

Pyri warknął cicho i postąpił krok ku krasnoludowi. Ten pobladł nieco, ale się nie cofnął.

– Oj, już mnie tam nie straszcie. – Wzruszył ramionami. – Panna mnie włosy z głowy zdmuchnąć nie da, nie, panna?

– Odpuść, Pyri – poleciała dziewczyna. Pochyliła się nad stołem, żeby ukryć zawstydzenie, i wbiła wzrok w butelki. Przez chwilę w ciszy kontemplowała naczynia, aż ostatecznie wzięła jedno do ręki. – Jak myślicie, jeśli ona była kiedyś potężniejsza niż pan Yasa, to może teraz pomogłaby nam przy jego ratowaniu? – zapytała cicho.

Sodi również podszedł do stołu i przyjrzał się butelce, którą młoda czarownica trzymała w dłoniach.

– No, nie wiem, panna. To straszna suka była. Pan Yasa chyba by wolał, cobyśmy tego nie tykali. A już na pewno nie spodobałaby mu się myśl, coby w Igrilli wsparcia szukać.

– Racja – przytaknął nierad Pyri. – Lepiej tego nie otwierać pod nieobecność magów.

Dziewczyna stężała na moment. Potem odwróciła się do kochanka. Spojrzała na niego chłodno i oświadczyła bardzo wyraźnie:

- Najwyraźniej zapomniałeś, że jest tutaj dwoje bardzo potężnych czarodziejów, Pyri.
- Popatrzyła na Kaliena. Chłopiec skinął głową.
- Likal wyciągnęła korek.

\*

Most rozbłysnął pośrodku korytarza, tuż przy klęczącej przy Pierwotnym Rosie. Tak blisko, że pojedyncze skry osmały jej skórę. Nie drgnęła. Trzymała wciąż dłonie na nagiej piersi nieprzytomnego maga. Sama wyszła już z Pustki, ale jego nie potrafiła z niej wyciągnąć, a oddech mężczyzny, coraz płytszy, zaczynał się rwać. Nadal czuła jego mękę i to nie pozwalało jej zebrać myśli. Nie pamiętała nawet o tym, by wezwać Yorhów, chociaż wojowie w takich sytuacjach bywali pomocni. Szeptala zaklęcia, których kiedyś nauczył ją Agrah Err, stare, czarnoelfie zaklęcia uzdrawiające. Bezskutecznie. Czy to strach blokował moc czarów, czy Pustka nie chcąc wypuścić maga ze swoich szponów? W tej chwili nie miało to znaczenia. Panika z wolna wkraadała się w umysł. Paralizujące przerażenie wywołane myślą, że nie zdoła go ocalić, krępowało ruchy.

Kiedy więc Most rozjarzył się oślepiającym blaskiem, Rosa ledwie go zauważyła. Klęczała półnaga, ze splątanymi włosami rozsypanymi na ramionach jak kruczoczarny płaszcz z trzema białymi pasmami, i wbijała palce w mokrą od potu skórę mężczyzny, próbując przelać weń choćby cząstkę swoich Przemian.

Uri zagryzła usta, bo widok sprawił jej większą przykrość, niż mogła przypuszczać. Zamiast jednak rozmyślać nad swoją krzywdą, podeszła do Zakonnej i położyła dłonie na jej ramionach.

– Chodź! – poleciła Deidghe. Smoczyca posłusznie powtórzyła jej gest.

Obie wzmocniły Rosę. Powietrze roziskrzyły powiązane zaklęcia Pierwotnych, smoków i czarnych elfów. Moc zafalowała jak żywe stworzenie, zapłonęła dziesiątkami ogników, jęknęła setką dźwięków, szumem przemknęła przez puste korytarze serbithowskiego zamku, by w końcu powrócić do połączonej magią czwórki, zatańczyć nad nimi i niewidzialnym ostrzem wbić się w ciało Yasy.

Na chwilę dłuższą niż życie zapadła taka cisza, jakby Pustka zagarnęła cały świat. Ucichł również świszczący oddech Pierwotnego.

– Yasa! – krzyknęła Zakonna i uderzyła pięściami w pierś mężczyzny. – Yasa!

– Nie bij – wycharczał. – Nie mam siły...

Błyskawicznie zatrzymała kolejne uderzenie, zamieniając je w pieśczętę. Przesunęła długimi palcami, stwardniałymi od lat ćwiczeń z mieczem, po odkrytej piersi

Pierwotnego. Czułość tego gestu była tak do niej niepodobna, że powieki Yasy zadrżały i uniosły się z trudem. Żadne z nich nic nie powiedziało. Patrzyli tylko, w milczeniu, nie czytając nawet wzajemnie myśli.

– Zakłęcie Pustki – przerwała milczenie Uri i odsunęła się od dwójki kochanków. Kiedy bowiem dotykała Rosy, mimowolnie czuła i ją, i jego, a na takie emocje nie była gotowa. – Byłam pewna, że umarło z Igrillą. Nie doceniałam Oriana. Kto by pomyślał, że zdoła opanować wrodzony dar Pierwotnej.

Yasa spróbował usiąść, ale brakło mu sił. Westchnął i przymknął oczy.

– To nie Orian zaklął Pustkę – wyjaśnił cicho. – To Igrilla. Zabiłaby mnie, żeby zdobyć władzę nad Rosą i artefaktem ze Złotego Dębu. Była pewna, że... że cię złamie.

Zakonna opuściła głowę pod wpływem wyrzutów sumienia. Pozostałe kobiety dostrzegły to, ale żadna nie drążyła tematu.

– Ona żyje? – zdumiała się Uri. – Myślałam, że skoła przed laty, a tylko jej wspomnienie tkwi w butelce, jak w przypadku Utera.

– Niezupełnie. Nie wiem, co jest w tamtej butelce, ale moc Igrilli, umysł... dusza... – Yasa mówił z trudem, wciąż leżąc na podłodze z zamkniętymi oczami, więc Rosa usiadła obok niego i podniósłszy go nieco, wsparła na sobie. Jak nigdy wcześniej wyglądali teraz na kochanków, a to pozostałe kobiety raniło do żywego. – Tak, dusza też żyje, jeśli Igrilla ma coś takiego. Ciało nie. Chciała je przejąć od Rosy, dlatego... – zamilkł, oddychając ciężko.

Deidghe pokręciła głową, spojrzała na Uri, a potem obie podeszły do Pierwotnego. Smoczyca uklękła, Pierwotna położyła rękę na jej ramieniu, a drugą wyciągnęła do Rosy.

– Yaso, musimy wracać do Itru – powiedziała łagodnie Deidghe. – Tu nie jest bezpiecznie. Zrobimy krąg mocy, a ty spróbuj się uleczyć.

– Uri nie powinna tracić energii. Nie w jej stanie – zauważył cicho Yasa.

– Spokojnie, mam moc dwojga Pierwotnych. – Czarownica uśmiechnęła się. – Nic nam nie będzie, jeśli trochę zaczerpniesz.

Zmieniła zdanie, kiedy to zrobił, bo utrata tej odrobiny magii, której potrzebował Yasa, osłabiła ją tak, że zadrżała lekko, zacisnęła dłoń na ręce Zakonnej i wbiła palce w ramię smoczyca, by nie upaść.

– Uri? – zaniepokoiła się Deidghe.

– To nic. Już mija. – Odetchnęła głęboko raz i drugi. Rzeczywiście, siły błyskawicznie się zregenerowały. Potrząsnęła głową, po czym uśmiechnęła się ponownie, bo Yasa właśnie się podnosił. Nie był już taki sinoblady, jak jeszcze przed

chwilą. – Gdzie jest nasza droga cioteczka? – zapytała. – Jakoś nie wierzę, by naszej trójce udało się ją przegonić na stałe.

– Nie wiem. Kiedy uruchomiła zaklęcie, skupiłem się na umieraniu.

– Tak, to podobne do niej. Pustka i tortury. Suka – warknęła Pierwotna. – Po cholere jej artefakt? Chciała przejąć moc tej twojej małej czarownicy?

– Chyba nie tylko. Mam wrażenie, że chciała głównie zemsty na Orianie.

– No, to zmartwi ją pewnie fakt, że Likal zniszczyła artefakt. – Uri zachichotała złośliwie. – Nikt nie zdoła go już użyć.

– Jak to zniszczyła? – Yasa podniósł głos i złapał kobietę za ramię. – Jak to...?

– Nie szarp mnie, kuzynie. Zniszczyła i tyle.

– A jej moc?!

Uri milczała, patrząc na dłoń mężczyzny zaciśniętą na swojej ręce. Czekwała. W końcu Pierwotny zwolnił uścisk, a wtedy czarownica spojrzała na Deidghe.

– Likal odzyskała magię bez niczyjej pomocy – wyjaśniła spokojnie smoczyca. – Nie wiemy jak. Pyri stwierdził, że to było niepojęte, młody milczał, a Yudherthardere głównie przeklinał. Grunt, że dziewczyna znów jest czarownicą. Niestety sam artefakt tego nie przetrwał.

Przez chwilę Yasa milczał, kontemplując to, co usłyszał. Wreszcie skinął głową i stwierdził z zadowoleniem:

– I dobrze. Więcej było problemów z tym pudełkiem niż zysków z niego. Wracamy. Rosa?

Zakonna, która przysłuchiwała się całej rozmowie, siedząc na podłodze, wstała powoli. Rozejrzała się za koszulą, bo wciąż była półnaga, jak w chwili, w której pochłonęła ją Pustka. Wiążąc troczki, przyglądała się pozostałej trójce. Ubrana, wezwała Yorhów. Usłyszała ich ciężkie kroki na korytarzu, kiedy wsuwała miecze w pochwy.

– Ich też mam zaprosić do Itru? – zapytała poirytowana Deidghe, bo olbrzymi stanęli za Rosą jak dwa cienie.

– Nie będzie takiej potrzeby – zaprzeczyła Zakonna. – Obiecałam ci pomoc, Yaso. Skoro jednak mała poradziła sobie sama, moja obecność nie jest ci już niezbędna.

– Rosa...

Uśmiechnęła się. Tak jak to miała w zwyczaju, uśmiechem, który nie obejmował oczu.

– Daj znać, jeśli znajdziesz sposób, żeby cofnąć Połączenie. – Przez chwilę przyglądała mu się z mieszaniną żalu i czułości, w sposób zupełnie nieprzystający do jej osoby. Kiedy drgnął, by ją zatrzymać, uniosła dłoń i wyszeptała: – Err, Most.

Portal rozbłysnął między nią i Yasą, a Rosa wskoczyła doń, nie patrząc na Pierwotnego. Kiedy kudłacze poszli w jej ślady, światło Mostu zgasło.

Yasa zaś stał z wyciągniętą ręką, jakby wciąż miał nadzieję, że zdoła zatrzymać czarnoelfią magię, która odebrała mu upragnioną kobietę.

\*

Korek puścił z delikatnym syknięciem. Sodi oczekiwał podobnego wrażenia, jakie miał przy odkorkowaniu butelki Utera, więc spiął się, zamknął oczy i zaczął szeptać ochronne zaklęcia, by utrzymać Tropicieła w ryzach. Czy to jednak rodzaj magii, jaką władała Igrilla, czy też itruańskie osłony, alter ego krasnoluda nawet nie jęknęło. Yudherthardere uniósł jedną powiekę... potem drugą... Nic. Likal wciąż trzymała otwartą butelkę, w której powinna tkwić Pierwotna, ale ta się nie pojawiła. Nie było żadnego zaspanego ducha, żadnej przezroczystej zjawy. Dziewczyna potrząsnęła naczyniem, a potem spojrzała pytająco na krasnoluda.

– Dyc, kurwa, nie wiem – burknął. – Jakem uterowską otworzył, duch wychynął i nawrzucał babce mojej nieodżałowanej... Dlaczego z tej żadne stwory dymów nie puszczają, cholera wie. Weź, panna, mocniej wstrząchnij, może wylezie.

Likal posłusznie szarpnęła butelką...

Nagły powiew zmroził wszystkich, a lodowate ostrza wbiły się w myśli zgromadzonych. Sodi wrzasnął przeraźliwie, bo Tropicieł niemal rozerwał mu umysł. Krasnolud padł na kolana i wbił pazury w ziemię, a potem począł uderzać łbem o trawę...

– Panie Sodi! – krzyknęła Likal, rzucając się na pomoc opiekunowi. Zrobiła tylko jeden krok i stanęła jak wryta.

Na środku polany pojawiła się postać. Biała jak śnieg, szczupła, drobniutka i przygarbiona staruszka. Pooraną zmarszczkami twarz kobiety szpecił grymas gniewu, a przymglone wiekiem, a może śmiercią oczy ciskały gromy.

– Kto?! Kto przerwał mi zabawę?! Orian?! – krzyknęła, rozglądając się wokoło. Zamrugnęła zaskoczona, a później zmarszczyła brwi. – Nie ma Oriana. No tak, on by się nie odważył. Kim wy jesteście? Gdzie ja jestem? Kto mnie wezwał?

Likal zacisnęła palce na butelce, a przypomniawszy sobie, co Sodi mówił, odpowiedziała:

– Jestem Likal. Dzierzę butelkę, musicie mnie słuchać.

Igrilla przekręciła głowę. Przez jedno, może dwa uderzenia serca przyglądała się dziewczynie niczym jakiemuś niecodziennemu zjawisku. W końcu przemknęła przez polanę i stanęła przed młodą czarownicą.

– Likal? – zapytała miękko. – Córka Oriana?

Sodi na moment zapanował nad Tropicielem. Na tyle, by zdążył wycharczyć:

– Zakorkuj, panna...

– Likal – potaknęła czarownica, ignorując krasnoluda. – Córka Oriana.

– Ha! – krzyknęła radośnie Pierwotna. – Cudnie! Który z tych dwóch jest jego synem? Niech zgadnę? Ta drobina? Dwie sroczki naraz! Cudnie! – Obróciła się, furgocząc spódnicą, zupełnie, jakby miała o połowę lat mniej niż wskazywał na to jej wygląd. Potem uniosła się i zawisła nad dziewczyną. – Widzisz, maleńka, w moim przypadku to tak nie działa. Nikt nie może wydawać mi poleceń. Nikt! Ostrzegałam twójego tatusia, że się zemszczę... Ostrzegałam! – syknęła, a później opadła na Likal.

Czarownica nie drgnęła. Nie z odwagi, a raczej z zaskoczenia, wciąż stała, ściskając brązową butelkę. Duch zaś rozcapierzył palce i uderzył. Błysnęło, świsnęło, posypały się skry... I nic więcej się nie stało. Igrilla ponowiła zaklęcie. I jeszcze raz. I jeszcze. A córka Oriana przekręciła głowę, przyglądając się usiłowaniom Pierwotnej.

– Co wy robicie? – zapytała w końcu.

– Jak? – Zszokowana Pierwotna cofnęła się. – Jak możesz oprzeć się zaklęciu przejścia? Nikomu z ludzi...

– Likal nie jest człowiekiem – odpowiedział spokojnie Kalien.

– A ty? Ty jesteś? – zapytała z nienawiścią czarownica i rzuciła się ku chłopcu.

Bliźnięta jednocześnie uniosły ręce. Magia zatrzymała ducha i zawiesiła go pomiędzy bratem a siostrą. Pierwotna szarpała się i wrzeszczała, raz za razem wykrzykując zaklęcia. Uniesione dłonie rodzeństwa drżały pod ich wpływem, ale dzielnie trwały w górze.

– Jak mam pomóc?! – krzyknął Pyri i podskoczył do ukochanej.

– Nie! – zatrzymała go. – Równowaga!

Pojął w jednej chwili. Gdyby wzmocnił jej zaklęcie, zachwiałby równowagę i uwolnił ducha.

– Zabiję was wszystkich! – wyła Igrilla.

Bliźnięta słabły, a Pierwotna wciąż sypała zaklęciami. Coraz trudniej było je odbijać...

Bezradny smok z przerażeniem rozglądał się wokoło. Cholera! Cholera! Cholera! Najwyżej skoczy między nich i osłoni Likal. Może umrzeć, byle ona przeżyła. Byle przeżyła...

Nagle coś pociągnęło go za nogawkę spodni. Spojrzał w dół.

– Cholera, Lunas! Dei mnie zabije! Zmykaj.

Chłopiec uśmiechnął się i wyciągnął rączki. Zdesperowany smok podniósł go, trochę odruchowo. Ledwie to zrobił, moc odpłynęła, a pod Pyrim ugięły się nogi. Upadł, ale nie wypuścił dziecka z objęć.

– *Puść!* – polecił Lunas, a kiedy młodzieniec nie zareagował, syn Yasy szarpnął. Wyrwał się, podskoczył, odbił od podłoża...

I rozpostarł skrzydła. Złoty pół smok, pół Pierwotny, bardziej magiczny niż cokolwiek we wszechświecie, skrzył się diamentową poświatą, milionem płomyków w każdym z możliwych odcieni światła. Rozmiarami wciąż jeszcze daleki od matki czy wuja, ale już potężniejszy niż jakiegokolwiek magiczne stworzenie. Przez chwilę wisiał, niesłychanie powoli poruszając skrzydłami, i patrzył na rodzeństwo oczami czarnymi jak noc.

– *Teraz!* – wsunął w ich myśli.

Uderzyli jednocześnie. Wszyscy troje. Bliźnięta zwizualizowanym zaklęciem, a smoczątko magicznym ogniem. Plunęło jaskrawym blaskiem, by skrzyżować go z czarami orianowskich dzieci. Oślepiające ostrze przeleciało przez polanę i wbiło się w ducha.

Na chwilę krótszą niż mgnienie powieki czas się zatrzymał. Zjawa Pierwotnej zachybotwała na wietrze. Krzyk umilkł. Igrilla patrzyła zdumiona na miejsce między piersiami, gdzie kiedyś, dawno temu biło serce, które teraz przecież nie powinno istnieć. Tymczasem niematerialna sylwetka z każdą chwilą nabierała kształtów, rozmytą formę wypełniało ciało. A pośrodku klatki piersiowej ziała ogromna dziura, z której zaczynała tryskać krew. W końcu powtórnie umierająca Igrilla opadła na trawę, pozbawiona mocy i ludzka bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Smoczątko usiadło obok wuja na trawie, po czym ponownie przybrało wygląd chłopca. Lunas przyłgnął do klęczącego młodzieńca i pogłaskał go po rękę.

– Nie wolno być niedobrym dla Likal – oświadczył. – Idziemy? Mama będzie zła.

Oszołomiony Pyri nie drgnął. Przenosił wzrok z siostrzeńca na cielesną Igrillę i z powrotem, bo nijak nie mógł pojąć, czego właśnie był świadkiem.

– Kim...? – wyszeptwała umierająca czarownica, kiedy Likal pochyliła się nad nią. – Kim on jest?

– To syn pana Yasy.

– Yasy... oczywiście – westchnęła czarownica i skonała.

Uwolniony od rozszalałej magii Sodi przewrócił się na plecy i zagapił w czyste niebo. Leżał tak i patrzył, rozmyślając nad tym, że już byłoby tego, że latka lecą i trza by poszukać jakiego przyjemnego miejsca, gdzie żaden pieprzony mag nie będzie jego flakami przewracał. Ano, trza. Póki co jednak...

– Wiecie, panie smok – zaczął cicho, wciąż leżąc i patrząc w niebo – ten wasz tatulek to lubił se tak zbierać różne artefakty. Nie macie tam, w tych jego skrzyneckach, takich fikuśnych srebrnych talarków i figurki z białego dębu? Toż trza cholerę wysłać do przodków po całości, coby znowu rozpierduchy nie narobiła, nie?



## XVI

### Przeniesienie

Kiedy portal, którym odeszła Rosa, zgasł, Yasa przez jakiś czas stał i patrzył na marmurowe płytki, które ledwie przed momentem znaczyło skrzące się światło. Nie ukrywał żalu, więc obie kobiety przyglądały się mu ze współczuciem. Obie go na swój sposób kochały i jego złamane serce też je raniło. Czas jednak uciekał, a one nie wiedziały, jakie zamiary ma Igrilla i czy Orian nie zechce wtrącić się do zabawy. Niezwykle racjonalna smoczyca oprzytomniała pierwsza. Podeszła do mężczyzny i łagodnie klepnęła go w ramię.

– Trzeba wracać, Yaso. Szaty rozedrzesz w Itru.

Popatrzył na nią gniewnie, ale, choć niechętnie, skinął głową.

– Otwórz Most.

Jeszcze mówił, kiedy światło portalu rozbłysło. Nie był specjalnie zaskoczony, póki, uderzenie serca później, Most nie zgasł.

– Witaj, Yaso.

Minęło ponad sto lat, ale i tak bez trudu rozpoznał aksamitny głos Oriana. Jeszcze nim dojrzał jego twarz, niezmienną przez lata, wciąż nienaturalnie porcelanową i piękną. Dawno temu zastanawiał się, czy Uter magią zmienił rysy twarzy kochanka, czy też chłopak urodził się z takim obliczem. Teraz już go to nie interesowało.

– Orianie...

– Nie! – ostrzegł czarodziej, bo Uri zamierzała rzucić zaklęcie. Nawet na nią nie popatrzył, więc drgnęła zaskoczona. – Ty zaklniesz mnie, ja rozerwę tatusia twojego maleństwa. Nie próbuj mnie sprawdzać, Uri.

– Nie pamiętam, żebyśmy się poznali – warknęła Pierwotna.

– Nie poznaliśmy się. Zabierając moc Pierwotnych, wziąłem też ich wspomnienia. – Uśmiechnął się łagodnie. – Powinnaś być mi wdzięczna. Nie mów, że nie chciałaś śmierci Utera.

Skrzywiła się.

– Chciałam – potaknęła. – Twojej pewnie również zapragnę.

– Nie jestem Uterem.

– Dużo od niego lepszy też nie jesteś.

Tym razem on warknął i spojrzał na nią wściekle.

- Nie porównuj nas.
- To mnie nie strasz – odpowiedziała chłodno.

Zmilczał i dopiero po chwili zastanowienia, wciąż patrząc na Uri, powiedział:

- Oddaj mi córkę, Yaso.
- Nie trzymam jej siłą.
- Może i nie, ale ona uważa, że należy do ciebie, że jesteś jej rodziną. Ja – podkreślił, przenosząc w końcu wzrok na Pierwotnego – ja jestem jej rodziną. Jedyłą, jaka jej została.

Deidghe i Uri zmarszczyły brwi, ale nic nie powiedziały.

- Może powinieneś pozwolić Likal wybrać rodzinę? – zasugerował Yasa.
- Nie musi wybierać, już ją ma. Jestem jej ojcem.
- Ona widzi to inaczej.
- Nieważne...! – zaczął, ale przerwał w pół zadania, nabrał tchu i powoli wypuścił powietrze. – Daj mi z nią porozmawiać. Wpuść mnie do Itru.
- No, cholera, na pewno! – wtrąciła się Deidghe.
- Już z nią rozmawiałeś. Więcej niż raz.
- Tylko ja mogę oddać jej moc! Znajdę sposób, choćbym miał oddać jej własną!

Yasa spojrział zaskoczony na ojca podopiecznej. Nie potrafił odczytać jego myśli, ale był prawie pewien, że Orian nie kłamie. W jego głosie pobrzmiwał strach, niemal na granicy hysterii.

– Co się stało, Orianie? – zapytał łagodnie. – Dlaczego nagle aż tak ci zależy na Likal? Jeszcze przed kilkoma dniami wystarczał ci Kalien. Yudherthardere twierdził...

– Ten skurwiel zabił mi syna! – wrzasnął Orian. – To jego wina! Jego! Miałem trafić w niego! Kalien zostałby w domu! Uspokoiłby się! Razem... razem zawojowalibyśmy świat! Bylibyśmy niepokonani! Mój syn! A ten skurwiel wszedł między nas! I Kalien... Kalien go zastrzelił! Mój synek... – wyszeptał.

– Co zrobiłeś?

– Uderzyłem czarem odbierającym życie. – Orian pokręcił głową. Popatrzył na Deidghe, a potem na Uri. W końcu wrócił spojrzeniem do Pierwotnego. – Zabiłem mojego syna.

Yasa pokiwał głową.

– I została ci tylko Likal.

– Jest wszystkim, co mam.

Pierwotny podszedł do niego.

– Rzecz w tym, Orianie – powiedział bardzo cicho – że nie. Nie masz jej. Może miałeś kiedyś, dawno temu, gdy przyszła na świat. Teraz Likal należy do... Likal.

W pierwszej chwili mężczyzna nie zareagował. Stał tylko, jakby nie usłyszał, albo nie zrozumiał, co zostało powiedziane. Dopiero, gdy Yasa się odwrócił, Orian wydał z siebie dźwięk żywo przypominający atakującego drapieżnika. Głośnemu przeraźliwemu wrzaskowi towarzyszyło uderzenie magii. Czar trafiłby Yasę, gdyby ten się nie uchylił. Zaklęcie zahaczyło tylko o ramię Pierwotnego, wytracając moc, a potem trafiło w smoczyce. Szarpnęło nią i rzuciło o ścianę. Deidghe osunęła się ciężko i straciła przytomność.

Yasa zareagował błyskawicznie. Odskoczył, odwrócił się i strzelił palcami. Płomień, który między nimi zapłonął, musnął skroń Złodzieja Magii, bo ten cofnął głowę w ostatnim momencie. Pierwotny spróbował ponowić zaklęcie, ale naraz nie znalazł słów, by je zwerbalizować. Skradziona moc pięciorga Pierwotnych, spleciona w jeden nierozzerwalny warkocz, opasała Yasę. A potem zaczęła się zaciskać. Powoli, niesłyszalnie powoli.

– Może wystarczy, że się ciebie pozbędę – oświadczył jedwabistym głosem Orian – a odzyskam moją córeczkę.

– Zostaw go! – wrzasnęła Uri i stanęła między nimi.

Orian zwrócił się do niej z obojętnym uśmiechem na pięknych wargach:

– Nie mogę. I nie chcę. Nie, Uri. – Podniósł rękę. – Jeśli spróbujesz mnie teraz zabić, zniszczę cię, a jego nic nie uratuje. Zróbmy więc tak: ocalejesz ty i jego dziecko. A ja odzyskam moją Likal.

Uri spojrzała na Yasę. Dusił się, ale i tak skinął głową. Usłyszała w myślach jego prośbę, by przyjęła takie warunki. Zagryzła usta i uśmiechnęła się smutno.

– Cholera, Yaso... – wyszeptała.

Potem zamknęła palce na figurce, którą ukradła z itruańskiego skarbcza i powtórzyła trzy razy, jak nakazywała tradycja:

– Oddaję ci moją moc, Yaso.

Nie poczuła, kiedy moc odeszła. Ciało zdało się nagle cięższe, oddech trudniejszy do złapania, chłód zamku intensywniejszy, ale poza tym nic się nie zmieniło. Wciąż stała o krok od Złodzieja Magii. I tylko ona oddzielała go od Yasy.

– Yaso? – spojrzała na niego, szukając jakichkolwiek oznak, że figurka przeniesienia zadziałała.

– On ci już nie odpowie, Uri. Odejdź – polecił spokojnie Orian.

– Yaso!

– *Odsuń się, Uri* – rozbłysło w jej umyśle.

Posłuchała.

Warkocz pękł i Yasa uderzył. Magia dwojga Pierwotnych spleciona w jednym ciele, wzmocniona wściekłością, zalem i odrobiną rozpacz, uderzyła w niespodziewającego

się ciosu Oriana. Złodziej Magii ledwie zdołał rozpiąć tarczę. Ta zadrżała i zaczęła pękać pod naporem kolejnych zaklęć.

I kiedy już się wydawało, że Yasa w końcu zabije ojca swojej podopiecznej, nad Złodziejem Magii zawisł potężny złoty smok. Zawisł na jedno uderzenie serca. A później kłapnął szczękami i połknął Oriana.

W serbithowskim zamku zapadła cisza.

– Dei? – zdumiony Yasa przyglądał się smoczycy. Siadła naprzeciwko niego, wciąż złotołuska i piękna, jak piękne potrafią być tylko złote smoki z Itru.

– Cholera, wiedziałam, że ludzie są obrzydliwi – burknęła, ocierając usta.

– Dei...

– No co?

– Dałbym mu radę.

– Wiem.

– Więc dlaczego?

Zmieniła się, poprawiła nieistniejące zagniecenie na szmaragdowej sukni, a potem wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że młoda zostanie z Pyrim – oświadczyła spokojnie. – Ano, mam taką nadzieję. Ale chcę, by zrobiła to, bo go kocha, a nie dlatego, że zabiłeś jej ojca.

Potaknął ze zrozumieniem.

– Dziękuję.

Kiwnęła głową.

– Wracamy w końcu do Itru?

– Otwórz Most.

– Yaso... – Głos Uri był tak słaby, że ledwie go usłyszeli. Zajęci walką, nie zwracali uwagi na Pierwotną, póki się nie odezwała. Kto wie, może i mówiła wcześniej, ale jej głos zginął w hałasie. Teraz na nią spojrzeli. Stała przy ścianie, blada tak, jakby cała krew nagle z niej wyciekła. Co było całkiem możliwe, bo u jej stóp zebrała się już spora kałuża.

– Uri! – Yasa przyskoczył do Pierwotnej w chwili, w której zaczęła osuwać się na ziemię. Oczy kobiety zachodziły mgłą, oddychała płytko, a serce zwalniało. – Nie, Uri!!!

– Dziecko... – wyszeptala i zwiśla bezwładnie w jego ramionach.

– Zaklęcie! Dei, uzdrawiające zaklęcie!!!

Smoczyca patrzyła na niego bezradna jak nigdy wcześniej.

– Dei!

– Użyła figurki, Yaso. Zaklęcie nie zadziała.

Zacisnął usta, a Deidghe czuła, jak powtarza w myślach słowa czaru. I wiedziała, że robi to bez nadziei na spełnienie. Mogła tylko stać i patrzeć, jak jasne włosy Uri wplątane w dłonie kochanka, rozsypują się i wyściełają podłogę niczym lniany płaszcz, jak jej palce bezwładnie muskają zimny marmur, jak czarne oczy uciekają w niebyt. Usłyszała chwilę, w której serce Uri przestało bić. Oboje usłyszeli.

– Uriiiii!!!

Dała mu chwilę na żal. Jedną, krótką chwilę. Potem będzie mógł rozpaczać.

– Dziecko, Yaso. Musimy ratować dziecko.

Popatrzył na nią półprzymtomnie. Nie miała wyjścia...

\*

Dziewczynka spała. Była mała, ale nadspodziewanie silna. Yasa nie odstępował jej na krok, nawet teraz, kiedy mamka ją nakarmiła i utuliła do snu, siedział na ławie przy kołysce i wpatrywał się w córkę. Milczał. Nie powiedział ani słowa od chwili, w której wyciągnęli dziecko z martwego ciała Uri. Ani jednego słowa przez wiele dni.

– *Jak ją nazwał?* – zapytał w myślach Pyri, stając obok siostry, która w progu przyglądała się byłemu kochankowi.

– *Nie wiem. Nie powiedział.* – Deidghe westchnęła ponuro. – *Z nikim nie rozmawia, nikogo do niej nie dopuszcza. Tylko Lunas i mamka mogą się do niej zbliżyć. Pyri...*

– *Nie.*

– *Powinna z nim porozmawiać.*

– *Próbowata. I nie.*

– *Pyri...*

– *Cholera, Dei. Kocham ją.*

Nie odpowiedziała, ale nie spuszczała wzroku z brata tak długo, że wreszcie zaklął i odszedł.

\*

Yasa siedział przy kołysce i poruszał nią w jednostajnym, powolnym rytmie. W jakiś dziwny sposób ten ruch go uspokajał. Na kilka chwil pozwalał nie myśleć o rozerwanych zwłokach Uri. Na kilka chwil, bo potem obraz wracał i zlewał się z innym, tak straszliwie podobnym. Uri i Luna stały się jednością w myślach Pierwotnego i tak połączone, wciąż dręczyły sumienie mężczyzny.

Dziewczynka w kolebce poruszyła ustami w odruchu ssania, a potem otworzyła oczy. Przez moment patrzyła wprost na ojca, by zaraz powoli opuścić powieki i ponownie zasnąć. Niby krótka chwila, a Yasie zdała się wiecznością. Dziesiątki emocji targnęły

jego umęczonym umysłem. Wstał i pochylił się nad córką. Boleśnie zapragnął dotknąć dziecka, ale nie odważył się, nie chcąc go obudzić.

– Panie Yasa...

Pograżony w rozmyślaniach nie usłyszał, kiedy Likal weszła do grotty. Stała teraz tuż za nim i przypatrywała się mu z niepokojem. Kiedy na nią spojrział, z wahaniem położyła dłoń na jego ramieniu.

– Powinniście odpocząć, panie Yasa – zauważyła miękko. – Nie spaliście od wielu dni. Ja wiem, że wam snu nie potrzeba tyle co... no, co mnie na ten przykład, ale powinniście.

Pokręcił głową, ponownie usiadł na ławie i poruszył kołyską. Przez jakiś czas trwali w milczeniu, Yasa siedząc, a Likal stojąc obok niego. W końcu dziewczyna kucnęła, tak że musiała zadrzeć głowę, by poszukać spojrzenia opiekuna. Uchwyciła jego rękę i tym samym zmusiła, by na nią popatrzył.

– Trzeba małej dać miano, panie Yasa – powiedziała cicho. – Nie godzi się tak. Przodkowie czekają, żeby o niej śpiewać w zaświatach. A i przed złym imię ją ochroni. Nie godzi się, by dzieciątko już tyle dni świat oglądało, a bogom go z imienia nikt nie przedstawił.

Pierwotny milczał, a jego twarz ściągnęły takie emocje, jakich Likal nie widziała od czasu, gdy sądził, że umarła. Pogłaskała go więc delikatnie po ręce, przygryzła usta i, chociaż była pewna, że robić tego nie powinna, spróbowała wsunąć się w myśli maga. Nie bronił wstępu, więc odczytała cały ból, strach i wyrzuty sumienia, jakie go gnębiły. Czułe serce Likal aż załkało ze współczucia. Zacisnęła mocniej palce na dłoni Yasy i trwała z nim w żalości.

– To może – przerwała w końcu ciszę – nazwiemy ją Yasuri? To całkiem ładne imię, panie Yasa, a i trochę was i trochę pani Uri w nim zostanie...

Yasa przymknął oczy, a wtedy pojedyncza łza zadrzała na rzęsach i powoli spłynęła po jego policzku. Zaszokowana czarownica sapnęła cicho. Podniosła się i objęła mocno opiekuna, a on wtulił twarz w gors dziewczyny i ciasno zamknął ramiona wokół jej pasa.

– To nie wasza wina, panie Yasa, nie wasza – powtarzała, głaszcząc włosy mężczyzny. – Pani Uri była dobra, ale była też uparta. Nikt by jej nie zmusił, coby zrobiła coś, czego nie chciała. Nie wasza wina. Ona wiedziała, co robi. Sama podjęła decyzję.

– Umarła przeze mnie – wyszeptał.

Dziewczyna odetchnęła głęboko, uszczęśliwiona, że wreszcie udało się wyrwać opiekuna z marazmu. Na moment palce zaplatane we włosy Pierwotnego zmieniły rytm, ale zaraz ponownie wróciły do powolnej pieśczoły.

– Umarła dla was – zaprzeczyła cicho. – I dla tej kruszyny. Nie godzi się marnować jej poświęcenia.

Yasa podniósł głowę, więc zsunęła ręce na jego ramiona. Było jej tak dobrze, tak bezpiecznie i dobrze, że jakoś nie mogła sobie wyobrazić, by teraz miała go nie dotykać. Pewnie dlatego przygryzła usta i niepewnie wpatrzyła się w mroczne tęczęwki Pierwotnego maga. On zaś trwał z pełnym zastanowienia wyrazem twarzy.

– Kiedy ty tak dojrzałaś, Likal? – zapytał wreszcie z czułością.

Zarumieniła się gwałtownie, zmilczała jednak.

– Dobrze. – Podniósł się powoli, ale nie wypuścił jej z ramion. – Nazwijmy ją Yasuri.

Żadne z nich nie zauważyło pobladłej twarzy stojącego w wejściu Pyriego.

\*

Słońce paliło zupełnie jak w środku lata. Kalien leżał na trawie przed smoczymi grotami i chłonał to ciepło z leciutkim uśmiechem na ładnym obliczu. Siedzący obok niego Sodi przyglądał się dzieciakowi z przyjemnością, bo brat Likal nabrał ciała i wyglądał całkiem jak jego siostra. Nie budził się już w nocy, nie próbował puścić z dymem połowy Itru, a i uśmiechał się coraz częściej. Wciąż mówił niewiele, ale może to i dobrze, bo przecie Sodi lubił głosu swojego słuchać, co nie?

Aż żał Sodiego brał, że trza mu się ze smarkiem rozstać. No, ale dzieciak nie chciał Itru opuszczać, bo mu strach było Krainy, no i oczyska za smoczycą wypatrywać poczał. Dziwić się nie ma czemu, panna jest, że palce lizać. A i kiedy pan Yasa wyjedzie, to i może zechce na smarka czulszym okiem spojrzeć, co nie? No, to i Sodi chłopaka rozumiał, ale i tak żał mu było go zostawiać.

Niby teraz, kiedy już był wolnym krasnoludem, bo królowkę gdzieś tam w Dolinie Serbithów robaki wpieprzały, teraz to mógł niby w tym Itru zostać. Ale jak, skoro pan Yasa, bidulek, dzieciątko swoje wziął pod opiekę i pójść chce? Przecie z Sodiego nie byle lebiega, coby przyjaciela swojego najmilejszego w biedzie zostawić. Chłopina ino z mamką w jakiejś głuszy zamieszkać chce. A co on tam wie o dzieciaka chowaniu, co nie? Ech, jakby jeszcze gówniara szła. No, ale nie idzie.

Koniec świata, nie ma co gadać.

– Idzicie, Yudherthardere? – Głos Pierwotnego wyrwał krasnoluda z zamyślenia, więc Sodi, acz niechętnie, wstał. Westchnął głęboko, żałośliwie, a oczy wbił w maleństwo, które Pierwotny kołysał w ramionach, jakby śpiąca Yasuri mogła mu jakoś pomóc w tej biedzie.

– A byśmy tak jeszcze ociupinkę zostali, panie Yasa – wymamrotał. – Dzieciaki by się zapoznały, wy byście odpoczęli, bo się nie obrażcie, ale odkądęście z Zakonną

wyruszyli, to wyglądacie prawie jak mój dziadulo, kiedyśmy go na marach kładli. Jenó włosów kolorem odróżnić by was można.

Yasa milczał, więc Sodi niezrażony kontynuował:

– A i gówniara by się ucieszyła. Odkądście rzekli, że się na tamto zadupie wybieracie, nic ino ryczy po kątach. No, weźcie i popatrzcie na bidulkę. Żal serce ściska. – Wskazał stojącą u boku Pyriego dziewczynę. Tym razem Yasa zareagował i spojrzął na podopieczną. Zobaczył i ją, i obejmującego ją smoka, a potem zacisnął usta.

– Znaczy nie? A dyć szkoda. No, ale przynajmniej obiecacie, że mi Kytę na to zadupie ściągniecie. Mamce się czasami wytchnienie przyda, a i mnie moje elfie dziewczę uraduje niezmiernie. No, to jak trza...

W trakcie jego przemowy podeszła Deidghe, niosąc Lunasa w ramionach. Chłopiec wiercił się niespokojnie, póki nie zobaczył ojca. Wtedy uśmiechnął się szeroko i wychylił, żeby zajrzeć do tobołka trzymanego przez Yasę.

– Nie zostaniesz? – zapytała smoczyca.

– Rozmawialiśmy o tym.

Skinęła głową.

– Będę wracał.

Ponownie skinęła. Przez chwilę milczeli, a Lunas wpatrywał się w siostrę z ciekawością. W końcu Deidghe zerknęła za siebie, na brata.

– Dziękuję, Yaso.

– To była jej decyzja.

– Gdybyś nalegał, zmieniłaby ją.

Mężczyzna popatrzył tęsknie na podopieczną.

– Uri kiedyś powiedziała, że Likal nie jest dla mnie – wyjaśnił. – Nigdy nie sądziłem inaczej. – Westchnął. Później zwarł szczęki i dodał twardo: – Pamiętaj, co powiedziałem. Nie zdołasz go ochronić, jeśli ją zrani.

– Nie zrani.

Nie skomentował. W ciszy otworzył Most.

\*

Likal stała u boku smoka, czuła jego rękę obejmującą jej kibić, słyszała oddech i ciche echo nieco przyspieszonego bicia serca. Stała obok mężczyzny, który ją kochał, wiedziała, że oddałby za nią życie.

Dlaczego więc nie mogła przestać patrzeć na tego drugiego?

Kiedy Yasa na nią spojrzął, kiedy zobaczyła smutek w czarnych oczach, gdzieś na dnie duszy zakiełkował ból. Tak straszny, że nie mogła złapać tchu i przez chwilę



myślała, że tonie, a lodowata woda wdziera się w jej myśli. A kiedy rozblęsnął Most, zapragnęła umrzeć.

– Idź – powiedział Pyri.

Puścił ją i odsunął się o krok.

– Idź – powtórzył.

Spojrzała na niego nieprzytomnie, a smok zrobił jeszcze jeden krok w tył i dodał:

– Zawsze będę o tobie myślał, Likal. Idź!

Zagryzła usta i zawahała się. Tylko na moment.

*Tychy, 23 maja 2019 roku*

Pierwotny

Copyright © Małgorzata Lisińska

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Łukasz Matuszek

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

druk ISBN 978-83-7995-274-8

epub ISBN 978-83-7995-275-5

mobi ISBN 978-83-7995-276-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Iga Wiśniewska

Korekta: Barbara Mikulska

Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Łukasz Matuszek

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)